



BITWA WARSZAWSKA:
WOJNA DUCHOWA
I MILITARNA

CZAPUTOWICZ O POLITYCE ORBÁNA: „REWIZJONIZM”

ARDANOWSKI OSTRO DO MYŚLIWYCH: OSTRZEGAM WAS!

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE

Nr 33 (298) 2018
13–19 sierpnia

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)



KULISY PROWOKACJI

POLICJA KONTRA NIENAWIŚĆ

NA ZDJĘCIU: DZIAŁACZ OBYWATELI RP DAWID WINIARSKI
PODCZAS DEMONSTRACJI OPOZYCJI PRZED SEJMEM 20 LIPCA 2018 r.

eprasa



INDEXS 287393 ISSN: 2544-2694



9 772544 269809

KOPANIE, PŁUCIE,
WYZWISKA, CIĄGŁE PRÓBY
WYWOŁANIA AWANTURY
– Z TYM SPOTYKAJĄ SIĘ
FUNKCJONARIUSZE BRONIĄCY
DEMOKRACJI PRZED
BOJÓWKAMI OPOZYCJI

Letnia promocja

**Zamów subskrypcję tygodnika „Sieci”
w wersji elektronicznej**



a dodatkowo otrzymasz GRATIS:

- ✓ **wSieci Historii** – dostęp do e-wydań miesięcznika w okresie subskrypcji
- ✓ **Sieci EXTRA** – specjalne e-wydanie przygotowane dla czytelników Sieci Przyjaciół
- ✓ **Newsletter** – najlepsze artykuły z portalu wPolityce.pl bezpośrednio na e-mail

1 miesiąc

~~19,99 zł~~

9,99 zł

12 miesięcy

159,99 zł

+

Koszulka

**o wartości
103zł**

gratis!



www.SiećPrzyjaciół.pl

Gdański skandal

W'39 roku na Westerplatte walczyło jednak polskie wojsko, a nie magistrat Gdańska, jak zdaje się uważać prezydent Adamowicz. Dlatego próba zawłaszczenia przez samorząd uroczystości o znaczeniu ogólnonarodowym jest oczywistym skandalem.

Wywołany na zimno i świadomie. Tegoroczny konflikt jest bowiem zupełnie niemerytoryczny, wszak już rok temu na Westerplatte przeczytano apel poległych nie w kontrowersyjnej wersji „smoleńskiej”, tylko tej uzgodnionej z magistratem. Chodzi o to, żeby nakręcać atmosferę. Prezydent Gdańska, czując się zagrożony zarzutami prokuratury dotyczącymi posiadania dochodów z nieznanych źródeł, wykorzystywał każdą okazję do konfrontacji z rządem, aby owe oskarżenia można było przedstawić jako motywowane politycznie. Stąd wzięła się jego szarża – opozycyjny lud to kupi.

Ale jest w tym też element skandalu systemowego. Sprywatyzowanie przez samorządy uroczystości o znaczeniu ogólnonarodowym, jaką jest rocznica Westerplatte, nie dokonuje się bowiem teraz. Dokonało się to w roku 1999, i nie tylko w Gdańsku. Panowała wtedy generalnie aura samorozwiązania się państwa zastępowanego przez, rzekomo wszechstronnie doskonalsze, „bliższe ludzi” itd. władze lokalne. Dziś gołym okiem widać, jak nieskończenie było to naiwne.

Odebranie gdańskiemu magistratowi uroczystości na Westerplatte byłoby dobrym symbolem odwrócenia tego skompromitowanego trendu.

Piotr Skwieciński

Bratni naród na Kaukazie

Przed nami obchody 98. rocznicy Bitwy Warszawskiej. Dzięki temu zwycięstwu świeżo odrodzona Rzeczpospolita, a może i cała Europa, nie została podbita przez bolszewików. Bo nie jest prawdą, jak czasem słyszymy, że po I wojnie światowej w Europie Środkowo-Wschodniej „niepodległość rozdawano” wszystkim chętnym. Nie dostali jej nie tylko Białorusini, ale także Ukraińcy i Gruzini. Nie było w żaden sposób pewne, że Polska nie podzieli ich losu.

Gruzini stracili niepodległość po ledwie trzech latach od jej odzyskania, w 1921 r. Naród o historii niemal dwukrotnie dłuższej niż nasza, o bogatej kulturze, z podobną do naszej nutą szlachecką, podbity przez Rosję dopiero u progu wieku XIX, został skazany na dekady terroru o skali, której nam jednak udało się uniknąć.

W tych dniach Gruzja obchodzi smutną rocznicę 10-lecia rosyjskiej agresji. Ponad 20 proc. terytorium kraju jest okupowane. Świat nie chce się tym zajmować. Gdyby nie wizyta przedstawicieli Polski, Ukrainy, Litwy i Łotwy, Gruzini byłiby w tych dniach sami. Wspólna podróż była też nawiązaniem do pamiętnej wyprawy Lecha Kaczyńskiego do Tbilisi, zorganizowanej w chwili, gdy rosyjskie czołgi zmierzały ku gruzińskiej stolicy. Gruzini nie kryją swojej sympatii do Polski, a pamięć o naszym prezydencie nie jest tu bez znaczenia. W Tbilisi i nad Morzem Czarnym licznie obecni są polscy turyści. Cieszy więc, że polskie placówki kulturalne i dyplomatyczne rozwijają działalność, a wkrótce pracę zaczną korespondent TVP. Nie są to przedsięwzięcia wielkie, ale ich znaczenie trudno przecenić. I trzeba, i warto inwestować w specjalne więzi ze szczególnym, w pewien sposób bratnim, narodem.

Jacek Karnowski





30

Będzie weto?
Piotr Skwieceński



68

Wojna duchowa i militarna
Grzegorz Górny



80

Cały majątek świata
Jadwiga Marcińska

NA POZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 ZAPACH SZAJBY**
Krzysztof Feusette
- 12 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Piotr Skwieceński
- 14 LATO Z ŻARTEM (5)**
Jan Pietrzak
- 15 DO CZEGO SŁUŻY KODEKS CYWILNY**
Bronisław Wildstein
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 POLSKA KROPKA NAD I W ŚWIATOWYM WZORNICTWIE**
Marta Kaczyńska
- 18 ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz
- 19 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdrot
- 20 FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

- 22 „OBYWATEL” CHCE DOSTAĆ PAŁĄ**
Marek Pyza, Marcin Wiko
- 27 POLICJA PRAWORZĄDNOŚCI**
Stanisław Janecki

KRAJ

- 30 BĘDZIE WETO?**
Piotr Skwieceński
- 33 Z JANEM ARDANOWSKIM**
rozmawia Jacek Karnowski
- 38 NIEBEZPIECZNA DOKTRYNA**
Jan Rokita
- 41 Z JACKIEM CZAPUTOWICZEM**
rozmawia Jacek Karnowski
- 45 FESTIWAL ANTYPISU**
Konrad Kołodziejki
- 48 OFENSywa MUZEALNA**
Grzegorz Górny
- 51 Z JADWIGĄ EMILEWICZ**
rozmawia Dorota Łosiewicz

SIECI KULTURY

- 55 MIŁO – SYN MELA**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 58 POLSKI HEROIZM NA BRYTYJSKICH EKRANACH**
Łukasz Adamski
- 61 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 62 CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski
- 64 POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

IMPRESJE

- 66 PSIA ŁAPA II**
Krzysztof Logan Tomaszewski

HISTORIA

- 68 WOJNA DUCHOWA I MILITARNA**
Grzegorz Górny
- 71 SIKORSKIEGO TRIUMF NAD WKRAJ**
Andrzej Rafał Potocki

OPINIE

- 74 Z LESZKIEM MAZUREM**
rozmawia Wojciech Biedroń

ŚWIAT

- 77 WIKTOR ORBÁN W KRAJNIE NIEDZWIEDZI**
Kamila Hedvig Górny

GOSPODARKA

- 80 CAŁY MAJĄTEK ŚWIATA**
Jadwiga Marcińska

SPORT

- 84 Z ANDRZEJEM BARGIELEM**
rozmawia Wojciech Biedroń

KUCHNIA

- 86 MOJE SMAKI: JULITA BATOR**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 87 SŁODKO-SŁONY/WILCZYMI OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 88 MIMO WSZYSTKO**
Piotr Skwieceński
- 89 DOOKŁA EUROPY**
Krystyna Grzybowska
- 90 LUMPENELITY III RP**
Wojciech Reszczyński
- 91 FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki
- 92 SZMATA, SPREJ I PRAWO**
Aleksander Nalaskowski
- 93 POGONILIŚMY KOSMITÓW**
Wiktor Świetlik
- 94 BOHATEROWIE NIEPODLEGŁOŚCI – MOCARZE DUCHA**
Jan Pospieszalski
- 95 FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska
- 96 PARODIA POGRZEBU**
Ryszard Makowski
- 97 ŚPIEWNIKI DOMOWE MONIUSZKI**
Leszek Długosz
- 98 CHOLERNA SUWERENNOŚĆ**
Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie

WOLNOŚĆ WE KRWI

1918–2018

15 SIERPNI 2018

GODZINA 20:30

PLAC PIŁSUDSKIEGO
W WARSZAWIE

WIDOWISKO
Z OKAZJI
100-LECIA
ODZYSKANIA
PRZEZ POLSKĘ
NIEPODLEGŁOŚCI

WSTĘP BEZPŁATNY



1918 • 2018

Patronat Narodowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy
w Stulecie Odzyskania Niepodległości
1918–2018

W widowisku wystąpią m.in.:
Radosław Pazura, Joanna Moro,
Wiktoria Gąsiewska, Mateusz Banasiuk,
Dominika Ostalska, Katarzyna Dereń,
Artur Chamski, Kazimiera Utrata,
Jarosław Jakimowicz, Maria Tyszkiewicz,
Jerzy Grzechnik, Marek Kaliszuk,
Przemysław Cypriański, Mateusz Jakubiec,
Jacek Lenartowicz, Darek Kordek,
Marek Molak, Bogdan Kalus.

www.nbp.pl/MyPolacy
#MyPolacy

Fot. Michał Gmitruk

NBP

Narodowy Bank Polski

1918 | My
2018 | Polacy

niepodległa

POLSKA
STULECIE ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI



WOJEWODA MAZOWIECKI

Partner
projektu:



Partnerzy
medialni:



niezależna

SIECI

wPolityce.pl

Obserwatorfinansowy.pl

eprasa.pl 9462df9449

DZIENNIK
GAZETA PRAWNA

Sygnalista nadaaje

🔊 A **Jerzy Owsiak** zaatakował radiową Trójkę za to, że nie mówiła o imprezie tak dużo, jakby sobie życzył. To jest jednak hipokryta. Bo jednocześnie Owsiak wręcz chwali się, że zakończył współpracę z Trójką po dojściu PiS do władzy (przeniósł się do Antyradia). Zrobił to, bo „na jego oczach dokonywano okrutnych i nie do zniesienia przetasowań w trójkowym zespole”. A – jak wiadomo – trójkowy zespół w kształcie z 2015 r. powinien zostać wpisany do konstytucji.

🔊 Zdaniem Owsiaaka, jeśli którykolwiek z trójkowych dziennikarzy ma jeszcze w sobie „choć ciutkę poczucia profesjonalizmu i przesłania”, powinien po prostu zamknąć za sobą drzwi i dać sobie z Trójką spokój. Czasem wydaje się, że Owsiak to trzewia systemu, a czasem, że jednak to sterowany głup-tasek. Jak można radzić ludziom, którzy często przeżyli w Trójce lata 1968, 1970, 1976 i 1981, by rezygnowali? Tu nie o to chodzi, Szanowny Panie.

🔊 Ale postęp jest. Gdy mordowano robotników czy księży, ludzie Trójki umieli milczeć. Teraz, gdy legitymują zadymiarzy, już nie wytrzymują. Wojciech Mann wykorzystał pogrzeb Kory Jackowskiej, by potępić „parodię demokracji”, z którą zmagają się kraj. Dziwne, że tak zdystansowany do świata trójkowy zespół stroi srogie miny i rzuca kalumnie, zamiast filozoficznie i inteligentnie uśmiechnąć się do siebie albo zareagować dyskretnym dowcipem. Czyżby to była tylko poza?

🔊 Ale faktem jest też, że jeszcze dwa, trzy manewry personalne Rady

Mediów Narodowych i z Polskiego Radia nie będzie czego zbierać. Teraz rada zawiesiła prezesa Jacka Sobalę. Za co? Tego nie wie nie tylko sam zainteresowany, lecz i sama RMN. Trwają poszukiwania pretekstu. Radio czeka kilka tygodni chaosu, a przynajmniej stanu zawieszenia. No i co się stare komuchy pośmieją z amatorszczyzny pisowców, to ich.

🔊 Sobalę namawiano, by złożył dymisję, ale słusznie odmówił, bo gdy dymisję złożyła poprzednia prezes, usłyszała, że „nie wystawia jej to dobrego świadectwa”. Z kolei gdy Sobala – zresztą zachęcony – złożył wniosek o odwołanie wiceprezesa Mariusza Staniszewskiego, kiedyś dziennikarza, „Wprost” i doradcę zarządu Superstacji (sic!), to usłyszał, że się awanturuje. Czysty Kafka. A wszystko to dlatego, że RMN nie może się wyszaleć w TVP i może się realizować wyłącznie na Malczewskiego. Opanujcie się, Panie i Panowie.

🔊 W TVP też była mała afery. Poszło o materiał, w którym rozważano, czy aby PiS nie obiecał przed wyborami 1 000+. Pierwszy napisał o tym „Super Express”, powołując się na anonimowego polityka prawicy. Kłopot w tym, że władze partii jak ognia boją się dziś rozbuchanych apetytów, a wrzutka o 1000+ to oczywista intryga, i to raczej opozycji niż jakiejś pisowskiej frakcji. W rezultacie w czwartek, po raz pierwszy od lat, „Wiadomości” ostrzegły, że sytuacja gospodarcza może się pogorszyć i rząd musi oszczędzać. Do czego to doszło.

🔊 Prezydent Gdańska Paweł Adamowicz nie życzy sobie Wojska

🔊
*Celebrytka
Dorota
Wellman
udzieliła
reprimendy
młodzieży
zebranej na
dawnym Przystanku
Woodstock (obecnie
Pol'and'Rock Festival):
„Nie wiem, co jest
wam potrzebne, aby
was ruszyć, żebyście
bronili wolności? Czy to,
że ktoś może zabrać wam
paszport i internet?”. W tej
wypowiedzi najciekawszy jest
wątek internetu. Jeśli dodamy
do tego milczenie „Wyborczej”
w sprawie ACTA2, zaczyna świtać,
w jaką pułapkę chcą złapać rząd
zwolennicy „podatku od linków”.*

Polskiego na uroczystościach rocznicowych na Westerplatte. To jednak jest zero, które po takim numerze nie powinno mieć prawa wstępu na to święte miejsce. I jeszcze ten belkot, że „nie pozwoli wykopać rowu między Polakami i Niemcami”, i że rocznica jest po to, by mówić, „czym jest wojna”. Nie, nie, nie. Ta rocznica jest po to, by mówić o zbrodniczej napaści Niemców i heroicznej postawie Polaków.

» Tak oto ideologia samorządowa zbiera swoje smutne żniwo. Adamowicz od lat eksponuje niemiecką tradycję Wolnego Miasta, eksponuje Niemców związanych z Gdańskiem, a na budynku Poczty Polskiej kazał napisać „Postamt”. To charakterystyczne, że im ludzie bardziej ubabrani, im więcej mają za uszami, im więcej kont muszą pamiętać, tym chętniej wypierają się Polski. Wiedzą, że Berlin albo Moskwa wezmą ich chętnie pod opiekę.

» Wiele w Polsce należałoby zaorać, i to głęboko. Ale czy cokolwiek jeszcze da się na poważnie zmienić? Czy prezydent podpisze? Nowej ordynacji do Parlamentu Europejskiego nie podpisze i tym samym zapewni miejsca w Brukseli paru wariatom, postkomunistom, ludowcom, narodowcom i kukizowcom. Co niektórzy wygrali wybory, by zmienić Polskę, ale by ją naprawdę zmienić, chcą wygrać kolejne wybory, więc żadnych zmian nie zrobią. Ładowanie może być bolesne.

» A w Warszawie kandydatowi Platformy na prezydenta miasta idzie tak fatalnie, że gdy TVP pokazała zdjęcia **Rafała Trzaskowskiego** dialogującego z pszczołami, Piotr Borys z PO krzyknął: „To manipulacja!”. Karol KarSKI z PiS ripostował: „To nie był film animowany, reżyserowane przedstawienia. To był Rafał Trzaskowski na żywo”. Ale w zasadzie to jest jakiś trop. Gdyby nawet początkujący aktor zagrał Trzaskowskiego, byłoby w tym więcej energii i życia niż teraz, gdy gra sam kandydat.

» **Kazimierz Michał Ujazdowski** ogłosił, że nie będzie kandydował na prezydenta Wrocławia. Za to „wesprze organizacje pozarządowe i stowarzyszenia obywatelskie w batalii o bezstronność i przejrzystość władz miasta”. Może warto, by niedoszły prezydent stolicy Dolnego Śląska powalczył jednocześnie o przejrzystość działania władz Platformy Obywatelskiej? Potraktowano go przecież bardzo brutalnie i wciąż nie wiadomo dlaczego.

» I wszystko jasne. 28-latek, który podczas manifestacji przed Pałacem Prezydenckim krzyczał do funkcjonariuszy „ZOMO!”, to Michał M., operator filmowy, syn Jerzego Bernarda



Modlingera, wieloletniego wydawcy i szefa redakcji politycznej „Wiadomości” TVP, później szefa „Teleexpressu”, a w PRL działacza opozycji. Dziadek Michała – Maurycy – był z kolei stalinowskim prokuratorem, podpułkownikiem LWP. Tak więc rzekomy „gniew ludu” to po prostu frustracja przegranej elity i jej dzieci.

» Ciekawy wątek: dziadek Michała, wspomniany Maurycy, był w latach 50. komendantem Oficerskiej Szkoły Prawniczej szkolącej stalinowskich sędziów i prokuratorów. Zmarł w 1983 r. i został pochowany w kwaterze „Ł” na warszawskich Powązkach, wśród grobów komunistycznych aparaczków, które miały przykryć szczątki żołnierzy niezłomnych. Najlepsze metafory pisze samo życie.

» „Polityka” przeprowadziła wywiad z mec. Jarosławem Kaczyńskim – przedstawionym jako „obrońca w procesach politycznych” – o sposobach nękania opozycji. Z rozmowy dowiadujemy się m.in.: „Studentki Uniwersytetu Warszawskiego, biorące udział w protestach, skarżą się, że gdy łapią za barierki pod Sejmem, policjanci głaszczą je po dłoniach”. Ten rodzaj represji określono jako „perfidną metodę”. Reżim pokazuje pazury.

» Ale i wśród naszych demonstrantów – przyznaje Wojciech Czuchnowski z „GW” – „nie wszyscy wyznają zasadę »bez przemocy«, nie wszyscy są grzeczni, a nawet – o zgrozo! – zawsze znajduje się kilku nie do końca zrównoważonych”. Bo „ulica to nie obraz Delacroix. To emocje, dla wielu trudne do powstrzymania”. W praktyce, według rzecznika policji, wygląda to tak, że przed Pałacem Prezydenckim „policjanci byli kopani, opluwani, wyzywani, drapani”. Jaka III RP, takie bojówki.

» Piotr Najsztub ma zapłacić 16 tys. zł za potrącenie staruszki. Biorąc pod uwagę, że dziennikarz nie miał prawa jazdy, a samochód ubezpieczenia ani badań technicznych, wyrok jest arcyłagodny. Ale wbrew pozorom to dowód na solidność i rzetelność naszego wymiaru sprawiedliwości. Dotrzymują kontraktu z establishmentem: wy chronicie nas, my chronimy was. I wie o tym każdy sąd, nawet najniższej instancji.

» **Prof. Zdzisław Krasnodębski** chciał polecić do Rygi na kongres „Time for Children”. Podróż zajęła w sumie 12 godzin, ale w końcu europoseł PiS dostał się do stolicy Łotwy. Wcześniej zdążył jednak wezwać do zmian personalnych w LOT, które – dodał – „powinny zostać przeprowadzone możliwie szybko”. No i teraz zobaczymy, co będzie dalej. Każde rozwiązanie będzie cenną wiadomością.

Droga redakcjo, moje nazwisko nic państwu nie powie, zwłaszcza że go nie podam. Zdradzę tylko tyle, że jestem stałym uczestnikiem wszystkich możliwych manifestacji przeciwko tej strasznej władzy, na którą ludzie jeszcze straszniejsi oddali swój głos. Bezprawnie. Z brakiem poszanowania zasad konstytucji RP, która w połączeniu z odpowiednią interpretacją zapewnia wyraźnie określony trójpodział władzy.

Bo władza w Polsce od lat dzieli się na trzy: władzę starą – jeszcze z PRL, władzę III RP oraz władzę przyszłą, czyli młodych, zdolnych, ze znajomością obsługi salonu. Nie ma w konstytucji ani słowa o tym, że władzę mogą w Polsce przejąć ci, którzy takiego właśnie trójpodziału władzy nie uznają. Nie chcę się jednak wdawać w konstytucyjne niuanse (panie Krzywonos i Stalińska wystarczająco już to wyjaśniły), pragnę jedynie podzielić się z państwem pewną mrozącą krew w żyłach tajemnicą. Dodam na wstępie, że rozmawiałem już z innymi stałymi uczestnikami manifestacji przeciwko rządowi i oni mają tak samo.

Chodzi o to, że my, tu – na dole, jakoś za bardzo przeżywamy wszystko to, co przydarza się największym gwiazdom naszych protestów. I to przeżywamy w sensie dosłownym. Kiedy np. pani Krystyna Janda poinformowała, że ma pocucie, jakby ktoś bez przerwy, cytując: „sr...! jej na głowę”, u nas ta historia się powtórzyła. Nie mogę podać nazwiska, bo umówiliśmy się, że nie będziemy tego z przyczyn oczywistych nagłaśniać, ale fakt jest faktem, że coś tam przy jednym z wychodków poszło niedobrze. I nie chodzi o to, że ktoś włożył bez kolejki. Historia powtórzyła się, kiedy pani Manuela Gretkowska wyjawiała, że i ona ma wróżenie, jakby, cytując: „rząd się na nią wypróżniał”. Potem pani Agnieszka Holland ujawniła, że czuje, jakby ktoś w Polsce bez przerwy puszczał baki. A Róża Thun dodała, że z telewizora leje jej się, cytując „gnój”...

Nie muszę chyba państwu mówić, jak po tych okropieństwach zmieniła się u nas atmosfera. Pisząc „u nas”, mam na myśli całe nasze środowisko manifestujących, wszystkie jego odnogi: Kopaczy Barierek, Chłopców z Bagażnika czy Baby od Bluzgu, którym pragnę szczególnie pogratulować akcji z hasłem „Wyp...alać!”. My tutaj wiedzieliśmy, że to jest tylko kwestia czasu. Niestety średnia wieku ciągle u nas taka, że śladami Femenu żadna z „dziewczyn” chyba nie pójdzie i koszulki nie zdejmie. Inna sprawa, że Gretkowska już kiedyś próbowała i nic nie było widać.

A są kwestie jeszcze poważniejsze. To, że u nas szambo wybiło, jak się skumulowały doznania Jandy, Gretkowskiej,

Zapach szajby



KRZYSZTOF FEUSETTE

Holland i Thun, to jeszcze nic. Najgorsze, że mnie śledzą. Och, jak ja się śmiałem, jak pan Petru mówił, że go podsłuchują, obserwują, a nawet inwigilują. I to po kryjomu. Potem pan Misilo odkrył jakieś dziwne kabelki w fotelach sejmowych. Do dziś nikt nie poinformował opinii publicznej, do czego one służą, bo że tylko do głosowania, to aż się wierzyć nie chce. Nie w pisowskim państwie. Albo swoich prądem częstują, jak ci mają opory, albo naszych, żeby im się ręka omsknęła. Niech się pan Misilo cieszy, że jak po krzesłach skakał na komisji, to nie trafił na elektryczne, bo chyba fryzurę by mu zmierzwiło. Była u nas kobita, co miała lepiej wyprofilowaną od niego, ale jak się ta moda na wudu zaczęła, to warkocz sprzedała.

Laleczki na razie tylko dorośli dziergają – raz Kaczyńskiego, raz Dudę, Jan Paweł II się zdarza. Właśnie, muszę wtrącić pytanie do pani Holland, która dwie osoby już tak „załatwiła”: czy warto nakłuwać laleczki osób nieżyjących? Mieliśmy na ten temat dyskusję, ale uznaliśmy, że skoro teatr w Warszawie może papieża obrażać i skoro telewizja komercyjna może, to i nam się przyda. Bo Kościół nie może się wtrącać w życie. No, chyba że Lemański, ale w końcu co to za ksiądz. Mógłby kiedyś

przyjechać i nam te laleczki oblaśkawić, żeby lepiej działały. Koleżanka w zeszłym tygodniu tak zawzięcie Pawłowicz nakłuwała, aż się sama skaleczyła, i było takie wudu, że się pół wioski zleciało.

Gorsza rzecz się wcześniej przydarzyła: synek sąsiadki sam w domu siedział i czy się publicznej telewizji naoglądał, czy trzeba mówić o pechu, dość powiedzieć, że dorwał taką igłę, zamknął się w pokoju i jak rodzice wrócili, Rumcajs w kapeluszu cały był podziurawiony. A rano właśnie pan Holdys doznał tego pomieszenia, że musi teraz rozmowy z rodziną szyfrować, bo mu e-maile czytają i drogę zajeżdżają, jak do TVN jedzie...

Początkowo myślałem, że to już przesada. Po co mieliby Holdysa śledzić? Co chcą podsłuchać? Nowe piosenki? Ale potem i mnie coś nagle zaczęło w komórce trzeszczeć. Dziwnym trafem akurat w tej, w której trzymamy kaczkę. Potem budka się przewróciła. Też przypadkowa zbieżność? Tak jest ciągle. I już naprawdę nie wiadomo, czy kiedy pan Saramonowicz mówi, że „ludzie to kretyni i można im wcisnąć każde g...”, to chodzi mu o to, że on komuś wciska, czy że jemu wcisnęli.

Szanowni państwo, ludzie kultury, apelujemy: weźcie sobie na wstrzymanie z tymi kloacznymi wynurzeniami i wpuszcicie nareszcie trochę powietrza. Bo się za chwilę wszyscy w tym podziemi podusimy.



W trosce o pamięć i bohaterów

Grupa Energa od lat wspiera inicjatywy, których głównym celem jest pielęgnowanie narodowych wartości oraz kultywowanie tradycji patriotycznych

Wspominając zapisane na kartach naszej historii wydarzenia i bohaterów, buduje poczucie wspólnoty łączące wszystkich Polaków. Powstanie Warszawskie zajmuje w trudnych dziejach Polski miejsce szczególne. Jest dowodem na niezwykłą odwagę Polaków i ich gotowość do poświęceń na rzecz Ojczyzny. Grupa Energa angażuje się w działania zmierzające do tego, aby pamięć o nim i jego bohaterach trwała. Dba również o kształtowanie świadomości historycznej młodych pokoleń, uczestnicząc w projektach edukacyjnych dla dzieci i młodzieży.

POWSTANIE WARSZAWSKIE

1 sierpnia 1944 r. Warszawa stanęła do walki. Rozpoczęło się Powstanie Warszawskie, jedno z najważniejszych wydarzeń w historii naszego kraju. Wystąpienie zbrojne przeciwko okupującym stolicę wojskom niemieckim było niezwykłym pokazem siły, odwagi i wytrwałości wszystkich powstańców. Przez 63 dni żołnierze Armii Krajowej dzielnie stawiali opór, poświęcając życie, aby wyzwolić Warszawę z rąk agresora.

W rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego, w okolicach godziny „W”, przedstawiciele Energi wzięli udział w Uroczystym Apelu Pamięci, który odbył się w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, aby oddać hołd uczestnikom zrywu.

Wcześniej we współpracy z pracownikami muzeum i harcerzami pracownicy Grupy włączyli się w akcję wręczania przechodniom, turystom i mieszkańcom Gdańska biało-czerwonych opasek ze znakiem Polski Walczącej oraz ulotek informacyjnych.

Pielęgnując pamięć o walczących w Powstaniu Warszawskim, w przeszłości, Energa angażowała się nie tylko w działania na terenie Trójmiasta, lecz również stolicy. Jako sponsor Pikniku Powstańczego wsparła akcję historyczną, która połączyła starsze i młodsze pokolenie warszawiaków. W trakcie wydarzenia odbyły się pokazy sprzętu wojennego, koncerty, a także specjalnie zorganizowana gra miejska. Dzięki obecności na pikniku ostatniego żyjącego żołnierza Armii Krajowej oddziału zbrojnego PWPW 175 Juliusza Kuleszy ps. Julek wszyscy uczestnicy mogli wziąć udział w niezapomnianej lekcji historii, obcując z prawdziwą legendą Powstania.

Grupa Energa w swoich działaniach nie ogranicza się tylko do dbałości o pamięć. Wspomaga również inicjatywy mające na celu polepszenie sytuacji i komfortu życia bohaterów, którzy walczyli o Polskę. Jedną z nich są organizowane przez stowarzyszenie „Paczka dla bohatera” wczasy. W tym roku, w ich ramach, 70 kombatanów, weteranów i osób represjonowanych przez PRL spędzi wypoczynek w nadmorskich Międzyzdrojach. Podczas wyjazdu będą oni mogli odwiedzać

muzea, słuchać koncertów, skorzystać z zabiegów lekarskich i rehabilitacyjnych, a także bawić się na specjalnie zorganizowanym dla nich balu. Hasło tej szlachetnej akcji to „Walczyli dla nas, teraz my zawalczmy dla nich”.

100-LECIE ZHP I NIEPODLEGŁEJ

Historia harcerstwa w Polsce jest nie-
rozzerwalnie związana z historią walki o wolność naszej Ojczyzny. Najbardziej heroicznym jej przejawem był udział harcerstwa w Powstaniu Warszawskim. Walczyły w nim harcerskie bataliony „Zośka”, „Parasol”, „Wigry” i „Gustaw” oraz wiele mniejszych oddziałów. Dziś, w czasach pokoju, najważniejszym zadaniem ruchu skautowego jest wychowanie młodych pokoleń w duchu patriotycznym. Grupa Energa aktywnie pomaga w zmierzających do jego realizacji działaniach. Od lat wspiera należący do Centrum Wychowania Morskiego ZHP żaglowiec Zawisza Czarny. Jest również sponsorem głównym wyjątkowego harcerskiego zlotu, który odbywa się na Wyspie Sobieszewskiej z okazji 100-lecia ZHP i 100 lat niepodległości naszej Ojczyzny. Celem wydarzenia jest zaszczepienie w młodych ludziach chęci do zmiany rzeczywistości na lepsze już dziś. Podczas zlotu uczestnikom udało się pobić rekord Guinnessa. 15 tys. osób ubranych w białe oraz czerwone koszulki ułożyło z siebie wzór żywej flagi Polski. 

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Lato z żartem (5)

„Kiedy zlikwidujemy alkoholizm w Polsce, towarzyszu Gierek?”. „Pierwszy krok już zrobiliśmy. Zlikwidowaliśmy zakąskę”.

Dlaczego w Polsce jest źle z mlekiem i masłem? Bo Gierek nie rozmawiał jeszcze z krowami. „Pomożecie?”.

Klient w sklepie mięsnym prosi o kaszanę. Ekspedientka pyta: „A krew pan oddał?”. „Oddałem”. „To proszę jeszcze przynieść kaszę”.

Czym się różni Gierek od Gomułki? Niczym, ale jeszcze tego nie wie.

Jaka jest różnica między Gierkiem a Szwejkiem? Szwejk był mądry i udawał głupiego. A Gierek? Nie służył w austriackim wojsku.

Następnego dnia po wyborze na I sekretarza Gierek chodził na czworakach wokół Pałacu Kultury. Prerażeni ochroniarze dzwonią do Breżniewa. „Nie denerwujcie się. Towarzysze naukowcy przez pomyłkę wszczepili mu program Lunochoda”.

Pierwsza uchwała Biura Politycznego pod rządami Gierka? O regulacji rzek. Pogłębiamy dno i trzymamy się koryta.



**Jan
Pietrzak**

Kto ma największy samochód w Polsce? Gierek. Oparcie na Śląsku, siedzenie w Warszawie, hamulce na Wybrzeżu, kierownica w Moskwie.

Co to jest FIAT 126 p? Fatalna Imitacja Auta Turystycznego, 1-osobowego, 2-drzwiowego i 6-krotnie prześląconego.

Gierek tonął. Uratowało go trzech chłopów. Gierek pyta, co chcą dostać w nagrodę. Jeden z nich odpowiada: „Rower, motocykl, pogrzeb na koszt państwa?”. „Dlaczego?”. „Bo jak ojciec się dowie, kogo uratowałem, to mnie zabije”.

Gierkowi śniły się często kartofle. W końcu zażył wrótkę, co to może znaczyć. „Albo wykopią na jesieni, albo posadzą na wiosnę”.

„Dlaczego, towarzyszo, nie byliście na ostatnim zebraniu partyjnym?”. „Gdybym wiedziała, że ostatnie, tobym przyszła z całą rodziną!”.

Co zrobić, by w Polsce było dobrze? „Powiesić komunistów i pomalować szyny na białą”. „Dlaczego na białą?”. „Dlaczego nikt nie pyta o to pierwsze?”.

Okazja, by poprawić wynik

Z Władysławem Kozakiewiczem, mistrzem olimpijskim w skoku o tyczce, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Częściej myślał pan ostatnio: „Lepiej późno niż wcale”?

Władysław Kozakiewicz: A nawet: „Lepiej późno niż później”. Był kiedyś taki film... Jak człowiek dochodzi do pewnego wieku, mocniej widzi, że nawet jeśli dużo w życiu zrobił, nie wszystko zobaczył, nie wszystkiego doświadczył. Więc jeśli pojawia się okazja, żeby wynik trochę poprawić, warto skorzystać.

Mam wrażenie, że niewiele może pana zaskoczyć. Czy w czasie niedawnej podróży po Azji zdarzyło się coś nieoczekiwanego?

Chyba nic mnie nie zaskoczyło. Czasem zdziwiło. Na przykład to, że można mieszkać w dwumetrowym „pudełku”. Dla Japończyka to pokój sypialny. Ale okazało się, że w dobrym towarzystwie i taką przestrzeń da się zaakceptować. A w programie „Lepiej późno niż wcale”, który

pojawi się w Polsce już jesienią, towarzystwo było doborowe: Piotr Polk, Karol Strasburger, Krzysztof Hanke, Rafał Masny i ja.

Podobno dbał pan o dobry stan zdrowia kolegów?

O ich przewody pokarmowe. Trzeba je było odpowiednio wspomóc po lokalnych posiłkach, skoro zachęcałem, żeby wszystkich próbowali.

Trzy tygodnie w nie zawsze sprzyjających okolicznościach – zdarzyło się panu pokazać „gest Kozakiewicza”?

Nie dosłownie, ale ostro odmówiłem udziału w przygotowaniu do śmierci. To było w Korei. Szczegóły zobaczycie na ekranie, a na razie powiem tak: zamiast mówić o śmierci, chcę żyć szczęśliwie. Tak długo jak będę żył.



Fot. Bartosz Krupa/East News

BRONISŁAW WILDSTEIN

Do czego służy Kodeks cywilny



Szczerze powiedziawszy, nie chce mi się już pisać o wymiarze sprawiedliwości w Polsce. Ale, jak w znanym dowcipie, muszę. Myślę, że wyczyn, którego dokonała grupka sędziów Sądu Najwyższego, „zawieszając” ustawę ich dotyczącą, przejdzie do annałów i stanie się szokującym dowodem stanu, do jakiego doszły korporacja prawnicza i całość establishmentu III RP.

Siedmiu sędziów z SN miało wątpliwości co do ustawy o sądownictwie. Zwróciło się więc do Trybunału Sprawiedliwości UE o ich rozstrzygnięcie, mimo że ciało to nie ma uprawnień do ingerowania w sprawy ustroju sądownictwa krajów członkowskich. Do czasu jego decyzji „zawiesiło” prawo, które przyjął polski ustawodawca. Dokonało tego na mocy Kodeksu postępowania cywilnego, w którym czytamy: „W każdej sprawie cywilnej podlegającej rozpoznaniu przez sąd lub sąd polubowny można żądać udzielenia zabezpieczenia”. I dalej: „Jeżeli przedmiotem zabezpieczenia nie jest roszczenie pieniężne, sąd udziela zabezpieczenia w taki sposób, jaki stosownie do okoliczności uzna za odpowiedni [...]”. W szczególności sąd może: 1) unormować prawa i obowiązki stron lub uczestników postępowania na czas trwania postępowania; 2) ustanowić zakaz zbywania przedmiotów lub praw objętych postępowaniem; 3) zawiesić postępowanie egzekucyjne lub inne postępowanie zmierzające do wykonania orzeczenia; 4) uregulować sposób roztoczenia pieczy nad małoletnimi dziećmi i kontaktów z dzieckiem; 5) nakazać wpisanie stosownego ostrzeżenia w księdze wieczystej lub we właściwym rejestrze”.

Oto, na podstawie jakiego przepisu SN zawiesił ustawę do czasu rozstrzygnięcia sprawy przez TSUE. Bo przecież,

jak powiedział rzecznik SN, kiedyś w tej sprawie powinien się on wypowiedzieć.

Wynika z tego, że SN, ale właściwie dlaczego tylko on, przecież w KPC nic o nim nie ma, czyli że każdy sąd albo każdy sędzia może zawiesić funkcjonowanie dowolnej ustawy w Polsce, wysyłając ją do TSUE. Ustrój prawny państw członkowskich jest ich wewnętrzną sprawą, a Karta praw podstawowych nie została przez nasz kraj podpisana. Co z tego, jeśli sędziowie chcą zapytać trybunał w Strasburgu. Może przyjdzie im do głowy zapytać kogo innego.

Innymi słowy: zwierzchnikiem władzy ustawodawczej i wykonawczej jest w Polsce każdy sędzia, który może zakwestionować i zawiesić podjęte przez nie działania. Może wyrwać dowolny przepis z kodeksu i zastosować go, jak mu się podoba, bo to on decyduje, czym jest państwo prawa.

Zachwytom nad „arcymistrzostwem” SN ze strony głównych ośrodków III RP nie ma końca. Ich przedstawiciele mówią zresztą bez ogródek, że przecież chodzi o pognębienie władzy, która chce ograniczyć ich panowanie, czyli państwo prawników. Działaniem tym dają dowód, jak je rozumieją. Prawnikom wolno żonglować prawem, jak chcą, nie obowiązuje ich ono, bo to oni przedstawiają jedyną, obowiązującą jego wykładnię. Mogą mieć usta pełne frazesów na temat niezawisłości sędziowskiej, a jednocześnie straszyć i szantażować sędziów, jeśli ci zgodzą się uczestniczyć w gremiach powołanych na mocy nowego prawa. Mogą opowiadać niestworzone rzeczy.

Słyszymy i czytamy, że polskie prawo jest podrzędne wobec prawa unijnego. Tymczasem w całej Europie od lat trwa na ten temat debata, a kolejne kraje pro-

testują przeciw tego typu uproszczeniom sędziowskiej kasty. To, że potrzebna jest zgoda państw członkowskich na określone konwencje, pokazuje, iż nie ma żadnej nadrzędności „prawa unijnego”. Z owym uproszczeniem nie zgadzają się ważne instytucje prawne. Niemiecki TK kilkakrotnie uznał, że RFN przyjmuje tylko te regulacje, które są zgodne z jej konstytucją. Ale polski establishment sędziowski uznałby za obrazę majestatu porównywać polskie i niemieckie instytucje. Przecież to do Niemiec udają się najwyżsi jego przedstawiciele, skarżąc się i prosząc o pomoc. Być może sędzia Gersdorf wybierze uchodźstwo bezpośrednio w Berlinie, a nie w Brukseli, która mu podlega.

Establishment III RP przekonuje wszystkich w kraju i w Unii, że Polska jest jej szczególnym, drugorzędnym członkiem. Od jego przedstawicieli słyszymy ciągle, że skoro jesteśmy we wspólnej Europie, to wyrzekliśmy się podmiotowości, naszą flagą jest sztandar unijny, a stolicą Bruksela, czytaj: Berlin. Polacy mogą sobie wybierać, kogo chcą, a decydować będą mądrzejsi od nich, których interes w kraju zabezpieczy niezawisłe, w każdym razie od polskich obywateli, sądownictwo.

Fot. Andrzej Wiktor



Co wieczór w Berlinie „Mazurek Dąbrowskiego”

Po ogromnym rozczarowaniu, jakie przyniosły nam mistrzostwa świata w piłce nożnej, każdy triumf biało-czerwonych jest dla kibiców jak łyk świeżego powietrza. A lekkoatleci podczas mistrzostw Europy w Berlinie dostarczyli nam tyle frajdy, że znów zaczynamy sobie przypominać, że polski sportowiec może.

I to jak! Już sam start prestiżowej imprezy to było prawdziwe polskie wejście smoka. Sposób, w jaki Michał Haratyk i Konrad Bukowiecki w pchnięciu kulą zdominowali słynnego Niemca Davida Storla, był iście brawurowy. Dodajmy – Polacy pokonali zawodnika, który rywalizował jeszcze z naszym kultowym Tomaszem Majewskim i często był od niego lepszy. Mało tego, obaj młodzi zawodnicy wynikami odpowiednio 21,72 m i 21,66 m pokazali, że już w tej chwili są w stanie osiągać lepsze rezultaty niż Majewski, sięgając po olimpijskie złoto w Pekinie. Widok Polaków na dwóch najwyższych stopniach podium w Berlinie, którzy odśpiewują jak natchnieni „Mazurek Dąbrowskiego”, to bezcenne przeżycie.

W rzucie młotem też wszystko poszło gładko. Wojciech Nowicki i Paweł Fajdek byli w swojej konkurencji zdecydowanymi faworytami. I nie zawiedli. Nowicki, mistrz Polski, potwierdził znakomitą dyspozycję najpierw w drugim rzucie (80 m), a potem w trzecim (80,12 m). Drugi z Polaków próbował go gonić, ale był tego dnia po prostu słabszy. Węgier Bence Halász (trzeci) został daleko z tyłu.

Zanim mistrzostwa się rozkręciły, jeszcze przed zamknięciem tego numeru, kolejne złoto do naszej kolekcji dorzuciła Paulina Guba (na zdjęciu). Kulomiotka z Otwocka sprawiła ogromną niespodziankę, bo wydawało się, że prowadząca na europejskich listach Niemka Christina Schwanitz jest poza jej zasięgiem. Polka zaatakowała jednak w ostatniej próbie i wyprzedziła faworytkę.

Podczas dekoracji w centrum Berlina Gubie odegrano wreszcie dobrze brzmiący hymn. To efekt protestu polskiej strony. Wcześniejsze wykonania (dla Haratyka i Nowickiego) „Mazurka Dąbrowskiego” ledwie przypominały. Jeszcze kilka takich triumfów, a Niemcy nauczą się grać polski hymn jak z nut.

Cezary Kowalski

Afronty, które wyrządzają sobie wzajemnie Donald Trump z Angelą Merkel, są oznaką coraz głębszych różnic między USA i Niemcami. Te różnice można dostrzec w sferze zarówno gospodarczej – chodzi przede wszystkim o zaostrażającą się wojnę handlową – jak i politycznej: Trump krytykuje zbyt niskie nakłady Berlina na obronę, wypominając przy okazji, że zaoszczędzone w ten sposób pieniądze wydaje na zakup rosyjskiego gazu i wzmacnia tym samym reżim Putina.

Wydaje się, że uwagi Trumpa mocno dotknęły Niemców. Za naszą zachodnią granicą pojawiły się bowiem głosy, że należy od nowa przemyśleć niemiecką politykę bezpieczeństwa i uniezależnić ją od Waszyngtonu. „Na Stany Zjednoczone nie możemy dłużej liczyć” – powiedziała w maju Angela Merkel, zdejmując tabu z tematu nienaruszalności więzi transatlantycznych i uruchamiając w ślad za tym reakcję łańcuchową.

Pod koniec lipca politolog Christian Hacke na łamach „Welt am Sonntag” zadał wprost pytanie: czy w obliczu rysującej się na horyzoncie nowej sytuacji geopolitycznej Niemcy nie powinny mieć własnej broni jądrowej? W swoim artykule Hacke przyznaje przewrotnie rację Trumpowi, gdy ten mówi, że Niemcy zbyt mało inwestują w obronność. Przewiduje jednak, że skutkiem obecnego

Niemcy

Berlin chce własnej bomby?



kryzysu w relacjach transatlantycznych będzie spadek znaczenia NATO, z czego Niemcy muszą wyciągnąć wnioski. Zdaniem Hackego mają trzy wyjścia: przecząć Trumpa, oprzeć swoje bezpieczeństwo na francuskim parasolu atomowym albo opracować własną broń jądrową i osiąść tym samym zdolność do prowadzenia całkowicie niezależnej polityki. Pierwsze rozwiązanie Hacke odrzuca, a pozostałe poddaje pod rozważenie.

Artykuł Hackego wywołał publicystyczną burzę. W debacie zwraca się uwagę, że pozyskanie przez Niemcy bomby jądrowej byłoby pogwałceniem traktatu o nierozprzestrzenianiu broni nuklearnej oraz porozumień zjednoczonych z 1990 r. „Jeśli Niemcy zbudują własną bombę, to kto powstrzyma Polskę i Turcję przed podobnym krokiem?” – pyta Wolfgang Ischinger, szef Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa.

Najlepszym rozwiązaniem wydaje się więc ścisła współpraca z Francją i dofinansowanie z niemieckiego budżetu jej arsenału nuklearnego. W ten sposób broń jądrowa zostanie włączona do uzbrojenia przyszłej europejskiej unii obronnej i – nie naruszając żadnych traktatów – znajdzie się pod częściową kontrolą Berlina.

Na pytanie, czy „wyzwolonym” spod amerykańskiego parasola atomowego Niemcom NATO będzie do czegośkolwiek potrzebne, dyplomatycznie nikt nie odpowiada. **✓**

Konrad Kołodziejewski

Rosja

Krok w stronę zakazu aborcji?

Konserwatyzm putinowskiej elity jest przez większość obserwatorów z reguły – przekonująco – redukowany do wymiaru cynicznego pozycjonowania się. Bo trzeba się czymś różnić od Zachodu, bo taka postawa daje do ręki bat na liberalną opozycję; możliwość stygmatyzowania jej jako obcej.

Zwolennicy takiej redukcji z reguły powołują się przy tym jako na dowód, że putinowski tradycjonalizm to wyłącznie poza, na to, że władze w Rosji nie robią realnie niczego, aby zmienić sytuację, w której ich kraj przodkuje w światowych statystykach zachowań sprzecznych z tradycyjnym dekalogiem. Przede wszystkim idzie o to, że jest on światową stolicą aborcji, która pozostaje legalna, jest wykonywana w ramach powszechnego ubezpieczenia zdrowotnego i traktowana wciąż jako coś w rodzaju podstawowego środka antykoncepcyjnego.

Z faktami trudno polemizować – tak istotnie jest. Niemniej, być może, coś tu zaczyna się zmieniać. Oto w kilku regionach Federacji Rosyjskiej – w obwodzie riazzańskim, w daleko-

wschodnim Kraju Przymorskim (Władywostok) i w syberyjskiej Jakucji lokalne władze... zakazały aborcji tymczasowo, na symboliczny, krótki czas (tydzień albo trzy dni). Uczyniły to w ramach społecznej akcji „Podaruj mi życie”, prowadzonej przez organizację pro-life, na czele której stoi Swietłana Miedwediewa, żona obecnego premiera.

Gest bez znaczenia? Można tak powiedzieć, ale z drugiej strony po raz pierwszy zakaz aborcji – oczywiście w symbolicznym wymiarze – został zastosowany w Rosji. Zresztą zwolennicy aborcji tego nie zlekceważyli i zaczęli bić na alarm, nazywając akcję „niecywilizowaną” i podkreślając, że skoro zgodnie z rosyjskim prawem ciężę można przerywać do 12 tygodnia, to nawet trzydniowy zakaz sprawi, że jakaś część pragnących dokonać aborcji kobiet znajdzie się nieoczekiwanie w sytuacji, w której już nie będą mogły zrobić tego legalnie.

Czy coś z tego wszystkiego wyniknie? Zobaczmy. **✓**

Piotr Skwieciński



Węgry

Iskrzy na linii Budapeszt – Kijów

Mowa, którą w Siedmiogrodzie wygłosił niedawno Viktor Orbán, spotkała się z gwałtowną reakcją w Kijowie. Premier Węgier powiedział m.in., że Ukraina co prawda wyrwała się z rosyjskiej strefy wpływów i pragnie się przyłączyć do świata Zachodu, to jednak on nie daje jej szans na członkostwo w NATO, szanse na akces do UE zaś uważa za bliskie zeru. Zamiast nowoczesnego państwa w dorzeczu Dniepru widzi on – jak sam stwierdził – „ukraińską gospodarkę jako dryfującą w kierunku niewoli długów”.

Wkrótce potem MSZ w Kijowie wezwał ambasadora Węgier László Pappą i wyraził protest wobec wypowiedzi Orbána. Uderzają one – według resortu dyplomacji – w euroatlantyckie dążenia Ukrainy, nie odzwierciedlają stanowiska UE i wpisują się w narrację państwa agresora, czyli Rosji. Ukraińska wicepremier Iwanna Kłympusz-Cyncadze poradziła Orbánowi, by przypomnieć sobie, że kiedyś Węgry „po dziesięcioleciach okupacji przez Związek Sowiecki wstępowały do NATO i UE, mając pełne poparcie krajów demokratycznych, a teraz do tego samego dąży Ukraina”.

Wicepremier dodała, że „ukraińscy żołnierze bronią przed putinowską agresją nie tylko Ukrainę, lecz także Węgry, które nie widzą zagrożenia ze strony Moskwy i próbują iść z nią na kompromisy”. W ten sposób nawiązała do wypowiedzi Orbána, który uznał sankcje Zachodu wobec Rosji za prymitywne i opowiedział się za ich zniesieniem.

Stosunki między obu krajami są szczególnie napięte od przyjęcia we wrześniu nowej ustawy oświatowej na Ukrainie, która ograniczyła szkolnictwo węgierskie na Zakarpaciu. Zostało to odebrane przez Budapeszt jako ograniczenie praw mniejszości do edukacji we własnym języku. Negocjacje nie przyniosły rezultatu. W efekcie rząd węgierski powołał pełnomocnika w randze ministra odpowiedzialnego za rozwój w obwodzie zakarpackim oraz za przedszkola w całej Kotlinie Panońskiej. W odpowiedzi MSZ w Kijowie wręczył László Pappowi notę protestacyjną, uznając za niedopuszczalne włączenie do kompetencji węgierskiego urzędnika części suwerennego terytorium Ukrainy.

Ostatnie posunięcia Budapesztu budzą niepokój nie tylko w Kijowie, lecz także na Słowacji i w Rumunii, gdzie żyje mniejszość węgierska. Politycy w Bukareszcie krytykują prorosyjski kurs Orbána oraz żądanie autonomii dla Siedmiogrodu. Ich zdaniem zagraża to spójności projektu Trójmorza. Jeśli Polska chce być liderem tego aliansu, to nasza dyplomacja stoi przed zadaniem łagodzenia napięć w Europie Środkowej.

Grzegorz Górny



Włochy

Wypędzić pasożytów

Włoscy parlamentarzyści odrzucili kandydaturę byłego publicysty konserwatywnego dziennika „Il Giornale” Marcella Foa na szefa publicznej telewizji RAI. Jak pisze agencja Reuters, jest to pierwszy gest oporu deputowanych wobec nowej koalicji z Ruchu Pięciu Gwiazd i Ligi Północnej.

55-letni Foa to gorący zwolennik lidera Ligi i szefa MSW Matteo Salvini oraz zadeklarowany wróg wspólnej europejskiej waluty. W 2011 r. został menedżerem w szwajcarskim koncernie medialnym Gruppo Corriere del Ticino. Jego kandydatura została wysunięta w tym samym dniu, w którym założyciel Ruchu Pięciu Gwiazd Beppe Grillo ponownie zaproponował rozpisanie referendum na temat przynależności Włoch do unii walutowej. W konsekwencji doszło do gwałtownego wzrostu oprocentowania włoskich obligacji rządowych.

Lider Ruchu Pięciu Gwiazd Luigi di Maio tłumaczył decyzję rządu „potrzebą kulturowej rewolucji we włoskich mediach publicznych”. Według niego z RAI „należy wypędzić wszystkie pasożyty”, które znalazły się tam z polecenia tradycyjnych włoskich partii. W odpowiedzi lewicowe gazety uruchomiły kampanię przeciwko Foa, zarzucając mu, że jest nie tylko eurosceptykiem, lecz także homofobem i rusofilem, który szerzy fake newsy na Twitterze.

Ostatecznie jego nominację zatrzymał jednak Silvio Berlusconi. RAI jest największą grupą telewizyjną we Włoszech, która konkuruje z koncernem Mediaset kontrolowanym przez rodzinę byłego premiera i lidera Forza Italia. Foa zdobył większość głosów w komisji nadzorującej RAI, ale nie otrzymał wymaganej większości dwóch trzecich, ponieważ posłowie Forza Italia (obok posłów centrolewicowej Partii Demokratycznej) wstrzymali się od głosu. Berlusconi miał odrzucić kandydata rządu, ponieważ był urażony tym, że Salvini nie skonsultował z nim tego wyboru.

Porażka w głosowaniu nie oznacza jednak, że Liga i Ruch zrezygnują z czystek w telewizji publicznej. Jak powiedział Salvini, nie zamierza on na razie proponować nikogo innego, a parlamentarzyści „będą w końcu musieli zaakceptować jego wybór”. Gdy mówi o parlamentarzyście, chodzi mu oczywiście głównie o Berlusconiego.

Na wypadek, gdyby się jednak nie udało zrobić z Foa szefa telewizji, Salvini ma plan B: Foa pozostanie w komisji nadzorującej RAI, a może nawet zostanie jej przewodniczącym. A on proponuje, by szefem RAI został Giampaolo Rossi z małej prawicowej partii Bracia Włosi, gorący zwolennik Viktora Orbána. Rossi już zadeklarował, że „chętnie będzie współpracował z Foa w celu stworzenia telewizji dla wszystkich”.

Wygląda na to, że włoskie media publiczne czeka gorąca jesień.

Aleksandra Rybińska

OGNIEM NA WPROST

Wujek Dobra Rada i parada

Syryjski uchodźca Araas Bacho, od siedmiu lat mieszkający w Niemczech, jest mimo młodego wieku już znanym publicystą. Dwa lata temu wzywał, by wszelkie występujące w przestrzeni publicznej napisy (nawet na opakowaniach produktów żywnościowych) były dwujęzyczne: po niemiecku i arabsku. Taki krok miałby „ułatwić integrację”. Potem na swoim blogu na stronie portalu informacyjnego Der Freitag napisał o wyborcach antyimigranckiej AfD i Pegidy: „My, uchodźcy, nie chcemy żyć w jednym kraju z wami”. Radzi im opuścić kraj i prosi, żeby zabrali z sobą Saksonię, gdzie ugrupowania antyimigranckie cieszą się największym poparciem. „Jesteśmy chorzy, widząc was!” – pisał Bacho. „Możecie uciec z Niemiec i szukać sobie nowego domu. Jedźcie najlepiej do Ameryki Donalda Trumpa. Mamy już was dość!”. Teraz w austriackim dzienniku „Österreich” opublikował list otwarty, w którym poucza tym razem Austriaków, żeby płacili więcej pieniędzy na imigrantów, bo... „Jezus wam tak każe”. I powołuje się na Pismo Święte. „Jeśli to konieczne, daj im swój dom i wszystkie swoje pieniądze. Jak widać, nie wszyscy chrześcijanie przestrzegają tych wytycznych” – konkluduje syryjski uchodźca. To naprawdę przykre, że przybysz z Południa musza przypominać Austriakom prawdy wiary, ale każdy kraj, motyla noga, ma takiego wujka Dobra Rada, na jakiego sobie zasłużył.

na chodzenie w czymś, co wygląda jak skrzynka na listy”. Dodał, że „jeśli spotkałby studentkę [...] wyglądającą jak rabuś napadający na bank, poprosiłby ją o odsłonięcie twarzy”. Obejrzało się Johnsonowi za tę wypowiedź od samej premier Theresy May i szefa partii Brandona Lewisa, który wezwał go do przeprosin. W obronę wzięła go natomiast deputowana torysów Nadine Dorries, podkreślając, że „nie posunął się on za daleko”. Przypomniała państwu, które wprowadziły publiczny zakaz zasłaniania twarzy. Francja, Belgia, Austria, Łotwa, Bułgaria, a ostatnio także Dania. Deputowani w Norwegii głosowali za zakazem noszenia burki, ale nie wiadomo, czy oficjalnie stanie się on prawem, czy też nie. W końcu „te kraje nie padają na kolana w ramach przeprosin” – podsumowała Dorries. Może już czas na decyzję polskiego Sejmu w tej sprawie. Lepiej dmuchać na zimne.

Znany ze swoich sympatii po 1989 r. do przedstawicieli aparatu opresji PRL, były na szczęście prezydent RP Bronisław Komorowski nie chciał w początkach lat 90. obchodów Święta Wojska Polskiego w dniu rocznicy pogromu bolszewików 15 sierpnia 1920 r. Jak pokazują dokumenty ujawnione przez dyrektora Wojskowego Biura Historycznego dr. hab. Sławomira Cenckiewicza, w zamiśle Komorowskiego miało to być jedynie święto nieoficjalne, „festynowo-ludowe” i „religijne”. Powód? Sprzeciw postkomunistycznej kadry, która wtedy rządziła wojskiem. Na szczęście stało się inaczej i na 100-lecie niepodległości Polski będzie można oglądać naszą siłę zbrojną przemieszczającą się tym razem Wisłostradą (a nie Alejami Ujazdowskimi) w pełnej krasie. Defilada naziemna ma być podzielona na trzy główne części: pieszą, pojazdów oraz defiladę historyczną. W defiladzie lotniczej udział wezmą jednostki sił powietrznych i lotnictwa wojsk lądowych. Na wojskowej paradzie w Warszawie pojawi się łącznie ponad 100 samolotów i śmigłowców, ok. 1,5 tys. żołnierzy, 200 pojazdów wojskowych, 900 rekonstruktorów. Przy Multimedialnym Parku Fontann, gdzie będzie znajdował się punkt centralny uroczystości, defiladę odbiorą: prezydent RP Andrzej Duda, minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak oraz przedstawiciele Sejmu i Senatu, rządu, w tym premier Mateusz Morawiecki. W części historycznej planowany jest m.in. popis umiejętności kawaleryjskich grupy Kaskaderów Konnych Kostrzewy w strojach lisowczyków – okrutnie skutecznej naszej formacji jazdy. Początek o godz. 13.00.

Andrzej Rafał Potocki



Boris Johnson, były minister spraw zagranicznych i były burmistrz Londynu, napisał w poniedziałek w „Daily Telegraph” o muzułmańskiej burce: „To absolutnie żenujące, że ludzie decydują się

Polska kropka nad i w światowym wzornictwie

Red Dot Design Award to nagroda przyznawana od 1955 r. przez Design Zentrum Nadrenia Północna-Westfalia w Essen, w Niemczech. Nazywana Oscarem designu stanowi jedną z najbardziej prestiżowych nagród w dziedzinie wzornictwa przemysłowego na świecie. Nagrodzone projekty są corocznie wybierane spośród kilku tysięcy zgłoszeń, by następnie zostać zaprezentowane w Red Dot Design Museum w Essen.

W 1955 r. po raz pierwszy producenci i projektanci z całego świata mogli się ubiegać o prawo do posługiwania się charakterystycznym znakiem czerwonej kropki – synonimu najwyższej jakości designu. Tegoroczne 39-osobowe, międzynarodowe jury oceniało ponad 6 tys. produktów z 59 krajów. Nagrody i wyróżnienia przyznano niespełna 70 z nich. W gronie laureatów znalazło się aż 12 polskich pomysłów.

Jedną z rodzimych pracowni projektowych otrzymała nagrodę Red Dot za Pasterską Chatę, która została wybudowana nad Jeziorem Czorsztynskim. W tym przypadku jury doceniło przede wszystkim umiejętne wkomponowanie tego domu w naturalny krajobraz. Projekt jest efektem inspiracji twórców regionalną tradycją, a do jego wzniesienia użyto lokalnych materiałów. Zwieńczeniem prac nagrodzonego studia projektów jest połączenie nowoczesności z lokalnym stylem.

Red Dot przyznano także polskim firmom, które wyprodukowały panele akustyczne. Praktyczne elementy poza swoją funkcjonalnością cechuje oryginalny wygląd, który doskonale może się komponować ze współczesnymi wnętrzami.

W gorące dni dużym powodzeniem będą się z pewnością cieszyć nagrodzone w Essen meble chłodzące przeznaczone do przechowywania mrożonek. Urządzenie niewielkich rozmiarów przyciąga uwagę swoim atrakcyjnym wyglądem i funkcjonalnością.

Kiosk multimedialny to kolejny polski produkt nagrodzony Red Dot Design Award. Urządzenie to może spełniać funkcję



Marta Kaczyńska

informacyjną, nawigacyjną lub sprzedażową. Kioski mogą mieć także zastosowanie do obsługi loterii promocyjnych, programów lojalnościowych i akcji reklamowych.

Jury międzynarodowej nagrody zauważyło i uhonorowało ergonomię sprzętu ogrodniczego polskiej produkcji, a także dwa modele lornetek naszych firm. Kształt jednej z nich nawiązuje do motywów roślinnych. Ponadto w gronie nagrodzonych znalazła się polska firma produkująca telewizory oraz urządzenia audio.

Sądząc po szerokim wachlarzu produktów, które spotkały się z uznaniem międzynarodowego gremium oceniającego współczesny design, trzeba przyznać, że w dziedzinie wzornictwa przemysłowego jesteśmy niezwykle wszechstronni i tkwi w nas potencjał pozwalający na wyznaczanie światowych trendów oraz stawianie kropki nad i w doborze przedmiotów codziennego użytku.

*Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 25 lipca 2018 roku zmarł w Warszawie*

ŚP

PPEŁK STANISŁAW OLEKSIĄK
PS. „KOZIC”

urodzony 12 października 1924 roku w Sokolowie Podlaskim.

*Od listopada 1939 roku służył w Związku Walki Zbrojnej
w Obwodzie Sokółów Podlaski Obszaru Warszawskiego ZWZ.*

*Od sierpnia 1943 roku żołnierz oddziału partyzanckiego
Konfederacji Narodu, a następnie 1. kompanii
3. batalionu Uderzeniowych Batalionów Kadrowych
77. Pułku Piechoty Armii Krajowej.*

*Uczestnik Akcji „Burza” na terenie Wileńskiego Okręgu AK.
Od sierpnia 1944 roku walczył na Podlasiu przeciwko siłom NKWD i UB.*

*Od listopada 1944 do czerwca 1945 roku więziony przez komunistyczny aparat bezpieczeństwa. Od lipca 1945 roku służył w jednostce ostonowej warszawskiej
komórki kontrwywiadowczej Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj oraz Zrzeszenia
„Wolność i Niezawisłość”. Od lutego 1946 do grudnia 1954 roku więziony
w Areszcie Śledczym Warszawa-Mokotów, we Wronkach, Sierszy Wodnej
oraz Brzeszczach.*

*W latach 2010-2013 Prezes, a następnie Prezes Honorowy
Zarządu Głównego Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej.
Uchonorowany Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Wirtuti Militari,
Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Walecznych
oraz innymi odznaczeniami.*

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk

Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych



Fot. www.oriento.pl

49/0718/F

Śmierć na życzenie

W Belgii poddano eutanazji dwoje dzieci w wieku 9 i 11 lat. Młodsze miało raka mózgu, a starsze cierpiało na mukowiscydozę. O sprawie informuje RMF FM. „Wiadomo, że w jednym z przypadków dziecko poprosiło o eutanazję na piśmie. Zostało przebadane przez dziecięcych psychiatrów, którzy uznali, że decyzja nie jest wymuszona »przez osobę trzecią«” – czytamy. Od czterech lat w Belgii można dokonać eutanazji na nieuleczalnie chorym dziecku, pod warunkiem że ono tego chce, a rodzina się na to zgodzi. Od 2016 r. przeprowadzono trzy eutanazje na dzieciach poniżej 18. roku życia, a łącznie w latach 2016–2017 doszło do 4 337 eutanazji. Postęp pełną gębą.

Cywilizacja zachodnia właśnie przeprowadza eutanazję na samej sobie, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy. 



324
tys.

– tyle spośród użytkowanych w Europie samochodów z silnikami Diesla zamierza ściągnąć do naprawy firma BMW. Wszystko z powodu zagrożenia pożarem.

200
tys.

– tyle gospodarstw domowych w Niemczech jest uzależnionych od pomocy opiekunek. Tak wynika z danych przedstawionych przez Knoppa.

168
mln zł

– zainwestuje Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w zakup elektrycznych autobusów oraz modernizację lub budowę stacji ładowania pojazdów publicznego transportu zbiorowego.

Korki z „Fortnite’a”

Korepetycje z polskiego czy matmy to nic dziwnego, ale korepetycje z gier komputerowych? Okazuje się, że i na to wpadli pomysłowi rodzice, którzy za nic nie chcą, by ich dzieci odstawały od rówieśników. „Jak donosi »The Wall Street Journal«, w ostatnim czasie w Stanach Zjednoczonych i w Wielkiej Brytanii popularne stały się korepetycje dla dzieci z gier komputerowych. Prym wiedzie tu znana gra survivalowa »Fortnite« stworzona przez amerykańską firmę Epic Games we współpracy z polskim studiem People Can Fly. Szczególną popularność zdobyła wersja gry prowadzona w trybie battle royale o nazwie »Fortnite Battle Royale«, którą każdy może pobrać za darmo. Jest to obecnie najbardziej dochodowa i najczęściej streamowana gra internetowa. Liczba jej graczy przekroczyła w czerwcu 125 mln, a jej producenci zainkasowali już 1 mld dol. na mikropłatnościach, a więc sprzedaży wirtualnych przedmiotów w grze” – czytamy na rp.pl. Wygląda na to, że w dzisiejszych czasach, by być kimś, nie wystarczy piątka z matmy. Teraz trzeba wymiatać w „Fortnite’a”. Okazuje się, że można na tym nawet zarobić. W USA są uczelnie, które oferują stypendia najbardziej utalentowanym graczom. Na Uniwersytecie w Ohio można otrzymać z tego tytułu 4 tys. dol. Zawodowcy mogą również brać udział w turniejach, w których studio Epic Games wydało ostatnio na nagrody 100 mln dol., a także streamować swoje rozgrywki w sieci. Najpopularniejszy streamer, 27-latek o pseudonimie Ninja, ma już 10 mln obserwujących i zarabia nawet 500 tys. dol. miesięcznie. To może teraz matura z „Fortnite’a”? Wtedy dzieci mogłyby grać do woli, niegnębione przez rodziców. Synu, niedoczekanie! 

Batman

Mieszkańcy tureckiego miasta Batman wystosowali specjalną petycję do miejskich władz. Domagają się w niej, aby prowincja swoim kształtem przypominała bat-sygnal” – informuje naekranie.pl. W Turcji są aż trzy miasta o tej nazwie, a zmiany kształtu całej prowincji domagają się mieszkańcy miasta Batman ulokowanego nad rzeką Batman. Do 1957 r. miasto nazywało się Iluh. Sprawa może nie być prosta, bo moim zdaniem prowincja kształtem bardziej przypomina odwróconego, nieco zdeformowanego konia. No ale przy odrobinie wyobraźni wszystko da się zrobić. Tylko co na to Warner Bros.? 



Pocztówka z wakacji

Francuskie feministki wpadły na kolejny, tym razem niezły, pomysł. Chcą zakazu produkcji pocztówek przedstawiających skąpo odziane kobiety. Pocztówki z turystycznych miejsc są ich zdaniem seksistowskie albo wręcz pornograficzne. I bardzo pięknie. Oby w następnym kroku zaczęły się bić o zakaz seksistowskich reklam bielizny, rajstop, szamponów, szminek, podpasek itd. Jednym słowem – pora na akcję znaną w Polsce: „Stop seksualizacji dzieci”. Czyżby między lewicą a prawicą rozdziła się nieć porozumienia? 



Zjazdem z K2 uczcilem 100-lecie odzyskania niepodległości przez Polskę – powiedział w studiu wPol-sce.pl Andrzej Bargiel. Do odważnych świat

i K2 należy.

500+ made in France

Ministerstwo kultury Francji chce ułatwić młodym obywatelom kraju dostęp do kin, teatrów czy największych galerii sztuki. Już teraz rozpoczną się testy wartej kilkanaście milionów aplikacji, która przyzna każdemu obywatelowi Francji w wieku 18 lat kwotę 500 euro do wydania na konsumpcję kultury, czyli np. bilety do kina. O sprawie informuje portal noizz.pl. To takie 500+ made in France, z tą tylko różnicą, że młodzi dostaną pieniądze nie „do”, ale „po” ukończeniu 18. roku życia i wydadzą je nie na jedzenie, ubranie i edukację, lecz głównie na zabawę. Reszta właściwie się zgadza. 



Fot. Andrzej Wilko, Shutterstock (x3)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Ewangelia i konstytucja

Polityk powinien pamiętać o jednym: że konstytucja zawsze kroczy przed Ewangelią – rzucił niefrasobliwie pewien polityk lewicowej partii pozaparlamentarnej podczas wystąpienia w telewizji komercyjnej. Wcześniej zadeklarował, że jest katolikiem, i kiedy został wybrany na radnego Wołomina, do ślubowania dodał formułkę: „Tak mi dopomóż Bóg”.



**Dominik
Zdort**

Potem, jakby tłumacząc się przed siedzącą obok niego niewierzącą feministką i patrzącym na niego z zaciekawieniem dziennikarzem, wyjaśnił, że z czasem dojrzał i kiedy wybrano go na radnego sejmiku wojewódzkiego, już się na Boga nie powołał. Polityk, o którym piszę, jest młody i choć reprezentuje partię mającą korzenie w słusznie minionym systemie, to jego życiowe losy były ciekawe i niekoniecznie musiały doprowadzić go na miejsce, w którym się obecnie znajduje.

Urodzony w roku powstania „Solidarności”, w dzieciństwie ministrant, w młodości handlarz na Stadionie Dziesięciolecia, doktoryzował się pod naukową opieką Leszka Moczulskiego, byłego lidera antykomunistycznej Konfederacji Polski Niepodległej.

Dziś jednak jest tam, gdzie jest, i robi to, co robi, oraz mówi to, co mówi. Nie chce się narażać lewicowym wyborcom, tym bardziej że jego partia może – jeśli wierzyć sondażom – powrócić na parlamentarny firmament.

Pytanie brzmi: jak to możliwe, że człowiek wychowany w kręgu Kościoła, niegłupi, otwarty – jak się wydaje – na poglądy inne niż lewicowe może opowiadać rzeczy z katolickiego punktu widzenia po prostu nieprawdziwe. Powiedzieć, że to cynizm, to gruby eufemizm.

Katechizm Kościoła katolickiego powołuje się na opinię żyjącej w VI w. św. Cezarii Młodszej: „Nie ma takiej nauki, która byłaby lepsza, cenniejsza i wspanialsza niż tekst Ewangelii”. Jeśli papież Franciszek nie nakazał jeszcze zmienić tego fragmentu (co oczywiście nie jest wcale pewne), to stanowi on nauczanie dla katolików obowiązujące. Także dla wspomnianego powyżej polityka.

Ewangelia ma być więc ważniejsza dla katolika nie tylko od konstytucji, lecz nawet od traktatu europejskiego, o uchwałach Sądu Najwyższego nie wspominając. Ten, kto głosi cokolwiek innego, nie rozumie istoty wiary i stawia się poza Kościołem. Rozumiem, że w kręgach opozycji jest obecnie moda na absolutyzowanie konstytucji, ale warto, aby choć wierzący pamiętali, iż ustawa zasadnicza to papier zapisany przez człowieka. Tylko przez człowieka. 

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

RZECZY POSPOLITE

Musi być pomnik!

Już kilkakrotnie pisałem na ten temat, popierając słuszne żądania Jana Pietrzaka i Towarzystwa Patriotycznego dotyczące budowy pomnika Bitwy Warszawskiej. I napiszę ponownie.

Jest czymś wstydlivym i smutnym, że w wolnej Polsce, w stolicy, nie ma żadnego odpowiedniej rangi miejsca upamiętniającego Cud nad Wisłą. Do znudzenia trzeba tu powtarzać wszystkie argumenty, które czytelnicy gazet konserwatywnych znają już od dawna, więc przytaczanie ich może być nużące – o tym, że bez zwycięstwa na przedpolach Warszawy nie byłoby nie tylko wolnej i niepodległej Polski, lecz również nie byłoby wolnej Europy, bo bolszewickie hordy na pewno poszłyby dalej.

Pamiętam wywiad ze śp. prof. Wieczorkiewiczem (z którego tezami często się nie zgadzałem), który w trakcie dyskusji na jakiś inny temat stwierdził przewrotnie, że może trochę szkoda, iż Sowietom nie zalali całej Europy; szkoda, gdyż obecnie wiedzieliby, czym było jarzmo sowieckie. I coś w tym jest. Gdy czasem słucha się bredni wygłaszanych przez lewackie środowiska opiniotwórcze lub gdy czyta się wszystkie filoro-



**Tomasz
Łysiak**

syjskie i filozofiekie wypowiedzi lewicowych intelektualistów Europy, spadkobierców Sartre'a i innych, to aż korci, by choć na chwilę wyobrazić sobie, że muszą oni przeżyć w komunie parę lat. Mogłoby to mocno prostować poglądy.

Wracając do pomnika Bitwy Warszawskiej... Jest on nam (pomnik plus duże, nowoczesne muzeum, podobne do tego, które śp. Lech Kaczyński uruchomił dla upamiętnienia Powstania Warszawskiego) niezbędnie potrzebny z kilku powodów. Po pierwsze, bo pamięć o bohaterach roku 1920 to nasz obowiązek – wobec nich i wobec przyszłych pokoleń. Po drugie – ponieważ polskie zwycięstwo nad bolszewikami winno stanowić jeden z kluczowych elementów naszej tzw. polityki historycznej. Turyści przyjeżdżający do Polski, zwiedzający stolicę powinni oglądać dwa kapitalne muzea. Jedno już jest – Powstania Warszawskiego. Drugim winna być placówka dedykowana Cudowi nad Wisłą. Miejmy nadzieję, że zapowiedzi stworzenia takiego muzeum i walka o powstanie pomnika w Warszawie doczekają się w końcu szczęśliwego finału. Może na stulecie bitwy? 

Zakonnica na pasach

Bolesna prawda jest taka, że gdy nie wiadomo, o co chodzi, wiadomo, że chodzi o... Najsztaba. A dokładnie o zdarzenie z października ubiegłego roku, gdy Piotr Najsztab, znany tu i ówdzie, ostatnio głównie z radia Tok FM, w którym ma program pt. „Prawda nas zaboli”, oraz z kroniki przypadków, pogruchotał był staruszką. Kobieta, lat 77, przechodziła przez jezdnię jak Wydział Komunikacji przykazał, w miejscu wyznaczonym dla pieszych, a sprawca, czyli Najsztab, jechał autem bez badania technicznego, bez ubezpieczenia i bez prawa jazdy, które mu odebrano parę lat wcześniej, i stało się: staruszka doznała złamań kości czaszki i żeber. Ale i tak może mówić o wielkim szczęściu, i to potrójnym.

Po pierwsze – mogła nie przeżyć, po drugie – dostała zaszczytu poniesienia trwałego uszczerbku na zdrowiu przez „znanego dziennikarza”, po trzecie – mogła dostać wyrok za zakłócanie porządku publicznego i grzywnę za straty moralne wyrządzone Najsztabowi, a dzięki sądowi finał jest szczęśliwy, i to dla wszystkich. „Znany” mógł trafić do pierdła, a zapłaci tylko grzywnę i zwróci sądowi koszty postępowania, na co zarobi w programach o prawdzie, która nas boli. No i kasta będzie miała w nim jeszcze bardziej oddanego obrońcę porządku po staremu.



**Piotr
Cywiński**

Na marginesie, różne różności wyszły na jaw przy okazji: że Najsztab stracił prawo jazdy, ale nie stracił, choć stracił, bo ktoś coś wysłał na zły adres, potem czegoś w ogóle nie wysłał i nie dostarczył, że w międzyczasie „znany” podobno jeździł autem i był kontrolowany przez policję, której nie przeszkadzało, że czegoś nie ma, bo ma... Ponoć starostwo w Piasecznie powołało komisję do ustalenia, kto co zaniedbał. Wiadomo, jeden to złodziej, dwóch to klika, a trzech to komisja, jest więc szansa, że Najsztab w ogóle będzie oczyszczony, a konsekwencje poniosą ci, którzy tak namiesza, że zamiast obnażać na antenie prawdę, która nas boli, musiał jeździć po urzędach i sądach.

W końcu sprawa nie jest błaża. O konstytucję chodzi, o obronę demokracji, o sąd w Piasecznie, o w ogóle wszystkie sądy w Polsce i całą nadzwyczajną kastę, a w przerośni o wykluczenie – jak to ujął kiedyś równie „znany dziennikarz” Adam Michnik w programie równie „znanego” Tomasza Lisa „Na żywo” – przejechania po pijanemu na pasach niepełnosprawnej zakonnicy w ciąży... W kwestii formalnej: Najsztab i sędziowie byli trzeźwi. Co do staruszki, nie wiem, nie wełknęto jej alkometru w usta, gdy leżała na jezdni. Ma szczęście. Wszyscy mamy... 

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

Syn Marnotrawny negocjuje powrót do domu



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECINSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN),
LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FUJEK,
WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ
GÓRNY, KRYSZYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ,
STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI,
KONRAD KOŁODZIEJSKI, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS,
CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ
RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI,

JAN ROKITA, PRZEMYSŁAW SKRZYDLECKI, PIOTR SKWIECINSKI,
WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, EWA WESOŁOWSKA,
MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDESTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ
ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR,
JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN

FOTOTEKA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABECKA, ANNA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKĄ ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS



WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN Oraz WARUNKI PRENUMERATY
NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

**WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY
DOKONYWAĆ NA KONTO:**

91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA,

W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE
ADRESOWE DO WYSŁYKI Oraz RODZAJ
PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI
PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ
BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA
ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL
LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI
KLIENIA „RUCH” POD NUMERAMI: 22 693 70 00
LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
NAKLAD: 105 450 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOZNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYM.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.

BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNA.



FOT. NA OKŁADCE: GRZEGORZ BANASZAK/REPORTER, MUZEUM NIEPODŁĘGŁOŚCI/EAST NEWS

„Szpalery sadystów!”, „ZOMO!”, „Skur...syny!”, „Zdrajcy!”, „Wyp...dalać za barierki!” – to tylko część wyzwisk, jakimi na ostatnich manifestacjach obrzucano policjantów. Mundurowym się grozi, a nawet na nich pluje. W tym samym szeregu atakujących stoją politycy opozycji, artyści i zawodowi zadymiarze. Cel jest jeden: sprowokować policję. Nie udaje się, bo w czasie antyrządowych protestów funkcjonariusze zachowują godny podziwu spokój

„Obywatel” chce dostać



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Na początek zagadka – który polityk wypowiedział te słowa: „Chcę bardzo mocno podkreślić, że każdy, kto łamie prawo i zagraża funkcjonariuszom wtedy, kiedy to prawo chcą przywrócić, każdy, kto podnosi rękę na polskiego policjanta,

de facto podnosi rękę na państwo polskie. Każdy, kto obraża policjantkę czy policjanta na służbie, obraża majestat Rzeczypospolitej. Chcę was zapewnić, że niezależnie od sytuacji, w jakiej się czasami musicie znaleźć, niezależnie od środków i narzędzi, jakich musicie czasami użyć, władza publiczna, państwo polskie będzie po waszej stronie. A ci przestępcy, ci, którzy naruszają prawo, ci, którzy godzą w bezpieczeństwo obywateli, a często także w bezpieczeństwo tych, którzy noszą mundur, muszą wiedzieć, że nie pozostaną bezkarni?”

Nie był to Joachim Brudziński ani Jarosław Kaczyński, ani Mateusz Morawiecki. To Donald Tusk, który 26 lipca

2014 r. przemawiał na pl. Piłsudskiego w czasie Święta Policji.

Po czterech latach jego partyjni koledzy stają po drugiej stronie. Zamieniają się w chuliganów. Już nie tylko politycznych, lecz rasowych, ulicznych. Szczują na policję, dążą do konfrontacji, pochwalają akty wandalizmu, bronią łamiących prawo. Stają się więc współsprawcami.

Prześledziliśmy dziesiątki filmów, zdjęć i opisów ostatnich protestów przed Sejmem, Pałacem Prezydenckim i Sądem Najwyższym. To w większości materiały zarejestrowane przez samych manifestujących. Wylania się z nich ponury obraz rozhisteryzowa-



Fot. Grzegorz Banaszkiewicz/REPORTER

pałą

nych zadymiarzy, którzy za wszelką cenę chcą zmusić funkcjonariuszy do nerwowych reakcji. Rozmawialiśmy też z policjantami pełniącymi służbę w czasie demonstracji. Podkreślają oni, że pierwszy raz stykają się z taką agresją.

PLUCIE NA MUNDUR

– Skala ataków na nas jest wręcz niewyobrażalna. Stosowany jest cały wachlarz prowokacji. Także fizycznych: popychania policjantów, napierania na szpaler, szarpania płotów, a nawet rozpylania gazu czy plucia na mundur. O słownych nie wspominać, bo je dobrze znacie. Możecie wymyślić dowolne wyzwisko.

Na pewno wobec nas już padło – mówi nam jeden z mundurowych.

Nie ma granic, których wściekle grupy by nie przekroczyły. Szokują obrazy nienawistnych osób wrzeszczących przez megafon w odległości kilku centymetrów od twarzy policjantów: „Wyp...dalać za barierki!”. Okrzyki: „ZOMO!”, „Zdrajcy!” czy „Policja, idźcie sobie stąd, to będzie spokój!” już mało kogo dziwią. Coraz częściej słychać skandowane: „Skur...syny!”, „Wyp...dalać!”, czy przyspiewkę na stadionową melodię: „Nie pomogą wam kordony, gdy suweren jest wkur...ony!”. Porównanie ze stadionowymi bandytami jest tu adekwatne, bo takie chamstwo policjantów na służbie dotychczas dotyczyło tylko ze strony chuliganów mieniących się kibicami. Do tej pory jednak nikt nie usprawiedliwiał takich zachowań.

Dziś ludzie, którzy kreują się na elitę narodu, nie tylko bronią napastników, lecz wręcz ich podburzają. Dorota Stalińska przed siedzibą Sądu Najwyższego: „Co to są za ludzie, ta grupa, te szpalery sadystów ubranych w mundury? Oni hańbią mundur polskiego policjanta. A to są dziwni ludzie, zauważcie, młodzi, nie wiem skąd zebrani, z całej Polski, z agresją w sobie, to są dziewczyny i mężczyźni. Mówię i apeluję do nich: jest tyle innych zajęć uczciwych, którymi mogą się zająć. Też zarobią. Ale naszym zadaniem jest powstrzymać tę agresję. I słusznie. Oni przecież nawet nie wiedzą, dlaczego kogoś legitymują. Oni nie znają pół paragrafu i pół artykułu. Czy tak można zostać policjantem? Statyści! Statyści! Statyści! Za PRL oddziałem milicji, takim dziwnym, podejrzanym, było co?”. „ZOMO!” – odpowiada jej tłum. Aktorka prostuje: „Nie, ORMO! ZOMO było potem, wpierw było ORMO. Więc to jest takie PiS-ORMO”.

Jej tyraada nie trafia w próżnię. Tej samej nocy protestujący niemal wciskają policjantom kamery w twarz i pytają: „Stalińska miała rację? [...] Jesteście zbrojnym ramieniem PiS-u. [...] Tacy młodzi ludzie i nie chcą pracować jak normalni ludzie. Tyle jest różnej pracy, ale jak komuś się nie chce pracować [...] Tyle jest pięknych zawodów – w Biedronce można na kasie, na pocztę można pracować...”. Kolejna po-

dobna scena. Policjant: „Proszę odejść, nie świecić mi w oczy”. „Ja muszę panu świecić w oczy, żeby pana było ładnie widać”. „To proszę skierować kamerę i stać, ale nie świecić mi w oczy”. „Jaki jest pana stopień?”. „Proszę sprawdzić sobie...”. Nagrywający nie wiedział, że cztery gwiazdki i pasek oznaczają aspi-ranta sztabowego.

I jeszcze jedna kwestia z tego samego filmu: „Ogląda pana w tej chwili 15 tys. osób. Jutro pana twarz będzie powszechnie znana”.

ATAK NA RODZINY

– W czasie jednego roku policjanci zabezpieczają setki, a nawet tysiące różnego rodzaju protestów czy imprez, ale żadne inne zadania nie wiążą się z narażeniem na taką falę agresji wobec nich – mówi kom. Sylwester Marczak, rzecznik komendanta stołecznego. Jak podkreśla, najczęściej dochodzi do tego przy próbach legitymowania. – Nie byłoby naszych interwencji bez naruszeń prawa i wtedy mielibyśmy do czynienia z pokojowymi zgromadzeniami. Niestety w ostatnim okresie, przez zachowanie części demonstrantów, nie możemy używać tego sformułowania. Wylegitymowanie najczęściej jest pierwszym krokiem w procedurze, której finał to skierowanie wniosku o ukaranie do sądu. Na tym nasza czynność zostałaby zakończona. Nie ma tu mowy o zatrzymaniach, osadzeniach ani innej formie pozbawienia wolności. Tłum jednak krzyczy: „Uwolnić naszych!”. Pytanie: z jakiej niewoli? W trakcie legitymowania można odmówić nam podania danych. Wówczas – i tak jest zawsze, w całym kraju – czynność tę wykonuje się w komendzie. Tam już nie ma oporu, grzecznie wyciągane są dokumenty, spisywane dane, a osoba zwalniana – tłumaczy kom. Marczak. Inny policjant dodaje: – Osoby, które są zatrzymywane, stosują czynny opór, więc policjanci muszą zastosować środki przymusu bezpośredniego, jak siła fizyczna czy kajdanki, takie są przepisy. W tłumie, przy mediach, ludzie ci szarpią się, wyrwywają, krzyczą o naszej brutalności. Na komisariatach, gdy nikt już nie filmuje zadymiarzy, prowokowanie policji nie ma sensu, więc delikwent nagle się uspokaja.

W tłumie uzbrojonym w telefony komórkowe na wszelkie sposoby przeprowadzane są testy odporności policji na zaczepki. Po demonstracji przed Pałacem Prezydenckim w stronę mundurowych poleciały butelki, byli też kopani, a nawet opluwani i gryzieni.

– Nie sposób wytłumaczyć tego hejtu skierowanego w policjantów, również w ich rodziny, dzieci, z czym spotykamy się zwłaszcza w internecie – dodaje kom. Marczak. Jak się dowiadujemy od naszych rozmówców, niektórzy funkcjonariusze na wszelki wypadek usunęli swoje profile z mediów społecznościowych. Część kieruje sprawy do sądu z powodów twa cywilnego i będzie dochodzić o odszkodowań za naruszenie ich praw, m.in. za publikowanie wizerunku bez zgody – nie wolno bowiem bez pozwolenia rozpowszechniać czyjegoś wizerunku, a przyklejani do swoich telefonów „obrońcy demokracji”, filmując policjantów z bliska, robią to nagminnie.

Co charakterystyczne, filmy zamieszczane przez manifestantów w mediach społecznościowych są uprzednio zmontowane, co może prowadzić do manipulacji. Nagrania często zaczynają się od momentu, gdy prowadzona jest już interwencja policjantów. Brakuje pokazania, co leżało u jej podstaw.

Funkcjonariusze, z którymi rozmawiamy, wskazują, że w tłumie łatwo wyłowić liderów agresywnych zachowań. – Nie można wszystkich protestujących wrzucać do jednego worka. Na każdej z tych demonstracji było 20–30 osób, których zachowania się powtarzały i najczęściej stanowiły złamanie prawa. Coraz częściej pojawiają się anarchiści, skrajni lewicowcy, squatersi, doświadczeni w konfrontacjach z policją. Za wszelką cenę dążą do sprowokowania starć, starają się wciągnąć w to innych uczestników manifestacji. Działają zdecydowanie ostrzej od tych, którzy np. przynoszą lustra i podtykają nam je pod nos.

Czasem pojawiają się zarzuty, że policjantów na tych demonstracjach jest zbyt wielu. Pytamy więc o liczby. Kom. Marczak nie chce mówić o konkretach, powołuje się na przepisy: – Liczby są zawsze adekwatne do zgromadzenia.

Naszym zadaniem jest zapewnienie bezpieczeństwa, a ustawa o Policji zapewnia nam ochronę form i metod realizacji swoich zadań.

ODWAGA PRZED KAMERĄ

Kim są ci, którzy tak „odważnie” stają naprzeciwko policji? Najgłośniejszym przypadkiem jest Michał M., którego cała Polska poznała ze zdjęć pokazanych w TVP Info. Wściekły młodzieniec w białej koszulce wrzeszczał: „ZOMO, ZOMO!” i rzucał się w kierunku policjantów przed Pałacem Prezydenckim. Wymachiwał pięściami tuż przed twarzami funkcjonariuszy, popychał ich,

Opozycja i zaprzyjaźnione z nią media wręcz marzą o tym, by na ulicy połała się krew, by można to było pokazać całemu światu. Stąd tak ogromna skala prowokacji wobec funkcjonariuszy

ale najbardziej zależało mu na tym, by krzyknąć wprost do ucha jednej z policjantek. Ponad tydzień trwało ustalanie jego tożsamości. Gdy to się w końcu udało, prokuratura postawiła mu zarzuty „naruszenia nietykalności cielesnej dwóch policjantów, stosowanie wobec nich przemocy i znieważenia podczas służby” (podobne zarzuty usłyszało w sumie pięć osób.) Michał M. nie przyznał się do winy, został objęty dozorem, dwa razy w tygodniu musi się meldować na komisariacie.

Portal wPolityce.pl podał, że agresywny 28-latek to operator filmowy, który ma na koncie m.in. pracę dla producentów realizujących dla TVP popularne serie: „Leśniczówka” oraz „Wojenne dziewczyny”. Jego ojcem jest Jerzy Bernard Modlinger, w przeszłości dziennikarz „Tygodnika Solidarność” i „Gazety Wyborczej”, wieloletni wy-

dawca i szef redakcji politycznej „Wiadomości” TVP (w latach 1989–2001) oraz szef „Teleexpressu” (2011–2016). Do dziś pracuje w Akademii Telewizyjnej TVP, szkoląc młode kadry dziennikarskie.

Dziadkiem Michała był Jerzy Maurycy Modlinger, stalinowski prokurator, podpułkownik Ludowego Wojska Polskiego, w latach 50. komendant Oficerskiej Szkoły Prawniczej, szkolący kolejnych stalinowskich sędziów i prokuratorów. Zmarł w 1983 r., pochowano go w kwaterze „L” na warszawskich Powązkach, wśród grobów komunistycznych aparaczyków, które miały przykryć szczątki żołnierzy niezłomnych. Mimo że dziadek Michała zmarł siedem lat

przed jego narodzinami, to po podaniu informacji o prowokatorze wśród internautów bardzo często pojawiał się komentarz, że to najlepsza ilustracja dla zjawiska walki, które „trzecie pokolenie AK musi toczyć z trzecim pokoleniem UB”.

W mediach społecznościowych pojawiły się również zdania, że Michałowi M. wystarczyło odwagi tylko na popisy podczas rozróby. Nie ujawnił się natomiast, gdy opinia publiczna linczowała medialnie Wacława Skidana, ukraińskiego aktora (statystującego m.in. w programie TVP „Jaka to melodia”) wskazywanego jako prowokatora na zlecenie telewizji publicznej.

W powielaniu tego fake newsa prym wiodł Jan Grabiec, poseł i rzecznik klubu Platformy Obywatelskiej. Jego wpis udostępnili m.in. Borys Budka oraz Krystyna Janda, co niewątpliwie przyczyniło się do antyukraińskiej fali nienawiści, padały słowa o „przybłędzie drącej ryja”, „rosyjskiej prowokacji TVP” i „prowokatorze z UPA”.

ZAWODOWI ZADYMIARZE

Do historii prowokacji przejdzie też zapewne przypadek Dawida Winiarskiego, który miał zostać ranny podczas przepychanek przed Sejmem. Najpierw poszła plotka, że nie wiadomo, co się z nim stało, że nie ma go w żadnym szpitalu, a później w internecie pojawiły się jego fotografie w kołnierzu ortopedycznym, wskazującym na naprawę ciężkie obrażenia. Posłanka



Joanna Scheuring-Wielgus grzmiała na Twitterze: „Dawid Winiarski, chłopak w wieku mojego syna, został wczoraj pobity przez policję. Czy takiej Polski chcemy? Obudźcie się. Proszę. Czy czegoś to wam nie przypomina?”

Sytuacja wyglądała następująco. Tłum napierał na policyjny kordon. Protestujący ryczeli do policjantów przez megafon z odległości ledwie kilkunastu centymetrów, a jeden z funkcjonariuszy został ranny w twarz. Najbardziej agresywne osoby zostały wyprowadzone na zewnątrz. Słyszeliśmy także informację, że ojciec jednego z zatrzymanych to był policjant przewencji, doskonale znający techniki pracy w tłumie i sposoby prowokacji. To, co działo się przed Sejmem, trudno nazwać inaczej. Cała akcja była w historycznym tonie relacjonowana na Twitterze, m.in. przez Klementynę Suchanow, aktywistkę tzw. ruchów kobiecych: „4 chłopaków pobitych przez policję na terenie Sejmu, jeden zwinięty ze sklepu. Bartek w szpitalu na Solcu, Dawid Winiarski nie wiadomo gdzie, nawet prawnik nie ma o nim info. Brawo @PolskaPolicja”. W sukurs poszedł portal oko.press: „Jeździliśmy od szpitala na Solcu, Banacha, po szpital im. Orłowskiego przy Rozbrat. Znaleźliśmy go dopiero w czwartym szpitalu, na ul. Lindleya, placówce znanej z chirurgicznej Kliniki Czaszkowo-Szczękowo-Twarzowej. Posłance, a później nam, udało się przez chwilę z nim porozmawiać. Leży w sali pilnowanej przez dwóch policjantów z komisariatu przy ul. Wilczej” – czytamy. Poseł Michał Szczerba również był na posterunku: „Bartosz Adamczyk i Dawid Winiarski. Pan Bartosz twierdzi, że był podduszany przez Policję. Znalazłem go zaciągniętego i trzymanego w krzakach, leżącego na terenie Sejmu. Jakuba Skrzypka nie mogę znaleźć!”.

Wróćmy do Dawida Winiarskiego. Szybko się okazało, że jego obrażenia nie są śmiertelne. Wielu to zaskoczyło,



bo jego pełnomocnik mec. Jarosław Kaczyński, prywatnie mąż posłanki Nowoczesnej Kornelii Wróblewskiej, podkreślał opowieść chłopaka. „Został skuty, uderzony o jedną ścianę, potem o drugą ścianę, specjalnie upuścili go o ziemię” – opowiadał na konferencji prasowej. Na wyjście Dawida ze szpitala czekała spora grupa ludzi, jeden z przyjaciół wyściskał go i czule wycalał. Potem bohater oddał się już mediom. Z uśmiechem, bez cierpienia, które wykrzywiało mu wcześniej twarz, opowiadał o pisowskim reżimie. Komentarz z Twittera: „Szpital dzieciątka Jezus na Lindleya zaiste godny jest swojego patrona. Jak Jezus Łazarza, tak tamtejsi lekarze w godzinę przywrócili do życia, gotowości do udzielania wywiadów TV śmiertelnie pobitego pod Sejmem przez pisowską policję Dawida Winiarskiego”.

O innych odważnych obrońcach demokracji z dumą pisze „Gazeta Wyborcza”. W obszernym reportażu czytamy o „Obywatelach Solidarnych w Akcji” (OSA), którzy mieszkają w namiotach rozbitych pod Sejmem i są gotowi stanąć do każdej konfrontacji. Borys, lat 40: „[...] działamy w Warszawie i w całej Polsce. Oprócz zaplecza technicznego da-

jemy wsparcie merytoryczne. Na przykład nie wszyscy wiedzą, że na protestach w pierwszym rządzie powinny iść silne osoby, by policjanci się zmęczyli, próbując je usunąć. Pokazujemy również, jak się trzymać za ręce, żeby mundurowi nie rozerwali łańcucha. [...] Ulica mnie nauczyła. Zanim przyjechałem tu na dobre, jeździłem na wszystkich protestach w Warszawie. Wsiadałem o 5 rano w pociąg w Gdyni i wracałem o 23. W lipcu zeszłego roku na protestach w obronie sądów kierowałem ludźmi”.

Nic dziwnego, że pierwsza i podstawowa prawidłowość, jaką wychwytyują policjanci, to powtarzająca się obecność pewnych osób podczas protestów. – Można powiedzieć, że w pierwszym rządzie ciągle widzimy te same twarze – opowiadają funkcjonariusze. Kolejny fragment z reportażu „Dużego Formatu”: „Obywatele Solidarni w Akcji wzmacniali protesty m.in. w Wyszku (protest na spotkaniu z Krystyną Pawłowicz), Piotrkowie Trybunalskim i Łodzi (lżenie Andrzeja Dudy), Częstochowie (przeciwko ONR), Katowicach (marsz kobiet), Kielcach (przeciwko profesorowi Chazanowi), w Puszczy Białowieskiej (w obronie drzew)”. Członkowie OSA z dumą opowiadają także o blokowaniu miesięcznic smoleńskich i obywatelskiej, comiesięcznej obecności na Wawelu, by uniemożliwić Jarosławowi Kaczyńskiemu przyjazd na grób brata oraz bratowej.

„ŻEBY MNIE ŁAŁ NIEPRZEKONANY”

Policjanci, z którymi rozmawiamy, opowiadają, że prawdziwą zimą zgromadzeń są politycy i osoby, które protestujący mogą uznać za autorytety. – Mają posłuch, więc mogliby w moment załagodzić sytuację, ale najczęściej dzieje się odwrotnie. Podgrzewają, prowokują, a nawet nam grożą. Załamka – mówią zdegrustowani funkcjonariusze.

Po przejrzeniu dostępnych w internecie filmów trudno nie przyznać im racji.

Posłowie, szczególnie z PO, starają się być aktywni, wręcz bronią chuliganów przed policją. „Nie zna pan prawa [...], nie ma pan podstawy prawnej, by wylegitymować tego chłopaka” – Sławomir Nitras pohukiwał na policjantów, którzy zażądali dokumentów od człowieka przemykającego przed Sejmem z puszką farby w spreju. Gdy policjant próbował tłumaczyć, o co chodzi, spotkał się z wyjątkowo obcesową reakcją posła: „Nic pan nie będzie egzekwował. Pan nie ma podstawy do działania”.

Senator PO Bogdan Klich przed Pałacem Prezydenckim do policjantów podczas legitymowania agresywnych demonstrantów: „Niech pan pójdzie tam teraz i niech pan nie zawraca głowy”. I dalej: „Jestem senatorem RP, gdyby pan nie zauważył”. Później na konferencji prasowej mówił także o rozpyleniu gazu łzawiącego: „Przypomina nam to najgorsze czasy stanu wojennego”. Nie wspominał jednak o tym, że gazu najpierw użył ktoś z tłumu wobec policji. W tym miejscu warto zaznaczyć, że każde użycie gazu policyjnego dokładnie widać, strumień zostawia po sobie pomarańczowy ślad. W przypadku opisywanym przez pana senatora go nie było.

Nie przeszkodziło to Andrzejowi Halickiemu, kolejnemu posłowi PO, moralizować na Twitterze: „Używając gazu wobec spokojnych ludzi, weszliście w buty Milicji Obywatelskiej. Wstyd, brak profesjonalizmu. Nie używajcie nazwy Policja, przestaliście nią być”.

Brutalne „użycie” gazu zaniepokoiło także Draginę Nadażdin, szefową Amnesty International w Polsce. To instytucja wyjątkowo wyczulona na stosowanie tortur (dlatego sprawdzi, czy protestujących nie torturowano gazem) oraz na mowę nienawiści. Tym razem jednak nie było – w jej ocenie – mowy nienawiści wobec policji. Nie było jej także w 2016 r., gdy tłum przed Pałacem Prezydenckim wrzeszczał: „Duda na Wawel”. Pani Drganija (widać to na jednym z filmów) wyglądała nawet na rozbawioną tym skandowaniem.

Jacek Rakowiecki, rzecznik TVP z czasów niepodzielnie rządzącej koalicji PO-PSL, mówił do zgromadzonych ze sceny o konieczności pokonania PiS, porównując partię Kaczyńskiego do... hitlerowskich Niemiec. Zapowiedział też, że policjantów będzie wsadzał do więzień: „Tak jak różni dowódcy policyjni, jak ich główny przełożony Jojo, jak poszczególni zachowujący się sadyistycznie, będą musieli kiedyś ponieść karę [...]”. Dalszą część jego wypowiedzi trudno zrozumieć jednoznacznie: „[...]” wolę, jeżeli będzie lał mnie

Prawidłowością jest powtarzająca się obecność pewnych osób podczas protestów. – Można powiedzieć, że w pierwszym rzędzie ciągle widzimy te same twarze – mówią funkcjonariusze

policjant nieprzekonany do tego lania, bo to mniej boli. Natomiast jeżeli będzie przez nas bezustannie kopany i wyszydzany, to się przyłoży do tej roboty”. Nic nam nie wiadomo, by wobec Rakowieckiego policja miała używać siły, ale eksredaktor najwyraźniej się z tym liczy, a może nawet na to liczy.

Te wszystkie retoryczne figury skierowane do rozmaitych kamer można traktować jako chęć zaistnienia i typowe dla polityków oraz celebrytów strośzenie piórek. Taka kreacja daje pole do popisu „komentatorom” nieistniejącej rzeczywistości. Renata Grochal, dziennikarka „Newsweeka”, w TVN24: „Policja powinna być tam od pilnowania bezpieczeństwa, a nie podgrzewania nastrojów”. Całkowite pomylenie, ale program się kręci. I o to chodzi.

Zdarzają się również sytuacje, które wykraczają poza zdrowy rozsądek. Posel (sic!) Michał Szczerba, którego przymus istnienia w internecie jest niezmierny, opublikował wizerunek

oraz personalia interweniującego policjanta. Czy to tylko brak wyobraźni? Parlamentarzysta ze swojego wpisu się nie wycofał, choć policja zaapelowała: „Szanowny Panie Pośle, apelujemy o rozsądek i opamiętanie się. Naraża Pan życie policjanta i Jego rodziny. Takie wpisy mogą doprowadzić do tragedii. Za Pana wpisem pojawiły się osoby nawołujące do przemocy wobec rodziny i najbliższych policjantów”.

Ten sam Szczerba, wzbudzając aplauz zgromadzonych przed Sejmem, piętnował także funkcjonariuszy za brak naszywek z nazwiskami na mundurze.

„To jest wielki skandal, bo Brudziński próbuje tym osobom zapewnić pozorną anonimowość. Nie jest tak i nigdy nie będzie, że państwo polskie wyposaży funkcjonariusza publicznego w kajdanki, paralizator, broń, pałkę policyjną i zapewnią mu anonimowość” – perorował. Wsparł go szef partii Grzegorz Schetyna: „Dzisiaj tych nazwisk nie ma, więc rozumiem, że jeżeli się chce anonimizować działania policjantów, to posel Szczerba miał prawo wskazać tę osobę i ujawnić to nazwisko”. W Polsat News zaś mówił: „Pamiętam, jak z dumą policjanci mieli nazwiska wypisane na mundurach, żeby nie było działań anonimowych – to w takim wariacie dobrych demokracji. Dzisiaj tych nazwisk nie ma”. To kompromitująca wypowiedź byłego szefa MSWiA, bo to on sam podpisał 20 maja 2009 r. rozporządzenie, które zwalnia policjanta z obowiązku noszenia identyfikatora, kiedy „występuje w sztyku zwartym”, czyli m.in. w czasie takich protestów jak tu opisywane.

W internecie krąży taki mem – młody chłopak mówi do policjanta: „Uderz mnie!”. Obok dziennikarz: „No uderz go!”. To wyjątkowo celne odwzorowanie obecnej rzeczywistości. Opozycja i zaprzyjaźnione z nią media wręcz marzą o tym, by na ulicy połała się krew, by można było to pokazać całemu światu. Stąd tak ogromna skala prowokacji wobec funkcjonariuszy i wyolbrzymianie rzekomych urazów po ulicznych starciach. Trzeba być wyjątkowym cynikiem, by dla doraźnej polityki zachęcać do takiej gry. Szalenie niebezpiecznej. Nie będzie w niej zwycięzców. 

*Polska policja odrobiła demokratyczną lekcję.
W przeciwieństwie do tych, którzy ją atakują*

Policja praworządności

Gdy 2 sierpnia 2018 r. „apel obywatelski” do policji skierowało m.in. trzech byłych prezydentów (Lech Wałęsa, Aleksander Kwaśniewski i Bronisław Komorowski) oraz trzech premierów (Włodzimierz Cimoszewicz, Jerzy Buzek i Kazimierz Marcinkiewicz), można było wpaść w dysonans poznawczy. Prezydenci, premierzy, politycy, aktywiści ruchów obywatelskich, prawnicy czy artyści napisali: „Jesteśmy przekonani, że zdecydowana większość policjantów nie chciałaby powrotu do czasów MO i ZOMO. Zwracamy się do tej ogromnej większości z przesłaniem: my, obrońcy państwa prawa i demokracji, jesteśmy jednocześnie obrońcami profesjonalnej, apartyjnej policji”. Część sygnatariuszy apelu traktowała policjantów właśnie jak MO i ZOMO, napuszczała na nich protestujących, nawoływała do prowokowania policji, szukała okazji do konfrontacji, także fizycznej. I tacy ludzie nazwali siebie „obrońcami państwa prawa i demokracji”, co zabrzmiało groteskowo. Było to kuriozalne tym bardziej, że to akurat policjanci na ulicach Warszawy (ale także w innych miastach) zachowywali się tak jak „obrońcy państwa prawa i demokracji”, podczas gdy sygnatariusze apelu oraz ich zwo-



STANISŁAW JANECKI

lennicy robili wszystko, aby poszanowanie państwa prawa i demokracji nie obowiązywało, skoro nie oni rządzą.

Od ponad dwóch i pół roku sygnatariusze „apelu obywatelskiego” oraz ich zwolennicy podważają sens demokratycznych wyborów, uznając, że wyborcy zachowali się błędnie i nieodpowiedzialnie. A skoro tak, to mają oni prawo nie tylko do kontestowania demokratycznego wyboru, lecz wręcz fizycznego atakowania tych, którym odmawiają prawa rządzenia. W ostatnich kilku tygodniach nastąpiło odwrócenie ról. Policja w niczym nie przypominała MO ani ZOMO (funkcjonariusze nie mieli nawet narzędzi przymusu bezpośredniego, w odwodzie nie czekały ciężkie sprzęty, broń gładkolufowa czy armatki wodne), natomiast część demonstrantów zachowywała się jak ZOMO, a ich patroni i mentorzy jako dowódcy ZOMO i MO oraz ich polityczni dysponenci w czasach PRL. Protestujący agresywnie nacierali na policjantów okazujących anielską cierpliwość, a skoro funkcjonariusze nie dali się prowokować, coraz więcej było zachęt (od mentorów i patronów), żeby protesty zamieniły się w walki uliczne. Tylko taki obraz był bowiem politycznie pożądanym, nadającym się do kolportowania za granicą i optymalnym

dla przedstawiania demokratycznych władz jako uzurpatorów, którzy trwają wyłącznie dlatego, że broni ich policja.

POLICJA PAŃSTWOWA

Paradoksalnie policja obroniła w ostatnich tygodniach przede wszystkim agresywnych demonstrantów i tych, którzy nimi sterowali. Obroniła przed najgorszym scenariuszem, jakim byłaby przemoc na ulicach. Przemoc jest bowiem niekontrolowalna. I to policjanci byli ofiarami, demonstranci zaś sprawcami. Gdyby policzyć akty agresji wobec funkcjonariuszy, szczególnie w okolicach Sejmu, z kontrakcjami policji, i to mającymi wyłącznie chronić policjantów przed skutkami agresji, proporcje byłyby jak 20:1, o ile nie jeszcze skrajniejsze. Gdy w „apelu obywatelskim” znalazł się zapis, że „policja nie jest własnością jednej partii. I że policjanci, podobnie jak inni obywatele, są odpowiedzialni przed konstytucją oraz ustawami”, sygnatariusze pewnie nie spodziewali się, że strzelają sobie w kolano. Policja, istotnie, nie jest własnością PO ani – szerzej – opozycji, a obywatele tak jak funkcjonariusze są odpowiedzialni przed prawem. Przede wszystkim obywatele nieuznający demokratycznie wybranych władz i atakujący policjantów, także fizycznie. Za rządów PiS policjanci nigdy nie zostali zmuszeni ani upoważnieni przez swoich dowódców czy politycznych dysponentów do strzelania do protestujących (jak do górników w lutym 2015 r. w Jastrzębiu), nigdy nie zastosowali brutalnej, zagrażającej życiu przemocy (jak wobec uczestników Marszu Niepodległości w listopadzie 2011 r. w Warszawie).

Policja reprezentuje demokratyczne państwo, a nie partię, łącznie z aktualnie rządzącą, dlatego jest oczywiste, że chroni instytucje tego państwa i jego przedstawicieli. Absurdalne jest stanowisko przewodniczącego NSZZ Policjantów Rafała Jankowskiego, że „budynki parlamentu powinny ochraniać Służba Ochrony Państwa oraz Straż Marszałkowska”. Straż działa wewnątrz Sejmu, a SOP ma inne zadania niż ochrona porządku publicznego. W liście do ministra Joachima Brudzińskiego (z 24 lipca 2018 r.) Rafał Jankowski skarżył się na „upolitycznianie roli policji”, które miało skutkować tym, że „policjantów uczestniczących w zabezpieczaniu demonstracji określa się mianem bandytów działających na zlecenie partii sprawującej władzę, w mediach społecznościowych upublicznia się ich wizerunki oraz personalia, a na członków ich rodzin organizuje nagonki”. To nie miało nic wspólnego z „upolitycznianiem roli policji”, a miało wiele z jej stygmatyzowaniem przez opozycję, żeby wymusić nieposłuszeństwo czy wręcz bunt. To opozycja i jej najradzykalniejsi demonstranci nazywali policjantów „bandytami” czy „gestapo”, upubliczniali ich wizerunki (jak poseł PO Michał Szczerba

i nakręcali „nagonki” na członków ich rodzin. A ze strony policji nie było nawet cienia odwetu, choć przecież atakowanie bliskich mogło i chyba miało do tego sprowokować.

POLICYJNY PRZEŁOM KOPERNIKAŃSKI

W lipcu 2018 r. mieliśmy do czynienia ze swego rodzaju przełomem kopernikańskim w funkcjonowaniu policji. Im większy był nacisk ze strony politycznej opozycji oraz im agresywniejsze ataki ze strony jej ulicznej „armii”, tym bardziej policjanci zachowywali się jak apolityczna służba państwowa, w ostateczności stosując przemoc, i to w wyjątkowo łagodnej formie. Jeśli państwo zdało egzamin, to przejawiało się to właśnie w działaniach policji. W efekcie to polityczna opozycja i jej „brygady szturmowe” objawiły swoje negatywne nastawienie do „zasad państwa prawa i demokracji”, a nie policja. Opozycja używa na to argumentu, że liderzy protestów czy też niektórzy politycy byli przez policjantów

nielegalnie inwigilowani. Zapomina się jednak, że do zadań policji należy „kontrola przestrzegania przepisów porządkowych i administracyjnych obowiązujących w miejscach publicznych, a także związanych z działalnością publiczną”. Znając skłonność np. posłów Ryszarda Petru czy Michała Szczerby do wpadania na tarapaty i stwarzania dla siebie zagrożeń, lepiej dbać na wyrost o ich bezpieczeństwo, niż liczyć na to, że sobie nie zaszkodzą. Skądinąd inwigilowanie takich osób byłoby stratą, czasu, sił i pieniędzy, pomijając to, że nie miałyby najmniejszego sensu, biorąc pod uwagę wartość

tego, czego można by się w ten sposób dowiedzieć.

Policja nie okazała się zagrożeniem dla „państwa prawa i demokracji”, lecz stabilizatorem. I nie zmieniają tego przypadki patologii w policji w rodzaju tej, która 15 maja 2016 r. we Wrocławiu doprowadziła do śmierci Igora Stachowiaka. W instytucjach siłowych patologii nie sposób uniknąć, choć trzeba je ograniczać, „do spodu” wyjaśniać, karać winnych i wyciągać wnioski. Rolę policji jako stabilizatora demokracji docenili nawet akademicy, którzy napisali pokrętny „list otwarty do Komendy Głównej Policji”: „Niejednokrotnie mieliśmy do czynienia z profesjonalnym postępowaniem funkcjonariuszy Państwa służby podczas codziennych sytuacji, jak i obywatelskich protestów. Doceniamy standardy etyczne prezentowane przez wielu z Was oraz pomoc, jaką potrafiliście okazywać nam w nie zawsze komfortowej dla Was i dla nas sytuacji”. Pokrętność listu polega na bezpodstawnym oskarżeniu policjantów o to, że „podczas protestów 20 VII pod budynkiem Sejmu [...] doszło wszakże do zatrzymania co najmniej 4 osób i brutalnego pobicia Bartka Adamczyka i Dawida Winiarskiego. Poturbowanych zostało kilkanaście innych osób”. Rzekomo „brutalnie pobici” urzą-

To opozycja i jej najradzykalniejsi demonstranci nazywali policjantów „bandytami” czy „gestapo”, upubliczniali ich wizerunki i nakręcali „nagonki” na członków ich rodzin

dzili po prostu przedstawienie z sobą w roli ofiar, bo jakieś ofiary były potrzebne. „Protestujemy wobec używania przez Policję przemocy wobec demonstrantów i demonstrantek. Nie chcemy, aby odium za te skandaliczne zdarzenia spadło na wszystkich polskich policjantów” – napisali sygnatariusze listu. Zapewne nie mają pojęcia, co to jest przemoc policji, albo udają, że tego nie wiedzą. A już kuriozalne jest twierdzenie, że obecność policjantów „w połączeniu z zamykaniem przestrzeni budziła wśród protestujących – nie bez powodu – silne skojarzenia historyczne z militaryzacją i stanem wyjątkowym”. Zauważono, że policja zachowała się wyjątkowo profesjonalnie, co nie pozwoliło doprowadzić do ulicznych walk, więc odwołano się do skojarzeń ze stanem wyjątkowym i militaryzacją. Skądinąd, na czym owa militaryzacja miałaby polegać, skoro policjanci mieli na sobie tylko letnie mundury i żadnej broni, środków przymusu ani tarcz?

ODROBIONA LEKCJA DEMOKRACJI

Pracownicy uczelni w swoim liście do KG Policji powołali się na tekst roty przysięgi policyjnej mówiącej o zobowiązaniu, aby „chronić ustanowiony Konstytucją RP Polskiej porządek prawny”. I ponoć w obronie tego porządku „przybyli wówczas również pod Sejm Obywatele i Obywatelki”. Tyle tylko, że policja słowem przysięgi się nie sprzeniewierzyła, „Obywatele i Obywatelki” zaś robili wszystko, żeby „ustanowiony

Konstytucją RP Polskiej porządek prawny” zburzyć. I nic tu nie zmienia odwracanie kota ogonem przez demonstrantów apelujących do policjantów: „Stańcie dziś po naszej stronie, po stronie Wolnych Obywateli Rzeczypospolitej. [...] Wiecie, że żadna władza nie trwa wiecznie, a tyranie upadają z hukiem. Policjo! Czy nie macie już dość wykonywania brudnej, oskarżycielskiej roboty, w zastępstwie politycznych chuliganów z PiS?”. Policja nie staje po żadnej stronie, choćby ta strona była przekonana o jakiejś wyjątkowej, historycznej misji. Właśnie dlatego, że „żadna władza nie trwa wiecznie”, a tyranie tworzą ci, którzy zwykle żądają opowiedzenia się „po stronie Wolnych Obywateli”. To nie policja wykonywała „brudną robotę”, lecz ci, którzy „bronili” demokracji, wyzywając policjantów od „gestapo” i „ZOMO”, naruszając ich nietykalność cielesną, ułóżając ich godności, plując na nich.

Policja nawiązuje obecnie do najlepszych tradycji Policji Państwowej II Rzeczypospolitej. Nie tej spod znaku Policji Politycznej ani oddziałów strzelających do ulicznych demonstracji, bo to akurat bywało cechą policji za rządów PO. Nawiązuje do tego etosu i osiągnięć Policji Państwowej, które były powodem eksterminacji przez Sowieców jej funkcjonariuszy osadzonych w obozie w Ostaszkowie i w mniejszej liczbie w Miednoje; które były powodem zesłania rodzin policjantów na Syberię i do Kazachstanu. Polska policja odrobiła demokratyczną lekcję. Ci, którzy ją atakują i znieważają, od zasad demokracji i państwa prawa tylko się oddalają.

REKLAMA



TRZEBA MIEĆ PECHA ŻEBY DOSTAĆ DO PILNOWANIA POLAKA!

Poznaj historie tych, którzy nad życie
pragnęli wolności.

Patronat medialny:



„Książka dofinansowana ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury”

Będzie weto?

Utrwalanie wojny polsko-polskiej i spychanie na margines wyborców mniejszych partii to najważniejsze wątpliwości prezydenta wobec nowej ordynacji wyborczej do europarlamentu



Fot. Andrzej Wiktor

Współpracownicy prezydenta mówili mi w zeszłym tygodniu, że weto do nowej ordynacji wyborczej do Parlamentu Europejskiego jest bardzo prawdopodobne. Potem sam prezydent w wywiadzie udzielonym Piotrowi Zarembie dla „Dziennika Gazety Prawnej” niemal postawił kropkę nad i.

Dlaczego prezydent, który nie tylko wywodzi się z PiS, lecz również nadal czuje się częścią tego obozu, chce zawetować ordynację?

**PIOTR SKWIECIŃSKI**

PROWOJENNA I ANTYPARTYCYPACYJNA

Andrzej Duda kilkakrotnie się wypowiadał i usiłował podejmować działania zmierzające do jeśli nie likwidacji, to jakiegoś załagodzenia i ucywilizowania polskiego konfliktu. Tego rodzaju dążenia (przypomnijmy choćby wezwanie do wybaczenia, zawarte w wystąpieniu prezydenta 10 kwietnia 2016 r., które natychmiast doczekało się skontrowania przez Jarosława Kaczyńskiego) prowadzą do napięć między Pałacem a Nowogrodzką; redukcją też popularność prezydenta

w najradykałniejszym segmencie zaplecza PiS. Nie spotykają się także z jakimkolwiek wyjściem naprzeciw ze strony opozycji. Niemniej są odbiciem autentycznych poglądów Dudy.

I w tym kontekście należy patrzeć na kwestię ordynacji do PE. Według prezydenta i jego współpracowników ordynacja obecna, rzecz jasna, sama z siebie nie sprzyja wygaszeniu ani załagodzeniu konfliktu. Natomiast ordynacja, uchwalona przez parlamentarną większość wprost utrwalaby jego trwanie – poprzez wymuszenie tworzenia i utrzymywania dwóch bloków narzucałaby bowiem rzeczywistość konfrontacyjną. Zwiększałaby jeszcze zainteresowanie tych bloków trwaniem polsko-polskiej wojny. Czyniłaby więc tę wojnę strukturalną, immanentną.

Druga wątpliwość prezydenta wiąże się z pokrewnym faktem – z realnym odbieraniem przez nową ordynację możliwości zdobycia reprezentacji w PE przez mniejsze ugrupowania.

Polityczne myślenie prezydenta jest bowiem partycypacyjne i inkluzywne – czyli opiera się na założeniu, że dla państwa i demokracji korzystne jest wciąganie do procesu

politycznego jak największej liczby środowisk. Nowa ordynacja jest w tej optyce antypartytacyjna i antyinkluzywna, bo w oczywisty sposób liczbę tych środowisk zmniejsza. Pozbawia przedstawicieli znaczną liczbę wyborców, co sprzyja ich alienacji. Co z kolei – to już moja konkluzja – oznaczałoby groźbę społecznej delegitymizacji procesu politycznego, a w efekcie sprzyjało wzrostowi ugrupowań skrajnych i marginalnych.

Dopowiedzmy: oba powyższe argumenty nie tylko pozostałyby aktualne, lecz również narzucałyby się tym bardziej w wypadku podjęcia próby przeprowadzenia analogicznych zmian w – o tyleż politycznie ważniejszej – ordynacji sejmowej i senackiej, która przecież w stopniu wielokrotnie większym wpływa na cały kształt politycznego życia kraju.

NIE WYSYLAĆ IMPULSU OPOZYCJI

Trzecia zaś wątpliwość prezydenta dotyczy perspektyw wyborczych formacji rządzącej. Nowa ordynacja to potężny impuls, skłaniający opozycję do jednoczenia się, które leży w oczywistej sprzeczności z interesami PiS. Oczywiście nie wybory europejskie są tutaj ważne, tylko krajowe, jednak ewentualne wcześniejsze przełamanie międzypartyjnych, międzyśrodowiskowych, a wreszcie dzielących poszczególnych polityków barier uprawdopodobniałoby zawarcie przez opozycję koalicji również przed wyborami parlamentarnymi. A ewentualny sukces zjednoczonej opozycji w wyborach do PE skłaniałby do powtórzenia tegoż scenariusza w wyborach krajowych. Wpłynąłby też uskrzydlać i na działaczy, i na wyborców opozycji, bo sukces często rodzi sukces.

Natomiast brak opozycyjnej koalicji w eurowyborach oczywiście sam w sobie nie gwarantuje niezastnienia jej w wyborach parlamentarnych, ale zwiększa prawdopodobieństwo takiego rozwoju wydarzeń. Patrząc z tego punktu widzenia, weto utrudniałoby zjednoczenie opozycji.

Utрудniałoby w inny jeszcze sposób. Mianowicie czyniłoby mniej wiarygodnymi rozsiewane przez opozycję pogłoski, według których PiS miałoby, wbrew własnym zapowiedziom, spróbować nagle narzucić nową ordynację sejmową i senacką. Ta narracja służy nie tylko tworzeniu czarnej legendy ugrupowania rządzącego, jako knującego konspiracyjne, demoniczne spiski przeciw demokracji (nie twierdzę, że ewentualna nowa ordynacja parlamentarna byłaby czymś antydemokratycznym, tak nie uważam, piszę jednak o interpretowaniu jej ewentualnego uchwalenia przez opozycję polityczną i medialną). Służy też – właśnie – tworzeniu klimatu sprzyjającego jednoczeniu się opozycji.

PODKREŚLENIE SAMODZIELNOŚCI

Ale na sprawę można również spojrzeć nie tylko od strony poglądów Andrzeja Dudy na to, co lepsze dla Polski i dla obozu, z którym się identyfikuje, lecz także przez pryzmat jego politycznych interesów. Patrząc w ten sposób, trzeba stwierdzić, że weto doraźnie poprawiłoby pozycję głowy państwa.

Już od momentu, w którym prezydent pogodził się z własnym obozem w kwestii ustaw sądowych, jest konsekwentnie

na powrót traktowany przez szeroko rozumianą opozycję (zarówno tę partyjną, jak i medialną, wreszcie – tę prawniczą) jako „Adrian” – marionetka w rękach prezesa Kaczyńskiego. Propaganda ta jest instrumentalna i uprawiana w złej wierze. Po pierwsze bowiem, prezydent nigdy, nawet w momencie największych napięć z własnym obozem, nie przestał się czuć jego częścią, choć działał nie tylko w interesie dobra Polski (tak jak je rozumiał), lecz i dobra obozu IV RP (tak jak je rozumiał). Po drugie zaś, jego rezygnacja z prób narzucenia dalej idącego kompromisu była efektem m.in. zademonstrowanej po prezydenckich wetach totalnej niechęci opozycji do takiego kompromisu. Pamiętamy choćby manifestacyjne zablokowanie przez „starą” KRS zgłoszonych przez Ministerstwo Sprawiedliwości kandydatów na asesorów, a także odrzucenie przez PO i Nowoczesną możliwości zmiany konstytucji, która umożliwiłaby wprowadzenie systemu, rzeczywiście wymuszającego pluralizm Krajowej Rady Sądowej.

Uprawiający tę propagandę o tym wiedzą. Uważają jednak, że sytuacja, jaka ukształtowała się na chwilę latem zeszłego roku, była groźna dla opozycji. Dostrzeżenie bowiem przez większość społeczeństwa – w tym część tych Polaków, którzy nie darzą sympatią PiS – że w obozie rządzącym istnieje ośrodek stanowiący ogranicznik dla zbyt radykalnych projektów, dezawuowało narrację o zagrożeniu demokracji w oczach wielu jej potencjalnych odbiorców. Przypomnijmy fenomen, jakim był, odnotowany bezpośrednio po wetach do ustaw sądowych, jednoczesny wzrost notowań i PiS, i prezydenta, mimo konfliktu między nimi.

Położenie kresu temu zagrożeniu leżało i leży w oczywistym interesie opozycji. Stąd powrót „Adriana”. Niemniej jest to propaganda dość skuteczna, zwłaszcza po podpisaniu przez prezydenta ustaw sądowych w ich ostatniej wersji. Weto wobec ordynacji odwróciłoby sytuację; udowodniło samodzielność prezydenta wszystkim, którzy nie mają zamkniętych oczu. To leżałoby – z przyczyn opisanych powyżej – w interesie obozu IV RP; rozbrajałoby bowiem w jakimś stopniu skłonność części potencjalnego zaplecza opozycji do determinacji. Leżałoby jednak również w interesie samego Dudy – bo dla reelekcji potrzebuje on wyjścia poza elektorat PiS.

Wiąże się z tym kolejny element sprawy. Weto oznaczałoby usunięcie przez prezydenta śmiertelnego zagrożenia dla mniejszych ugrupowań, z ruchem Kukiza na czele. A przypomnijmy, że właśnie z tym ugrupowaniem kilkakrotnie połączył Andrzeja Dudę pewnego rodzaju alians. Jego istnienie wzmacnia go. Podobnie jak wzmacnia go politycznie niewyartykułowana – ale momentami traktowana w PiS jako realna – możliwość emancypacji ugrupowania wicepremiera Gowina. Ci, którzy obawiają się partii prezydenckiej, myślą właśnie o tych dwóch bytach. I nieważne, że sam Duda żadnej nowej partii nigdy patronować nie chciał, bo pozostaje i realistą, i człowiekiem formacji PiS. Sam fakt, że są tacy, którzy skłonni bywają do traktowania jej zaistnienia jako ewentualności realnej, wzmacnia go politycznie. A elektoraty Kukiza i Gowina (zwłaszcza ten pierwszy) to nie jest coś, czym można byłoby wzgardzić, myśląc o drugiej turze wyborów prezydenckich 2020 r.

Paradoksalnie, zarazem w innym aspekcie weto osłabić może popularność Dudy wewnątrz samego PiS. A PiS wprawdzie obecnie, jak się wydaje, jest w kontekście wyborów prezydenckich 2020 r. na niego skazany, ale nie jest to sytuacja, która nie może się zmienić. Ponadto kwestia następstwa po prezesie, dziś przedwczesna, kiedyś jednak stanie się aktualna. Niezadrażnianie relacji z partią jest w tym kontekście ważne dla każdego, czyj wzrok sięga dalej niż na kilka lat. A wzrok 46-letniego Dudy musi sięgać poza tę granicę.

Jednak – słyszymy w Pałacu – znaczenie przywiązywane do sprawy ordynacji na Nowogrodzkiej jest daleko mniejsze niż waga przykładana tam rok temu do zawetowanych przez prezydenta ustaw sądowych w ich ówczesnej wersji. A dodatkowo część polityków PiS spoza Pałacu w kwestii ordynacji zgadza się, przynajmniej po części, z Andrzejem Dudą.

Ale weto oprócz pozytywnych przyniosłoby też dla rządzących negatywne skutki. Ewidentnie nie wyciągnęli oni bowiem wniosków z wet zeszłorocznych. Nie zdobyli się na wprowadzenie, wydawałoby się, oczywistej w wypadku postrzegającego siebie jako obłożony obozu PiS praktyki konsultowania projektów najważniejszych aktów prawnych z własnym prezydentem. W każdym razie sam Duda mówi, że projektanci ordynacji nie podjęli z nim rozmów przed skierowaniem projektu do łaski marszałkowskiej. Jeśli to prawda, wypada tylko się zdziwić ich beztroscie, która teraz zaowocuje sytuacją kłopotliwą dla PiS, partii ostatnio coraz bardziej kojarzącej się z gwałtownym wchodzeniem w rozmaite tematy, by potem równie gwałtownie się z nich wycofywać. Dla rządzących, i to takich, którzy z rewolucyjnego zmieniania Polski uczynili znak firmowy, to nie jest korzystna zmiana wizerunkowa.

ZACHOWAĆ BEZPIECZNIK

Odchodząc od kwestii politycznego pożytku dla samego prezydenta – weto oznaczałoby ucięcie u podstaw możliwości kolejnego konfliktu między Polską a Unią Europejską.

Nowa ordynacja nie jest w sensie dosłownym sprzeczna z unijnymi regulacjami, jednak w 2002 r. Rada Unii przyjęła, że wprawdzie państwa członkowskie w wyborach do Parlamentu Europejskiego mogą ustanowić próg minimalny w rozdziale mandatów, ale na poziomie krajowym nie może on przekroczyć 5 proc. Nowa ordynacja, zachowując formalnie wymóg proporcjonalności, wprowadza tymczasem efektywny próg w wysokości, jak obliczają niektórzy eksperci, nawet 16 proc. Biorąc pod uwagę niepopularność polskiego rządu w unijnych elitach, wydaje się prawdopodobne, że skończyłoby się to otwarciem nowego frontu – na odcinku zupełnie przecież niekoniecznym.

Wreszcie warto dostrzec, że nowa ordynacja europejska jest oczywistym krokiem w stronę „zjedzenia przystawki”,

jaką dla PiS stanowi ruch Kukiz '15. A z tą – dość prawdopodobną – konsumpcją związane są nie tylko przyjemność smakowo-polityczna, lecz i zagrożenia.

Choć bowiem PiS jest ugrupowaniem drugiego wyboru dla sporej części elektoratu Kukiza (i vice versa), to zarazem nie można mieć pewności, że te elektoraty całkowicie się zsumują. W wypadku wchłonięcia czy bodaj nieformalnego zwasalizowania tego ugrupowania przez PiS część wyborców Kukiza (to socjologicznie często coś innego niż wyborcy Prawa i Sprawiedliwości) może w czasie wyborów parlamentarnych odżegłować gdzie indziej (Korwin?) lub pozostać w domu. A to może skutkować brakiem możliwości utworzenia rządu – bo niewykluczony jest przecież scenariusz, w którym PiS zdobywa najwięcej mandatów spośród wszystkich partii, ale nieco mniej niż koalicja opozycyjna. Istnienie potencjalnego koalicjanta jest bezpiecznikiem na wypadek takiego rozwoju wydarzeń.

Taki błąd popełnił niegdyś Viktor Orbán, który w czasie, gdy na przełomie lat 90. i dwutysięcznych po raz pierwszy

był premierem, zjadł swoich ówczesnych sojuszników. W efekcie zwiększył elektorat Fideszu, ale nie o całość wyborców skonsurowanych przystawek. I musiał oddać władzę, bo nie miał partnera do koalicji.

* * *

To wszystko oczywiście ma drugą stronę. Pytany, czy ewentualna dwupartyjna scena polityczna – której nowa ordynacja do PE nie kreuje, ale z pewnością sprzyja ruchowi w jej kierunku – nie byłaby

bardziej racjonalna, prezydent powiedział „DGP”: „Czy ktoś dziś twierdzi serio, że ugrupowań jest w polskim parlamencie zbyt wiele? Rozkład jest dość klarowny. Możliwości zawierania koalicji są, i to wystarczy”.

Takie postawienie sprawy wydaje się racjonalne. Ale zarazem układ dwupartyjny miałby z punktu widzenia PiS kolosalne zalety. W kierownictwie tej partii utrzymuje się bowiem przekonanie, że Platforma (a to ona musiałaby się stać drugim elementem tej układanki) będzie w każdej, a przynajmniej długiej, perspektywie czasowej niewybieralna dla większości Polaków. W myśl tej wizji wykreowanie jej na oficjalną drugą partię czyniłoby z niej coś w rodzaju Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej – idealnego, bo skazanego na trwałą mniejszościowość, wyborczego sparingpartnera tamtejszych władz (to oczywiście porównanie moje, a nie żadnego z pisowskich spin doktorów).

Taka wizja grzeszy jednak, moim zdaniem, przesadnym optymizmem. A jej zwolennicy postrzegają postawy polskiego społeczeństwa zbyt stabilnie, podczas gdy są one dynamiczne. I tylko w ramach tej dynamicznej logiki, a nie próbując ją zacementować, można – jak sądzę – w Polsce z sukcesem uprawiać polityczną grę.

Wydaje się, że prezydent ma podobną intuicję.

Toczymy wojnę
z afrykańskim
pomorem
świń i trzeba
wybić dziki.
Jeśli myśliwi nie
staną w tej wojnie
po stronie państwa,
to państwo
zareaguje

Ostrzegam myśliwych

Jacek Karnowski rozmawia z ministrem rolnictwa Janem Krzysztofem Ardanowskim

Mówi pan często do rolników: jestem jednym z was. Uprawia pan ziemię?

Jan Ardanowski: Moja rodzina zajmuje się rolnictwem na ziemi dobrzyńskiej od ok. 300 lat. Skończyłem studia rolnicze i od 1983 r. do chwili, gdy w roku 2011 zostałem posłem, prowadziłem osobiście, wspólnie z żoną, gospodarstwo.

Jak duże?

Prawie 20 ha słabych ziem. Głównie hodowaliśmy świnię, rocznie sprzedawaliśmy 700–800 tuczników. Ale uprawiałem prawie wszystko: len, zioła, kwiaty na cebulki, warzywa, buraki, zboża, rośliny strączkowe, rzepak. Mam więc dość solidną wiedzę praktyczną. Po moim wejściu w politykę gospodarstwo prowadziła żona, bardzo ciężko pracując i wychowując piątkę dzieci. Teraz już tego nie robi, zdrowie nie bardzo pozwala. Ziemia w części jest dzierżawiona, uprawiana przez zaprzyjaźnionego, znakomitego rolnika z sąsiedniej wsi.

Dlaczego gospodarstwa nie przejęły dzieci?

Dzieci próbowały, wszystkie skończyły przyzwoite studia, dwoje z nich ma wykształcenie rolnicze, ale ostatecznie wybrały inne zawody. W mojej wsi rolnictwo praktycznie się kończy. Trudno prowadzić uciążliwą produkcję w gospodarstwie położonym bardzo blisko Torunia, w okolicach, które zamieniają się w przedmieścia. Gdy zaczynałem, w naszej wsi praktycznie wszyscy żyli z rolnictwa. Dziś, choć ktoś coś uprawia, to i tak żyje z czegoś innego.

Przez całe lata 90. i później mówiło się o zmianach, które czekają wieś. Dziś można powiedzieć, że to już się dokonało. Rolnictwo, jakie wszyscy znaliśmy, odeszło w przeszłość.

To jest proces ogólnoeuropejski. Wieś rolnicza starzeje się w każdym kraju. U nas na początku transformacji wielu rolników trzymało się ziemi, bo nie było pracy w mieście. To był bufor

pozwalający przeżyć milionom ludzi, także tym z zamykanych fabryk. Teraz z pracą nie ma większych problemów, nie ma też wielu chętnych, by pracować na roli.

Małe gospodarstwa muszą upaść?

Trzeba zrobić wszystko, by jak najlepiej ocalało. Gospodarstwa są potrzebne nie tylko jako producenci żywności, lecz przede wszystkim jako tkanka kulturowo-społeczna, bez której obszary wiejskie zamieniają się w pustynię. Jeśli gospodarstwa znikną, to znikną i usługi, i szkoły, i ośrodki zdrowia, sklepiki, a i ksiądz proboszcz będzie musiał zamknąć za sobą drzwi kościoła.

Jeśli oderwiemy produkcję zwierzęcą od produkcji roślinnej, będzie to wynaturzenie. Będziemy eksportowali mięso, a w kraju zostaną smród i odchody

Przez lata świętym hasłem było sformułowanie „gospodarstwo rodzinne”. Ono nadal jest aktualne?

Oczywiście. To najbardziej sprawdzona forma prowadzenia gospodarstwa rolnego. Rodzina jest w stanie takie gospodarstwo obrobić, jest w stanie się z niego utrzymać, a jednocześnie jest ważnym elementem tradycji i struktury społecznej. Ale musimy wiedzieć, co się dzieje wokół nas. Świat się globalizuje, rynki są otwarte, jesteśmy w Unii Europejskiej, żywność łatwo przywieźć w dowolne miejsce. Rośnie więc presja ze strony takich krajów jak Brazylia, Argentyna, Kanada, USA czy nawet Rosja i Ukraina. To są państwa, które mają olbrzymie obszary dobrej ziemi i zawsze będą produkowały taniej.

Czyli jest pan pesymistą?

Chcemy utrzymać i utrzymamy rolnictwo na polskiej wsi, ale trzeba działać mądrze. Nie ma potrzeby ustalania z góry, ile tych gospodarstw ma być albo jaki jest optymalny model. Tyle będzie gospodarstw, ile ludzie będą chcieli prowadzić. Część dlatego, że to ich ojcowizna, inni, bo kochają tę pracę, a dla jeszcze innych będzie to po prostu sposób zarabiania na życie. Z mojego punktu widzenia najważniejsze jest to, by te małe gospodarstwa nie zamieniły się w jakąś martwą sieć socjalną, którą utrzymują Unia Europejska i rząd. Bo to i niemoralne, i w dłuższej perspektywie szkodliwe. Te małe gospodarstwa muszą produkować.

Trudno im będzie konkutować z gospodarstwami kilkusethektarowymi.

Małe gospodarstwa nie mogą produkować dla przetwórstwa ani na eksport, bo na tym wiele nie zarobią. Nie mają szans. One muszą „złapać” coś, co da im większą marżę z produkcji. To może być tylko i wyłącznie żywność wysokiej jakości. Produkt, który nie tylko ma lepsze parametry, lecz jest także traktowany przez społeczeństwo jako coś lepszego. A więc nie żywność anonimowa, ale od konkretnego producenta, z konkretnego regionu, przetwarzana tradycyjnymi metodami. Również żywność ekologiczna, która jest polską szansą.

Od kilkunastu miesięcy rolnicy mogą sprzedawać swoje produkty bezpośrednio, ale nie bardzo widać, by powstawały stoiska z mlekiem, serami, wędlinami czy dżemami.

Z ustawy o rolniczym handlu detalicznym skorzystało już parę tysięcy gospodarstw. To rzeczywiście wciąż mało. Taka działalność nie jest jednak prosta, bo wymaga przedsiębiorczości i zaradności, a z tym różnie bywa. Trzeba mieć konkretny pomysł na swój produkt, trzeba umieć zachęcić klientów. Planujemy kolejne ułatwienia. Po wakacjach wejdzie w życie no-



welizacja, która umożliwi sprzedaż nie tylko z ręki do ręki, lecz także do restauracji, stołówki, agroturystyki, lokalnego sklepu. Ułatwimy wytwarzanie soków, oleju, kasz, mąki; będzie to można zrobić u kogoś, kto ma odpowiedni sprzęt. Zwiększamy kwotę wolną od podatku z 20 tys. do 40 tys. sprzedaży rocznej. A od nadwyżki będzie podatek w wysokości 2 proc. Mniejsi rolnicy powinni poczuć, że to dla nich szansa.

Rolnicy boją się biurokracji, która może ich przytłoczyć.

Tu nie potrzeba żadnych zezwoleń. Domowa kuchnia w zupełności wystarczy. Trzeba tylko zawiadomić sanepid lub inspekcję weterynaryjną, że pod tym adresem tego i tego dnia rozpoczynam produkcję kiszonych ogórków, powideł, sera, kielbasy. Kontrole są niezbędne, ale one mają stwierdzić jedynie, czy jest tam czysto.

Nie chodzi o żadne nękanie, na to nie pozwolę. Inspektorzy mają rolnikom pomagać, a nie ich zniechęcać. Trzeba mieć także książeczkę sanepidu, ale inaczej się nie da. Jeśli ktoś ma kontakt z żywnością, musi być przebadany, czy nie jest nosicielem jakichś chorób. I można zaczynać.

Jeśli główny ciężar produkcji „dla miasta” mają przejąć wielkie gospodarstwa, to czy nie będzie to oznaczało, że zaleje nas żywność pełna chemii, a może i zmodyfikowana genetycznie?

Każda żywność, która trafia na rynek, musi być bezpieczna. Produkty mogą się różnić jakością, ale każdy musi być bezpieczny, także towary z dolnej półki. To państwo musi tego dopilnować. Chcemy chronić nasz rynek przed nadmierną chemizacją, także przed GMO. W Polsce GMO się nie uprawia, ustawa jest szczelna, za

jej złamanie grozi więzienie. Importujemy za to zmodyfikowane pasze, głównie amerykańską soję. Wydajemy na ten cel 4 mld zł. Trzeba to zmienić, te pasze powinny być produkowane w polskich gospodarstwach. Soję modyfikowaną można zastąpić nowymi odmianami soi uprawianymi w kraju, rzepakiem albo roślinami bobowatymi, dawniej strączkowymi.

Ale np. polscy producenci drobiu mówią, że bez amerykańskiej soi nie będą konkurencyjni na światowych rynkach.

Nie zgadzam się z tym. Nawet Izba Zbożowo-Paszowa, za mojego poprzednika popierająca import soi, dziś mówi, że jest alternatywa, że można ten produkt stopniowo zastąpić krajową produkcją. Branża zaczyna myśleć. Szkoda, że przez ostatnie 10 lat nic w tej sprawie nie zrobiono. Bo soja była niezastępowalna 30 lat temu. Dziś

nie ma z tym większego problemu. Jestem w tej sprawie zdeterminowany, bo rolnictwo musi być systemem naczyń połączonych. Każda branża musi być powiązana z innymi. Jeśli oderwiemy produkcję zwierzęcą od produkcji roślinnej, będzie to wynaturzenie. Będziemy eksportowali mięso, a w kraju zostaną smród i odchody.

Z perspektywy samochodu widać też, że w Polsce przybywa nieużytków. Duża część ziemi leży odłogiem.

Powtarzam jak mantrę: rolnictwo ma produkować. System płatności wprowadzony w 2004 r., a więc płatność od hektara, sprawił, że również do ziemi nieuprawianej albo uprawianej symbolicznie są dopłaty. To doprowadziło do patologii. Miliardy złotych idą na pola, które nie dają żadnej produkcji.

Czy to można zmienić?

Oczywiście. System określają państwa członkowskie Unii Europejskiej raz na siedem lat. I ja nad tym myślę. Chcę związać dopłaty do hektara z produkcją minimalną z hektara. Bo nie chodzi o to, by nakręcać rolnictwo intensywne, ale by budować system zrównoważony. Jeśli np. mamy 3 mln ha użytków zielonych powoli zarastających drzewami, to tam powinno się paść bydło opasowe. Nie mleczne, bo to wymaga wielkich nakładów, ale bydło mięsne. Rynek wołowiny stale rośnie. Także owce z przeznaczeniem na mięso powinny wrócić.

Rząd wycofał się z dwóch propozycji, które wywoływały olbrzymie emocje, a więc z zakazu uboju rytualnego i likwidacji branży zwierząt futerkowych.

Ubój rytualny, zwłaszcza halal, bo żywność koszerne to niewielki rynek, to nasza szansa. To daje nam wejście na rynki krajów muzułmańskich. A to jest ponad miliard ludzi. Tego nie można odpuścić, trzeba być w grze.

A zwierzęta futerkowe? Pan był za wycofaniem tego projektu?

Wiele osób interweniowało w tej sprawie. Uważam, że człowiek ma prawo

wykorzystywać zwierzęta, które hoduje. Nie widzę większej różnicy między wykorzystaniem mięsa, racie, ścięgien, także w przemyśle, a wykorzystaniem futra. To jest czynienie ziemi sobie poddaną.

To jest jednak kwestia gradacji potrzeb. Jeść trzeba, a futra nie są dziś niezbędne do przeżycia.

Nie są, ale rzekome zamienniki, a więc sztuczne futra, ulegają biodegradacji po tysiącu lat, a futro, wiadomo, roz-

Człowiek ma prawo wykorzystywać zwierzęta, które hoduje. Nie widzę większej różnicy między wykorzystaniem mięsa, racie, ścięgien, także w przemyśle, a wykorzystaniem futra

łoży się w parędziesiąt lat. W Polsce jednak chodzi o coś jeszcze: branża futerkowa utylizuje 600–700 tys. ton odpadów mięsnych z produkcji drobiu i z bardzo rozwiniętego u nas przetwórstwa ryb. Jeśli tych resztek nie zjedzą norki, trzeba to spalić albo utylizować w inny sposób. To są ogromne koszty, nawet miliard złotych rocznie. Na marginesie powiem, że niedawno firma niemiecka kupiła sporo zakładów utylizacyjnych w Polsce, zapewne w przekonaniu, że zakaz hodowli norek wejdzie w życie.

Zapowiedział pan jednocześnie, że dla „łajdaków”, którzy nie mają empatii dla zwierząt, miejsca nie będzie.

Nie będzie. Już jest projekt ustawy, która podda wszystkie hodowle zwierząt futerkowych certyfikacji. Sprawdzimy, czy tam są warunki dla zapewnienia dobrostanu zwierząt. Jeśli ktoś tego nie zaakceptuje, wypadnie z rynku. I nie pomogą żadne sztuczki, bo jeśli polskie firmy certyfikujące

nie zdadzą egzaminu, to poproszę do certyfikacji jakąś firmę z zagranicy. Te фермы będą musiały być otwarte dla organizacji ekologicznych.

O, to może być droga do piekła.

Oczywiście wszystko pod pewnymi warunkami, by uniknąć np. prowokacji, podrzucania czegoś itp. Bo właściciele ferm też nie mogą być krzywdzeni. Tak jak skrzywdziła i hodowców, i myśliwych Agnieszka Holland w filmie „Pokot”. To film nieprawdziwy, zakłamany.

Mówimy o planach, o przyszłości, ale dziś największym problemem jest afrykański pomór świń. Czy można było zatrzymać marsz ASF na zachód kraju? Może na Wiśle?

Na Wiśle nie. Jeśli można było coś zrobić, to w lutym 2014 r., gdy ASF pojawił się przy granicy z Białorusią. Gdyby wówczas wybito wszystkie świnie i wszystkie dziki w dwóch, trzech powiatach, to może zaraza nie poszłaby dalej. Ale pewności nie ma. Nigdy się też nie dowiemy, czy ktoś przeniósł ASF do Polski celowo, czy był to proces naturalny.

Trzeba żyć z ASF?

Pomór jest w Estonii, na Łotwie i Litwie, jest w Czechach, na Węgrzech, w Rumunii, Mołdawii, na Białorusi, Ukrainie, w Rosji, teraz w Chinach. To nie jest więc wina naszego rządu, to plaga kontynentalna. Ale z chorobą trzeba walczyć, i to na dwa sposoby. Po pierwsze, depopulacja dzika, którego liczba eksplodowała. Ludzie nie wiedzą, że rocznie przyrost dzików wynosi 300 proc. Bo jest pełna kalorii i hormonów kukurydza, którą te zwierzęta teraz się żywią. Strzelać do dzików trzeba więc ciągle, tu nie chodzi o jednorazową akcję. A w strefach zapowietrzania dziki trzeba wybić praktycznie do zera. Tam, gdzie choroby nie ma, trzeba zejść do bardzo niskiego poziomu.

Mamy tysiące myśliwych, to nie powinno być problem.

Niestety myśliwi nie chcą polować na dziki. Łowczy krajowy, łowczy okrę-

gowi mówią, że się starają, że chcą, a koła myśliwskie pokazują gest Kozakiewicza. Może są obrażone na PiS albo uważają, że nic nie muszą? Mówię wprost: wybicie dzików w Polsce jest obowiązkiem myśliwych. Tego nie zrobi nikt inny. Jeśli myśliwi tego nie zrobią, to biorą na siebie winę za rozprzestrzenianie się ASF. Już mają sporo na sumieniu, bo nic nie zrobili w czasie, gdy nie było na polach kukurydzy. Teraz dziki siedzą w kukurydzy i się śmieją. I będą się śmiały do zbiorów, do późnej jesieni.

Może myśliwi nie są w stanie poradzić sobie z operacją tej skali?

Dostali wszelką pomoc. Celowniki optyczne, noktowizory. Możemy kupić amunicję. Zaoferowaliśmy chłodnie wojskowe i weterynaryjne, bo upolowane zwierzęta muszą zostać przebadane. A oni wciąż nie polują. Dlaczego? Nie, bo nie.

Może do akcji powinno wejść wojsko?

Są wątpliwości, czy to jest zadanie dla wojska. Karabiny wojskowe są mało skuteczne na polowaniu. Trzeba też wiedzieć, jak zachowują się dziki, gdzie żerują, gdzie się chowają. Tę wiedzę mają tylko myśliwi. I to jest dla nich ostatni dzwonek.

A jeśli go nie usłyszą, to co?

Jeśli nie usłyszą, to trzeba będzie powołać nowy związek łowiecki albo kilka związków. Skoro ten obecny, z tak dużymi przywilejami, nie rozumie swojej funkcji społecznej, swoich obowiązków ani polskiej racji stanu, to coś trzeba zmienić. I nic nie pomoże mówienie o „polskim modelu łowiectwa”, o pięknych tradycjach, skoro ten model zawiodł w sytuacji krytycznej. Toczymy wojnę z ASF i trzeba wybić dziki. Jeśli myśliwi nie staną w tej wojnie po stronie państwa, to państwo zareaguje.

Polski Związek Łowiectwa zostanie rozwiązany?

Padają głosy, że trzeba tę organizację zdelegalizować, skoro tak dramatycz-

nie zawiodła, skoro nie chce służyć ojczyźnie. Ja nie jestem tego zwolennikiem. Lepiej, żeby obok niej pojawiły się nowe organizacje. Łowiectwo nadzoruje minister środowiska, ale myślę, że i on rozumie powagę sytuacji.

Odstrzał dzików to pierwszy kierunek walki z ASF. A drugi?

Rolnik musi zrozumieć, że każde gospodarstwo – czy małe, czy duże – jeśli ma świnię, to musi być odizolowane, musi się bronić przed możliwością przywleczenia wirusa. Jak konkretnie? Przede wszystkim szczelny budynek, żeby nie wlażyły myszy, szczury, psy, koty, które mogły mieć kontakt ze zdechłym dzikiem lub jego wydzie-

Chcę związać dopłaty do hektara z produkcją minimalną z hektara. Bo nie chodzi o to, by nakręcać rolnictwo intensywne, ale by budować system zrównoważony

linami. Rolnicy muszą to zrozumieć. Duży producenci budują, i słusznie, warowne twierdze, wszystko dezynfekują, nikogo nie wpuszczają. Mniejsi niestety traktują sprawę lekko, lekceważą apele. To się musi zmienić.

Tegoroczne lato to ASF, susze i dramatyczny spadek cen skupu owoców, zwłaszcza miękkich. Pan mówi: najlepszym rozwiązaniem jest samoregulacja podaży przez rolników i organizacje rolne, grupy owocowo-warzywne, zrzeszenia grup. Ale to wymaga współpracy, a z tym u nas kiepsko.

To prawda, ledwie 4 proc. naszych rolników jest zorganizowanych. Podaż trzeba regulować. Jeśli na Zachodzie czegoś urośnie za dużo, to tego się nie sprząta, żeby nie zepsuć cen. Tak się robi z winogronami. A u nas, jeśli coś

daje dochód, to produkcja błyskawicznie rośnie i za rok czy dwa jest zapaść. Z drugiej strony państwo nie może powiedzieć, że nic nie może zrobić. Bo coś jednak można zrobić.

Co konkretnie?

Chcemy restrykcyjnie kontrolować import. Jest ustawa o znakowaniu żywności. Gdy zapytamy w sklepie: „Skąd są te jabłka?”, to sprzedawca będzie nam musiał pokazać kwit, skąd one przyjechały. Chodzi o to, żeby nie można było sprzedawać produkcji z importu jako krajowej. Będziemy także eliminować import żywności nędznej jakości. Tworzymy też holding spożywczy z tych resztek majątku, które zostały po zło-dziejskiej i dzikiej prywatyzacji. Musimy mieć narzędzie do działania. Bo zbrodnią Balcerowicza i Lewandowskiego było nie tylko to, że sprzedawali za bezcen, lecz również to, że sprzedawali, nie myśląc, jak to wpłynie na strukturę rynku. Nic ich nie obchodziło. Jeśli główni gracze to firmy zachodnie, to jaki jest ich interes, by dbać o polskiego rolnika?

To będzie nowa, wielka firma?

Nie. Firmy, które wejdą do holdingu, będą nadal działały samodzielnie, ale też będą musiały realizować ogólną politykę rządu w zakresie interwencji na rynku, eksportu itd. Chcę też uspokoić wszystkich, że to nie będzie rozbudowana struktura. Integratorem firm może być już istniejący KOWR, czyli Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa. Zastanawiam się nawet, czy nie mógłby nim zarządzać departament w ministerstwie, a nie oddzielny zarząd. To nie będzie żadne nowe „koryto”, jak twierdzą niektórzy. Mam w tej sprawie pełną akceptację i zrozumienie kierownictwa partii oraz premiera Mateusza Morawieckiego, który zresztą autentycznie, codziennie i żywo interesuje się rolnictwem. Coś musimy zrobić, bo nie można co roku drzeć, co to będzie, jakie będą ceny. Jest szansa, żeby rolnictwo przestało być obciążeniem, a zaczęło ciągnąć naszą gospodarkę, i trzeba tę szansę wykorzystać. 



JAN ROKITA

Co prawda Morawiecki senior nigdy nie pełnił, nadal nie pełni i raczej nie będzie już pełnił w Polsce żadnych istotnych funkcji publicznych (poza tą tylko, że z racji wieku otwierał pierwsze posiedzenie Sejmu obecnej kadencji), a jego poglądy nigdy dotąd nie wyznaczały i nadal nie wyznaczają (choć z odmiennych niż niegdyś powodów) wektorów realnej polityki państwa polskiego, są całkiem istotne powody, aby polityczną aktywność Kornela Morawieckiego traktować z całkowitą powagą. Jako modelowy antykomunista z lat 80., zawzięty krytyk ćwierćwiecza niepodległości, przeciwnik wszystkich kolejnych rządów, a nawet... ukrywający się konspirator za czasów premiera Mazowieckiego, jest on dla „twardego elektoratu” PiS wzorem bezwzględnej, nieznającej kompromisów ideowości. A tym samym idee, jakie głosi, wywierają wpływ na myślenie o polityce spo- rej grupy obywateli. Nawiasem mówiąc, to z tej przyczyny utarło się w mediach zszacunkiem tytułować Morawieckiego „marszałkiem seniorem”, podczas gdy w przeszłości fakt pełnienia tej jed- nodniowej funkcji przez wielu innych polityków był zapominany jeszcze tego samego dnia. I to właśnie ta sama przy- czyną sprawia teraz, że Morawiecki staje się niesłuchanie cennym nabytkiem dla państwowej rosyjskiej propagandy, skoro zdecydował się na wystąpienie w jej czołowym medium z druzgocącą krytyką polskiej polityki wschodniej, z wykorzystaniem argumentów od dawna używanych w tej propagandzie przeciw państwu polskiemu.

BEZPRECEDENSOWA POZYCJA

Jest jednak również drugi (kto wie, czy nawet nie istotniejszy) powód dzisiej- szego politycznego ciężaru postaci Mo- rawieckiego seniora. Wrocławskiemu politykowi udało się bowiem zręcznie

Niebezpieczna doktryna

Nie należy bagatelizować filomoskiewskich wystąpień Kornela Morawieckiego

połączyć dwie publiczne role, na pozór całkiem nieprzystawalne w życiu poli- tycznym. Z jednej strony Morawiecki jest liderem kanapowego ugrupowania sejmowego WiS, powstałego w wy- niku rozłamu, który w 2016 r. nastąpił w Ruchu Kukiza, z drugiej – jest ojcem i mentorem szefa rządu, który z kolei jest przecież członkiem ścisłego przywódz- twa PiS, czyli innej partii, na dodatek sprawującej władzę w kraju. Polityczna pozycja Kornela Morawieckiego jest więc bezprecedensowa. Jako szef WiS ma on wyjątkowo dogodne warunki oddziaływania na politykę państwa, nie ponosząc z tego tytułu żadnej odpowie- dzialności, gdyż jego partia formalnie pozostaje „siłą opozycyjną”. Ale może także całkiem swobodnie kwestiono- wać zarówno politykę prowadzoną przez rząd, jak i przez PiS, korzystając ze spe-

cyficznego „politycznego immunitetu”, który uniemożliwia i członkom rządu, i partyjnemu aparatowi PiS odwiniecie się ze stanowczą reakcją. Dygnitarze rządowi mają związane usta, ponieważ boją się urazić swojego szefa, dla którego ojciec, będący zarazem twórcą podziem- nej Solidarności Walczącej, był przez całe życie (a pewnie jest do dziś dnia) najwyższym autorytetem i mentorem w sprawach polityki oraz patriotyzmu. Z kolei partia PiS wie doskonale, że dezawuuując opinie Morawieckiego se- niora, nie tylko stawia w dyskomforcie własnego premiera, lecz również anta- gonizuje część swojego twardego elek- toratu, który może nawet bardziej jest skłonny ufać staremu antykomuniście i konspiratorowi, aniżeli partyjnym apa- ratczykom piastującym dzisiaj urzędy państwowe.



MEDIUM PUTINA I KRYTYKA SYNA

Dopiero na tym tle można zrozumieć znaczenie deklaracji politycznych, jakie Morawiecki złożył ostatnio agencji RIA Novosti, a także przyczyny głochoego milczenia rządu i PiS, które po nich nastąpiło. Każdy, kto zna trochę rosyjski, może sam wygooglować na rosyjskim propagandowym portalu ów niezwykle tekst, aby dobrze pojąć jego przesłanie i sens.

Ujmując rzecz w wielkim skrócie: Morawiecki przekonuje Rosjan, że to „polski rząd i polskie elity” nastawiają Polaków przeciw Rosji; że w relacjach polsko-rosyjskich nie jest ważny gaziąg bałtycki, ale „duchowa i cywilizacyjna wspólnota” pomiędzy Polakami a Rosjanami; że Polska okazuje „ma-

łość”, likwidując u siebie sowieckie pomniki. Poddaje także krytyce osobie polskiego premiera za niedostatek obecności Rosji w jego exposé i brak życzeń dla Putina po jego wyborczym zwycięstwie. Wywód Morawieckiego ma również dwóch wyraźnie czarnych bohaterów, którym nie skąpi on najostrzejszych słów. Są to z jednej strony Ukraińcy, których trzeba „głośno krytykować za niszczenie europejskiego ducha”, gdyż eliminują z urzędów i szkół język rosyjski, zastępując go językiem ojczystym. W roli drugiego czarnego bohatera występuje tu... Lech Wałęsa, który zostaje zdyskredytowany jako agent służb komunistycznych, na dodatek wypierający się swojej przeszłości. Tak na marginesie, można sobie wyobrazić uciechę rozmówców Morawieckiego, którzy pracę dla

służb muszą traktować jak swój chleb powszedni.

Bo też nie bez znaczenia jest to, gdzie Kornel Morawiecki daje te wypowiedzi. Od czasu dekretu prezydenta Putina z grudnia 2013 r. RIA Novosti jest częścią potężnego państwowego holdingu propagandowego o nazwie Rossija Siegodnia, do którego należy również multimedialna platforma Sputnik, publikująca także w języku polskim. Specyfika zadań RIA Novosti w tym holdingu polega na tym, że operuje informacją i propagandą skierowaną do wewnątrz kraju, w języku rosyjskim. Edward Lucas powiedział kiedyś, że „praca dla Sputnika jest rzeczą gorszą, niż bycie PR-owcem koncernu tytoniowego”. Sławną jest postać szefa całego holdingu Dmitrija Kisielowa – inteligentnego poligloty, który u Putina ma faktyczną funkcję kremlowskiego ministra propagandy. Od roku 2014 Kisielow nie ma prawa wjazdu do Unii Europejskiej, gdyż jest obłożony sankcjami po tym, jak oskarżał USA o antyrosyjski sojusz z Państwem Islamskim, a po inwazji Krymu bronił poglądu, że „nie ma żadnej Ukrainy, jest tylko jakiś czysto wirtualny koncept”. Trudno się więc dziwić znaczeniu, jakie holding Kisielowa nadał wypowiedziom Morawieckiego. Po raz pierwszy bowiem udało się jego funkcjonariuszom znaleźć polityka z głównego nurtu polskiego życia politycznego, ba, niemal z samego centrum władzy w Polsce, który choć nie używa wprost terminologii Kisielowa, w gruncie rzeczy także sugeruje faktyczne nieistnienie Ukrainy, a jej rozpad uważa za „rzecz całkiem naturalną”.

DOBROCZYŃCA, CZYLI ROSJA

Łatwo było przewidzieć, że po tak sensacyjnych oświadczeniach Morawiecki senior musi wywołać zainteresowanie polskich dziennikarzy. Jak dotąd, wśród kilku udzielonych przezeń wywiadów, najpełniejszy jest ten dla tygodnika „Do Rzeczy”. Morawiecki rozwija tam wątki, które poruszył w RIA Novosti, używając w co najmniej kilku przypadkach historycznych fałszerstw dla obrony rosyjskich racji przeciw racjom polskim. I tak np. broni rosyjskiego zabioru terytorium Gruzji, posługując się

zmyślonym faktem, jakoby zagarnięta Osetia Południowa i Abchazja miały jakiś „specjalny status przyznany przez ONZ”, w którego obronie wystąpili Rosjanie. Tymczasem w konflikt osetyjski ONZ w ogóle nie była zaangażowana (nadzorcą była tam OBWE), a w Abchazji oenzetowska misja UNOMIG (wyrzuczona zresztą na skutek rosyjskiego weta w Radzie Bezpieczeństwa) nadzorowała tylko zawarte w 1993 r. w Soczi zawieszenie broni.

Zmyślona jest także teza, jakoby budowa przez Rosjan gazociągu bałtyckiego była polską winą, gdyż to myśmy wcześniej zablokowali budowę przez Polskę drugiej nitki gazociągu jamalskiego, a zrobiliśmy to z powodu Ukrainy. Tymczasem konsorcjum dla budowy Nord Stream zostało zawiązane w 2006 r., po tym jak Moskwa prosiła rząd premiera Millera, aby ten zechciał na dalszą przyszłość odłożyć kwestię drugiej rury jamalskiej; z polskiej rządowej strategii gazowej zaś druga nitka jamalska zniknęła dopiero w roku 2007, w rezultacie niemiecko-rosyjskiej decyzji o rurze bałtyckiej. Morawiecki miesza tę kwestię z ideą tzw. pieremyczki (czyli rury mającej iść z Białorusi na Słowację, z ominięciem Ukrainy), wobec której istotnie rząd Buzka wykazywał spory sceptycyzm.

Wreszcie Morawiecki konfabuluje jakąś istotną inicjatywę dyplomatyczną Kremla w roku 2006, skierowaną pod adresem prezydenta Lecha Kaczyńskiego, ale nie podjętą przez Polskę. Rzeczywistość jest tymczasem dokładnie odwrotna: to Kaczyński zabiegał wtedy o spotkanie z Putinem i nawet wyzłościł się wobec niego z tego powodu polskie gazety. A inicjatywa przełamania polsko-rosyjskiego impasu w czasach PiS, owszem, miała miejsce, ale z polskiej strony, w 2015 r., po wygranych przez to ugrupowanie wyborach. Otwarcie mówił o tym na forum w Krynicy ówczesny szef gabinetu MSZ Jan Parys, który narzekał nawet (nieco naiwnie) na to, że Kreml całkowicie zignorował wówczas starania polskiej dyplomacji. Ślady tamtej historii można znaleźć w ówczesnych doniesieniach portalu Sputnik.

To wszystko szczegóły, ale warte przytoczenia o tyle, że Morawiecki albo świadomie przeinaczając fakty, albo (co bardziej prawdopodobne) wykazując wobec nich pełną dezynwolturę, ma w tym wszystkim jeden cel: dowieść, że to Polska jest winna złych stosunków z Rosją. I – co szczególnie ważne – w każdej z tych kwestii powtarza fałszywe argumenty, znane od lat z rosyjskiej propagandy. W roztrząsanej przez niego wielkiej historycznej wizji to Rosja jest dobroczyńcą, który dał (niemal dobrowolnie) niepodległość wcześniej podbitym narodom (naprawdę, proszę czytać wywiad), a teraz ma demokratycznego prezydenta i wolność słowa, w przeciwieństwie do „rządów pieniądza” panujących na Zachodzie. Pointą

Morawiecki nie jest świadom podstawowej dla Polski lekcji historii – że ilekroć Europa dążyła do strategicznego sojuszu z Rosją, tylekroć sojusz ów zagrażał polskiej niepodległości

owej wizji jest przyszłe „połączenie się Rosji z Europą w światową potęgę – w sensie duchowym, gospodarczym i militarnym”. Pierwszym krokiem zaś, jaki winien uczynić w tym celu polski prezydent, powinna być jego dyskusja z Putinem na temat „uczciwego referendum” na Krymie, które miałyby wieścić usankcjonować rosyjską aneksję. Gdy się to czyta, aż trudno uwierzyć, że chodzi o tego samego człowieka, który w deklaracji ideowej Solidarności Walczącej z 1987 r. pisał, iż uważa się za „kontynuatora radykalnego nurtu NSZZ „Solidarność”, nurtu znaczonego na I Krajowym Zjeździe Posłaniem do ludzi pracy Europy Wschodniej”. Dzisiejszy politycznie oślepy Morawiecki nie jest świadom podstawowej dla Polski lekcji historii – że ilekroć od XVI w. Europa

dążyła do strategicznego sojuszu z Rosją, tylekroć sojusz ów najpierw zagrażał polskiej niepodległości, a potem ją na ponad wiek skutecznie zlikwidował.

POLSKI RUSSLANDVERSTEHER

Być może całą tę historiozofię, jak i zwłaszcza wyciągane z niej przez Morawieckiego polityczne wnioski ktoś uzna za rojenia pozbawione znaczenia i realizmu. I niewykluczone, że tak można by sądzić w Polsce jeszcze jakąś dekadę temu. Dziś Morawiecki wyrasta jednak na polskiego rzecznika rosnącego w siłę i niepokojącego dla Polski paneuropejskiego trendu. Czasy się zmieniają, a coraz większa liczba europejskich tradycjonalistów, rozczarowanych – nie bez powodu – współczesnym kształtem Unii Europejskiej, zwraca się w stronę Moskwy jako nowego wybawiciela. To właśnie dlatego wiele spośród odradzających się we Francji, Włoszech czy w Niemczech ruchów konserwatywno-narodowych poszukuje jakiegoś modelu „wielkiego pojednania” Europy z putinowską Rosją. Typowymi ideowymi pożywkami dla tego stylu politycznego myślenia są zwłaszcza pogarda dla Unii Europejskiej i wrogość wobec Ukraińców. W Polsce tego rodzaju poglądy można nie od dziś wyczytać na różnych portalach, ale w głównym nurcie polskiej polityki były one dotąd nieobecne. Głosili je najwyżej skrajni nacjonaliści i... Mateusz Piskorski, który od dwóch lat siedzi w polskim więzieniu jako szpieg.

Tę niebezpieczną dla państwa polskiego ideologię Morawiecki senior wprowadza teraz na polityczne salony, sam stając się zarazem symbolicznym polskim Russlandversteherem numer jeden. Dlatego jest tak ważne, aby zarówno PiS, jak i sam premier (dla którego to zapewne piekielnie trudne) nie nabierali wobec tego wody w usta, ale jasno i czytelnie zareagowali na wizjonerstwo Kornela Morawieckiego. Trzeba zdjąć immunitet z dawnego przywódcy Solidarności Walczącej. Ostatecznie jedną z istotnych miar patriotyzmu jest przecież to, że Polskę stawia się na pierwszym miejscu, przed rodziną. 



Fot. Andrzej Wilkorf (2)

Rosja wyczuwa słabość

W związku z poczuciem historycznej krzywdy Węgry mogą stosować takie posunięcia, które prowadzą do pewnego rewizjonizmu. I tu występuje pewna zbieżność polityki węgierskiej z polityką rosyjską. Dla nas to jest pomysł niebezpieczny – mówi minister spraw zagranicznych **Jacek Czaputowicz** w rozmowie z Jackiem Karnowskim

Dokładnie w 10. rocznicę rosyjskiej agresji na Gruzję odwiedził pan – wraz z ministrami spraw zagranicznych Litwy i Łotwy oraz wicepremierem Ukrainy – Tbilisi. To nie tylko uczczenie rocznicy, lecz i ważny sygnał pod adresem Rosji. Sygnał, który można sprowadzić do stwierdzenia, że sąsiedzi Federacji Rosyjskiej nie zapominają i wyciągają wnioski.

Jacek Czaputowicz: Organizując tę wizytę, chcieliśmy przypomnieć, że w ciągu 10 lat, które minęły od dnia agresji, Rosja nie zmieniła swojej polityki. Ale nie ukrywam, że chcieliśmy także zaznaczyć naszą pamięć o pamiętnej wizycie śp. Lecha Kaczyńskiego. Słowa wypowiedziane przez niego w Tbilisi pozostają aktualne. Dekadę temu podróż czterech prezydentów – Polski, Estonii, Litwy i Ukrainy – oraz premiera Łotwy była oceniana jako akt dużej odwagi ze strony naszych państw. To było ważne wsparcie, nie można o nim zapomnieć.

Lech Kaczyński przewidział w Tbilisi, że na Gruzji się nie skończy. Dziś Moskwa okupuje Krym i wschodnią Ukrainę.

Widać pewne podobieństwo w działaniach Rosji wobec Gruzji i Ukrainy, można też mówić o wyraźnym następstwie czasowym: to, co zdarzyło się w 2014 r., wynikało z roku 2008. Ważna jest jednak nie tylko pamięć, lecz i przyszłość. Polska wspiera europejskie i atlantyckie aspiracje Gruzji. Doceniamy reformy wprowadzone w tym państwie. Gruzja jest na czele państw Partnerstwa Wschodniego, jeśli chodzi o zaangażowanie we współpracę z państwami zachodnimi. Gruzini żołnierze uczestniczą w natowskich misjach. Trzeba wyrazić uznanie dla tych działań i podkreślić, że z perspektywy Polski i państw bałtyckich drzwi do świata zachodniego są dla Gruzji otwarte.

Po 10 latach od chwili, gdy Lech Kaczyński powiedział: „Wiemy świetnie, że dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze państwa bałtyckie, a później może i czas na mój kraj, na

Polskę!”, wciąż nie udało się znaleźć recepty na rosyjski imperializm.

Przyczyny tkwią w tym, co zdarzyło się w 2008 r. Zbyt słaba reakcja Zachodu na agresję wobec Gruzji zachęciła Rosję do dalszych kroków. Efektem była wojna na Ukrainie. Po niej reakcja świata zachodniego była już bardziej zdecydowana. Na szczycie NATO w Warszawie zapadły ważne decyzje dotyczące obecności wojskowej Sojuszu w Polsce i państwach bałtyckich. Jeśli Rosja wyczuwa słabość drugiej strony, to natychmiast stara się wykorzystać sytuację na swoją korzyść. Rosja podejmuje działania nieakceptowalne, działania przeciwko społeczności międzynarodowej, nie tylko w naszym regionie. Mam na myśli Syrię, atak na rodzinę Skripalów z użyciem broni chemicznej, ingerencję w procesy wyborcze, elementy cyberwojny. Jedyną odpowiedzią może być zdecydowana reakcja i jedność świata zachodniego, utrzymanie sankcji i wysłanie sygnału, że dla takich działań nie ma akceptacji.

Nie wszyscy jednak widzą zagrożenie ze Wschodu. Premier Węgier Viktor Orbán powiedział niedawno: „Jest zupełnie oczywiste, że Węgry nie czują takiego zagrożenia, Słowacja i Czechy również nie, nie mówiąc już o krajach Europy Zachodniej”. Jego zdaniem „byłoby więc lepiej, gdyby Polska i kraje bałtyckie otrzymały od NATO i od Unii Europejskiej dodatkowe, supermocne gwarancje bezpieczeństwa, natomiast reszta Europy powinna podjąć z Rosją relacje handlowe”. W odniesieniu zaś do Ukrainy stwierdził: „Cel Rosji, aby przywrócić poprzednie status quo, nie wydaje się nierealny”. Czy drogi Polski i Węgier w polityce międzynarodowej rozchodzą się coraz bardziej?

Z Węgrami mamy bardzo dobre relacje, mamy też wspólne interesy, zwłaszcza w UE. W tym obszarze prowadzimy wspólną politykę. Co ważne, to polityka skuteczna. Łączy nas również podejście do migracji i unijnego budżetu. Trzeba się z tego cieszyć.

Jeśli chodzi o politykę wobec Rosji, to różnice były zauważalne już wcześniej. My podzielamy perspektywę państw bałtyckich, Gruzji, Ukrainy, także Rumunii, a więc państw, które czują się zagrożone agresją rosyjską, a nie perspektywę Węgier. Zdajemy sobie sprawę z tej wyraźnej różnicy poglądów. Polska polityka zagraniczna opiera się na bezwarunkowym poparciu dla integralności terytorialnej Ukrainy w granicach uznanych przez prawo międzynarodowe. W niedawnej deklaracji stwierdziliśmy, wspierając deklarację krymską Departamentu Stanu USA, że nie uznajemy i nie uznamy aneksji Krymu przez

Mam nadzieję, że nasi prokuratorzy przeprowadzą w Smoleńsku wszystkie niezbędne badania. W tym sensie należy ten krok ocenić pozytywnie

Rosję. W naszym interesie leży podtrzymanie i umocnienie prawa międzynarodowego, które odrzuca użycie siły jako sposobu działania w polityce międzynarodowej.

Czy pana zdaniem za słowami i działaniami premiera Orbána kryje się myśl o zmianie granic w jakiejś perspektywie? Węgry, zresztą nie bez podstaw, uważają, że zostały szczególnie mocno skrzywdzone.

To jest stwierdzenie zbyt daleko idące. Węgry rzeczywiście mają poczucie pewnej porażki historycznej, uważają, że zostały zbyt radykalnie pozbawione części terytorium zamieszkanego przez Węgrów. W związku z tym mogą stosować takie posunięcia, które prowadzą do pewnego rewizjonizmu. To jest mocne słowo – mam na myśli „rewizjonizm” – ale tak to można naukowo nazwać. I tu występuje pewna zbieżność polityki węgierskiej z poli-

tyką rosyjską. Dla nas to jest pomysł niebezpieczny. My co do zasady sprzeciwiamy się wszelkiemu rewizjonizmowi terytorialnemu.

Czy Rumunia jest dla Polski geopolitycznie ważniejsza niż Węgry?

Tego nie można tak stawiać. Z Węgrami współpracujemy w ramach Grupy Wyszehradzkiej, podejmujemy wspólne przedsięwzięcia. Natomiast w wymiarze geopolitycznym występują różnice. Z Rumunią też mamy bardzo dobre stosunki, choć Rumunia leży dalej. Z Bukaresztem współpracujemy militarnie, podobnie rozumiemy kwestie bezpieczeństwa, tworzymy razem format Rumunia – Turcja – Polska, jest także bukareszteńska dziewiątka. W stolicy Rumunii we wrześniu odbędzie się szczyt Trójmorza. Nie ma alternatywy: albo Węgry, albo Rumunia. I z jednym, i z drugim państwem chcemy mieć jak najlepsze stosunki.

Komitet Śledczy Federacji Rosyjskiej zgodził się na przyjazd do Smoleńska polskich prokuratorów wraz z ekspertami i na oglądziny szczątków polskiego samolotu. Czy to incydent, próba otwarcia nowej gry, a może zapowiedź jakiejś realnej korekty polityki Moskwy wobec Polski?

Dobrze, że nadeszła pozytywna odpowiedź. Mam nadzieję, że nasi prokuratorzy przeprowadzą wszystkie niezbędne badania. W tym sensie należy ten krok ocenić pozytywnie. Możemy to interpretować jako pozytywny gest wobec Polski. Czy to jest jakiś przełom? Trudno powiedzieć. Zobaczymy, jakie będą wyniki tej wizyty i jak dalek będą się rozwijały nasze stosunki.

Opozycja i sprzyjające jej media każdego dnia oskarżają rząd PiS o prowadzenie Polski w objęcia Rosji. Co ciekawe, przed wyborami ci sami ludzie twierdzili, że PiS chce wojny z Rosją. Tego typu zarzuty, padające na podwórku krajowym, docierają też na Zachód.

Nasz rząd jest za silną Unią Europejską, za silnymi więzami ze Stanami Zjednoczonymi, widzimy też jasno

zagrożenie ze strony Rosji. To dziś główne niebezpieczeństwo. Ostatnia wizyta w Gruzji także ma przecież konkretny wydźwięk. Nie widzę żadnego uzasadnienia dla twierdzeń tego typu. To są słowa na użytek wewnętrzny, za którymi kryje się sugestia, że reformy obowiązujące w Polsce mają upodobnić nasz system polityczny do systemów obowiązujących na Wschodzie. Z tym też trudno się zgodzić. Polska demokracja ma się dobrze, a reforma sądownictwa jest potrzebna. Opozycja ma prawo do krytyki rządu, ale ta krytyka powinna się trzymać rzeczywistości.

Jak można ocenić politykę amerykańską wobec Rosji po ostatnim spotkaniu Trump – Putin? Nie brakuje spekulacji, że wcześniej czy później prezydent USA ustąpi Moskwie, być może kosztem Europy Środkowej.

Sądzę, że polityka Stanów Zjednoczonych wobec Rosji zasadniczo się nie zmienia. Niektórzy komentatorzy

rzeczywiście uznali, że podczas spotkania w Helsinkach prezydent Donald Trump okazał słabość. Ale to jest kwestia retoryki. Moje rozmowy w Waszyngtonie, już po szczycie w Helsinkach, m.in. z doradcą prezydenta USA ds. bezpieczeństwa narodowego Johnem Boltonem, pokazują, że nie tylko nic się nie zmieniło, lecz wręcz pewne fakty potwierdzają korzystną dla nas linię polityki amerykańskiej. Spotkanie prezydentów Rosji i USA w Waszyngtonie zostało przełożone, administracja amerykańska wydała deklarację, w której podkreśla, że nie uznaje aneksji Krymu. To pokazuje, że USA zajmują bardzo zdecydowane stanowisko wobec Rosji. Twierdzenia komentatorów mówiące o porozumieniu Waszyngtonu z Moskwą ponad naszymi głowami są więc bezpodstawne. Być może dojdzie do porozumienia USA i Rosji w sprawie Syrii, ale to akurat należałoby ocenić bardzo pozytywnie. Gdyby udało się przywrócić pokój, byłaby to dobra wiadomość.

Czy uważa pan za możliwy taki scenariusz, w którym Stany Zjednoczone porządkują sytuację w różnych zapalnych regionach świata, np. w Korei i Syrii, by podjąć bardziej zdecydowane działania wobec Iranu? Być może z wojną włącznie.

Nie sądzę, że należy się spodziewać wojny. Na pewno Iran jest postrzegany jako poważne zagrożenie dla interesów amerykańskich na Bliskim Wschodzie. USA i UE wyraźnie się różnią w ocenie zerwanego porozumienia z Iranem. Europejczycy w większości uważają, że ta umowa jednak ograniczała rozwój broni nuklearnej przez Iran, a tym samym służyła pokojowi. Umożliwiła też rozwój współpracy gospodarczej. Stany Zjednoczone wprowadziły sankcje gospodarcze, mając nadzieję, że to skłoni Iran do zmiany polityki i osłabi potencjał tego kraju w zakresie rozwoju broni. Dla Polski najgorzej jest wówczas, gdy polityki zagraniczne Stanów Zjednoczonych i Unii się rozchodzą. Pozostając w UE i stosując się do wspólnych decyzji,

REKLAMA



Lato z radiem FESTIWAL

wstęp wolny

Brodka	Coma	Fisz Emade Tworzywo
Kortez	Król	MaJLo Ørganek
Oxford Drama	Rebeka	Smolik // Kev Fox
Tulia	Barbara Wrońska	xxanaxx
Krzysztof Zalewski	Daria Zawiałow	

26 sierpnia
Gdynia, Skwer Kościuszki
godz. 13.00 - 24.00

więcej na:
latozradiem.pl

organizatorzy

będziemy zawsze dążyli do zbliżenia tych polityk. To dotyczy także Iranu. Działamy razem z państwami Wspólnoty, a zarazem wykazujemy zrozumienie dla wprowadzonych sankcji, dla obaw amerykańskich.

Pod koniec czerwca premierzy Polski i Izraela podpisali deklarację dotyczącą wspólnej historii, która miała zamknąć konflikt wokół ustawy o IPN. Na początku wiele środowisk w Izraelu zaatakowało ten dokument jako rzekomo zbyt korzystny dla Polski, teraz można jednak odnieść wrażenie, że sytuacja trochę się ustabilizowała.

Premiera Netanjahu zaatakowały opozycja i część mediów. Trzech historyków związanych z Yad Vashem próbowało podważyć treści zawarte w deklaracji. Moim zdaniem była to krytyka nieuzasadniona, ponieważ ta deklaracja nie przesądza wielu kwestii. Dotyczy to zwłaszcza proporcji tych, którzy Żydom pomagali, i tych, którzy im szkodzili. Premierzy tego nie rozstrzygają, pokazują jedynie, że występowały te dwie postawy. Deklaracja została dobrze przyjęta w Stanach Zjednoczonych. Warto podkreślić, że również premier Mateusz Morawiecki musiał się mierzyć z głosami kwestionującymi sens wycofania się z niektórych zapisów ustawy pod presją. Moim zdaniem podpisanie deklaracji otwiera możliwości współpracy między naszymi krajami, także w zakresie przedstawiania swoich racji dotyczących historii. Gdy myślę o całym tym sporze, to dochodzę do wniosku, że kryją się za nim głębsze pokłady emocji. Okres II wojny światowej jest niezwykle ważny dla tożsamości zarówno Państwa Izrael, jak i Polski oraz Polaków. Te dwie tożsamości czasem się zderzają. Stąd tyle emocji, stąd tak duże napięcia. To wszystko kryło się pod oficjalnie dobrymi stosunkami między naszymi państwami. Te wątki będą jeszcze wracały. Trzeba rozmawiać, bo my nie mamy czego się wstydzić, jeśli chodzi o naszą historię.

Czy Stany Zjednoczone odegrały ważną rolę w doprowadzeniu do podpisania tej deklaracji?

Nie możemy ulegać presji, powinniśmy prowadzić swoją politykę, dokończyć reformę sądownictwa, być aktywni na arenie międzynarodowej



USA od początku chciały załagodzenia i rozwiązania tego sporu, ale to była sprawa między Polską a Izraelem.

Czy Polska uzna ewentualną decyzję Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, jeśli ten podtrzyma tzw. zawieszenie ustawy o Sądzie Najwyższym, które ogłosili sami zainteresowani?

To jest pytanie przedwczesne. Nie wiemy, kiedy Trybunał zajmie się tą sprawą, jak do tego czasu będzie wyglądał nasz system sprawiedliwości, jak zaawansowane będzie uzupełnianie składu Sądu Najwyższego. Zobaczymy, jakie będzie orzeczenie i jakie będą wskazania dotyczące zmian. Na pewno nie mówimy z góry, że nie będziemy się stosowali do orzeczenia Trybunału, bo to jest element zobowiązań Polski. Ewentualne pytanie będzie dotyczyło tego, co można zmienić oraz czy te zmiany nie zagrażą paraliżem całej instytucji i – szerzej – całego wymiaru sprawiedliwości. To wszystko wymaga oceny. Trybunał też to powinien wziąć pod uwagę, bo przecież chyba nikomu w UE nie zależy na destabilizacji polskiego wymiaru sprawiedliwości.

Sprawa art. 7 pokazała, że po stronie unijnej nie wszyscy grają fair. Polska wprowadziła kilkadziesiąt zmian ustawowych, a Komisja Europejska nie zamknęła procedury, co wyraźnie sugerowała.

Mamy jednak powody do jakiegś satysfakcji. To, że Komisja rozpoczęła proces ewentualnego wniesienia ustawy o Sądzie Najwyższym do Trybunału, świadczy, iż prawdopodob-

nie nie udało się jej zebrać większości niezbędnej do kolejnego etapu procedowania art. 7. Nie poddano wniosku pod głosowanie. Trwają wysłuchania, prezentujemy nasze stanowisko, ono jest przyjmowane ze zrozumieniem przez wiele państw.

Czy Polska chciałaby szybkiego głosowania nad art. 7, tak by ta sprawa w końcu upadła?

Z głosów, które do nas docierają, wiemy, że wiele krajów nie chciałoby głosowania. To dobre wiadomości, dlatego nie należy przeć do głosowania. Zarazem kontynuowanie postępowania jest postrzegane jako wygodny instrument wspierania opozycji w Polsce i osłabiania naszej pozycji w Unii Europejskiej jako kraju, w którym rzekomo są problemy z przestrzeganiem standardów. Nie możemy ulegać presji, powinniśmy prowadzić swoją politykę, dokończyć reformę sądownictwa, być aktywni na arenie międzynarodowej.

Zaczelismy naszą rozmowę od Gruzji i podkreślenia tego, jak ważne jest reagowanie na imperialną, agresywną politykę przy pierwszych jej objawach. 10-lecie wojny w Gruzji zbiega się z 80-leciem konferencji w Monachium.

Po Monachium sądzono, że uratowano pokój. Był to jednak pokój na bardzo krótko, pokój bardzo krucho. To ważna lekcja. I my z tej lekcji wyciągamy wnioski. Podkreślamy i będziemy podkreślali nasz brak akceptacji dla agresji przeciwko Gruzji i Ukrainie. Nie akceptujemy terytorialnych skutków tych wojen. 

Festiwal antypisu

Opozycja sięga po głębokie rezerwy. Festiwal organizowany przez Jerzego Owsiaaka stał się na kilka dni centrum antypisowskiej agitacji. W Kostrzynie nad Odrą pojawili się zbuntowani sędziowie, oficerowie i przedstawiciele organizacji pozarządowych, aby agitować dziesiątki tysięcy młodych ludzi do walki z „reżimem”



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Zdaniem niektórych impreza przygotowywana corocznie przez Jerzego Owsiaaka w Kostrzynie nad Odrą to największy festiwal muzyczny w Polsce. W tym roku, wedle policji, przybyło na niego 140 tys. osób, organizatorzy doliczyli się z kolei aż 750 tys. uczestników. Znając jednak ich skłonności do szarżowania w kwestiach frekwencji, pozostajmy może przy bezpiecznej liczbie – mniej więcej – 200 tys. To i tak bardzo dużo.

FAŁSZYWY ASCETYK

Paradoksem jest, że ten „największy festiwal muzyczny w Polsce” niemal w ogóle nie kojarzy się z muzyką. Konia z rzędem temu, kto – nie będąc na tym festiwalu – jest w stanie powiedzieć cokolwiek na temat występujących na nim wykonawców. Nie chodzi o to, że są nikomu nieznani, chodzi o to, że festiwal Owsiaaka nie jest powszechnie postrzegany jako wydarzenie muzyczne. Znany do zeszłego roku jako Przystanek Woodstock kojarzy się raczej nie z muzyką, ale z szeroko kolportowanymi w internecie zdjęciami przedstawiającymi półnagich lub całkiem nagich ćpunów oraz ich dzikie harce w błocie. Nie chcę twierdzić, że owsiakowa młodzież to wyłącznie degeneraci i tarzający się w narkotycznych spazmach wykojeńcy. Być może to, co oglądamy na licznych filmach



Fot. Szymon Alesionek/REPORTER

zamieszczanych w sieci, to jedynie margines uczestników tego zlotu. Nie ulega jednak wątpliwości, że nawet jeśli to margines, spotyka się on z powszechną akceptacją zarówno widzów, jak i organizatorów, w tym samego Owsiaaka.

Oficjalnie festiwal, którego nazwę zmieniono na Pol'nd'Rock, aby uniknąć sporów prawnych z właścicielem praw do nazwy Woodstock, jest „formą podziękowania dla młodzieży” za jej zaangażowanie w Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy. Jerzy Owsiaak jest współtwórcą i twarzą WOŚP, a dla wielu wolontariuszy i darczyńców najwyższym autorytetem, świeckim świętym, który poświęca swój czas i życie na pomoc potrzebującym. Owsiaak nie jest jednak bezinteresownym ascetykiem, ale raczej sprawnym przedsiębiorcą, który z powodzeniem uprawia swój charytatywny biznes. Nie unika też ostrych sporów światopoglądowych. Dla nikogo nie jest tajemnicą jego stosunek do prawicy, Kościoła czy też szerzej rozumianej tradycji patriotycznej. Co więcej, Owsiaak zawsze taki był, nawet w okresie PRL, gdy organizował – co najmniej z aprobatą komunistycznych władz – swoje Towarzystwo Przyjaciół Chińskich Ręczników. Kryjąca się pod tą nazwą organizacja happeningowa podczas festiwalu w Jarocinie w 1988 r. wystąpiła z hasłem „Uwolnić słonia”. Hasło to odczytywano jako próbę ośmieszenia postulatów ówczesnego solidarnościowego podziemia i odciągania młodzieży od zaangażowania w opozycję.

PRANIE MÓZGÓW

Dziś jest podobnie. Owsiaak ciągle jest formalnie „apolityczny”, a jego inicjatywy nadal mają odciągać młodzież od polityki. Przy czym tymi złymi, zwodniczymi politykami, których piętnuje stylizujący się na kontestatora, są wyłącznie przedstawiciele prawicy. To oni chcą zniewolić młodych ludzi, moralizować, ganiać ich do kościoła i na patriotyczne musztry. Tymczasem – jak pokazuje na swoim festiwalu Owsiaak – młodzi ludzie wolą się poplukać nago w błocie, czasem zapalić skręta, pouprawiać wolną miłość w krzakach... Co w tym złego?

Panująca na owsiakowych zlotach atmosfera „pełnego luzu” utrzymywała i utrzymuje postawy hedonistyczne, niekiedy przybierające formy na wpół barbarzyńskie. Jednak, co chyba znacznie gorsze, łączy się to z praniem nieukształtowanych jeszcze intelektualnie i mentalnie młodych mózgów, w które wtłacza się złudną definicję wolności. Owsiaakowe „róbta, co chceta” ogranicza się przecież wyłącznie do spraw obyczajowych, do tego błota i krzaków. Nie ma mowy o żadnym „róbta, co chceta” w sprawach publicznych czy światopoglądowych. Tutaj wyboru nie ma, jest jedna droga. Jeśli wybierze inną, to straciecie wasze ukochane błoto i wasze krzaki. Trudno nazwać to szacunkiem do młodych ludzi. Są oni raczej narzędziem, sektą, która ma sekundować ideologicznym wyborom swojego guru i jego środowiska.

LUZACY PRZYJECHALI

Szczególnie widoczne było to podczas tegorocznego festiwalu w Kostrzynie. Muzyka zeszła na daleki plan, zamiast niej mówiono wyłącznie o kolejnych celebrytach antypisu,

którzy tłumnie nawiedzali młodych ludzi, aby ich „edukować” politycznie. Trudno było nie odnieść wrażenia, że liczni goście Owsiaaka, wśród nich Dorota Wellman, Igor Tuleya, Jerzy Stępień czy paradyjący w mundurze gen. Mirosław Różański, przybyli tu wyłącznie po to, aby werbować nowych bojowników do walki z piśowskim „reżimem”.

Każdemu celebrycie – jak na koncercie – towarzyszył support w postaci mniej znanych „obrońców demokracji”. Igora Tuleyę wspierała np. sędzia z Gorzowa Wielkopolskiego Olimpia Barańska-Małuszek. Pani sędzia całkiem otwarcie zachęcała młodych słuchaczy do udziału w protestach antyrządowych przeciwko Ziobrze i „jego slugosom”. Sam Tuleya, ubrany „po luzacku” w krótkie szorty i przybrudzone trampki, straszył publiczność izbą dyscyplinarną w Sądzie Najwyższym, co mogło wywołać wśród widzów wrażenie, że izba ta będzie czymś na kształt piśowskiej inkwizycji pałacej na stosie politycznych przeciwników.

Owsiaakowe „róbta, co chceta” ogranicza się wyłącznie do spraw obyczajowych. Nie ma mowy o żadnym „róbta, co chceta” w sprawach publicznych czy światopoglądowych

Na zlot wpadli też przedstawiciele warszawskiej Okręgowej Rady Adwokackiej, stowarzyszenia sędziów „Iustitia”, organizacji feministycznych (wśród nich skrajnie antyklearykalny i antypisowski Strajk Kobiet) oraz licznych organizacji pozarządowych, z Amnesty International na czele. Był też rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar. Starał się przedstawić młodzieży koncepcję trójpodziału władz. „Sąd Najwyższy – wyjaśniał Bodnar – jest jak Jurek Owsiaak, który mówi, co ma się dziać na WOŚP czy Woodstocku”.

Tak przygotowana intelektualnie młodzież mogła stawić czoła poważniejszym wyzwaniom i wziąć udział w rzeczowej dyskusji o Polsce. W trakcie debaty dziewczyna przebrana za księżniczkę Leię z „Gwiezdnych wojen”, trzymając w ręku kartkę z napisem „Szukam Hana Solo, może być mrożony”, czytała wraz z gośćmi konstytucję.

Prawnicy musieli jednak stawić czoła także niewygodnym pytaniom, np. o to, dlaczego sądy w Polsce tak fatalnie pracują. Odpowiedź była prosta: to wina PiS. Bo gdyby reżim niczego nie ruszał, byłoby świetnie.

BĘDZIE WOJNA

Na festiwalu pojawili się również wojskowi emeryci. Obok Mirosława Różańskiego, do 2016 r. pełniącego obowiązki dowódcy generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych, na scenie

Ofensywa muzealna

Fot. Mat. prasowe

Wizualizacja holu głównego Muzeum Historii Polski

Po wielu latach zaniedbań państwo nadrabia zaległości w budowie tożsamości historycznej Polaków. Poprzednie rządy lekcewały te kwestie. Ale warto brać przykład z naszych sąsiadów. Czy to przypadek, że właśnie Niemcy i Rosja prowadzą obecnie najbardziej aktywną politykę historyczną na naszym kontynencie?

W różnych dyskusjach publicznych często można usłyszeć formułowane z wyrzutem zdanie, że Polacy są zbyt zapatrzeni w przeszłość i pogrążeni w historii. Gdybyśmy chcieli jednak przełożyć to twierdzenie na nasycenie kraju muzeami, okazałoby się, że jest wręcz odwrotnie. W Unii na 100 tys. mieszkańców przypada średnio niemal siedem muzeów (w Estonii nawet 18), natomiast u nas ledwie ponad dwa. Plasujemy się w tej klasyfikacji na samym końcu europejskiej stawki.

WIELOLETNIE ZALEGŁOŚCI

Z czego to wynika? Po II wojnie światowej komuniści mieli budować świetlaną przyszłość. Słowa śpiewanej przez nich „Międzynarodówki” brzmiały: „Przeszłości ślad dłoń nasza zmiata”. W tej wizji nie było miejsca na chlubenie się historią, w której pierwszoplanową rolę odgrywali feudalowie, obszarnicy, burżuazja, kapitaliści i inne elementy reakcyjne. Dlatego ograniczano się do minimum. Decyzję o odbudowie

**GRZEGORZ GÓRNY**

Zamku Królewskiego w Warszawie podjęto dopiero w 1971 r., gdy Edward Gierek chciał sobie zdobyć tym patriotycznym gestem zaufanie społeczne.

Po upadku komunizmu wcale nie nastąpiło nadrabianie zaległości. W życiu publicznym dominować zaczęła specyficzna narracja. Jej podstawowym założeniem było zdefiniowanie polityki jako dziedziny sprawnego zarządzania, którą powinni się zajmować menedżerowie i technokraci. W tym kontekście sfera wartości, symboli, tożsamości oraz pamięci historycznej traktowana była jako temat zastępczy. Taki ton nadawały najbardziej wpływowe autorytety medialne, związane najczęściej z obozem lewicowym lub liberalnym.

Rozwój wydarzeń obnażył jednak słabość tego rodzaju myślenia. Czas pokazał, jak ważnym czynnikiem politycznym jest w dzisiejszym świecie pamięć historyczna. Wzmacnia ona tożsamość wspólnotową, wytwarza kapitał społeczny, może być źródłem dumy narodowej i pewności siebie, niezbędnej do stawiania ambitnych celów oraz sprostanania trudnym wyzwaniom. To nie przypadek, że krajami,

które prowadzą najbardziej aktywną politykę historyczną na naszym kontynencie, są obecnie Niemcy i Rosja.

Okazało się też, że mimo upadku totalitaryzmów dzieje najnowsze nadal ulegają fałszowaniu i instrumentalizacji. Zdaliśmy sobie boleśnie z tego sprawę na początku tego roku podczas awantury polsko-izraelskiej, gdy ze zdumieniem odkryliśmy, że opinia publiczna na świecie obsadza nas w roli sprawców Holocaustu. To pokazało, że istnieje konieczność podzielenia się z innymi naszym doświadczeniem historycznym oraz opowiedzenia świata (i sobie samym, a zwłaszcza kolejnym generacjom) własnych dziejów. W tym dziele nikt nie może zastąpić państwa, gdyż jest ono – jak zauważała Hannah Arendt – nie tylko wspólnotą zorganizowanego działania, lecz także zorganizowanej pamięci.

Na szczęście od kilku lat sytuacja zaczyna się zmieniać. Do rządzących dociera świadomość, jak ważna jest ta sfera. Jak mówi wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego Jarosław Sellin: „Efektywną i długofalową politykę historyczną można prowadzić jedynie w oparciu o trwale istniejące instytucje. Nie można polegać jedynie na spontanicznych akcjach, takich jak obrona pomnika katyńskiego w New Jersey (choć takie akcje są też konieczne), ale na systematycznej pracy. Pokazuje to np. funkcjonowanie IPN, któremu przez lata udało się wpłynąć na świadomość historyczną Polaków, np. w sprawie żołnierzy wyklętych czy oceny takich postaci jak gen. Jaruzelski i płk Kukliński. Takimi instytucjami są dziś jednak przede wszystkim muzea. To właśnie działalności Muzeum Powstania Warszawskiego zawdzięczamy to, że Polacy jako trzecie najważniejsze święto narodowe wskazują dziś 1 sierpnia – po 11 listopada i 3 maja”.

INSTRUMENTY POLITYKI HISTORYCZNEJ

Wspomniana przez Sellina placówka, otwarta w stolicy z inicjatywy Lecha Kaczyńskiego w roku 2004, była pierwszym muzeum nowego typu w Polsce – narracyjnym, multimedialnym, interaktywnym. Jej zamysłem stało się konstruowanie opowieści służącej budowaniu więzi z minionymi pokoleniami, wzmacnianiu poczucia wspólnoty i krzepnięciu własnej tożsamości historycznej w sposób atrakcyjny, komunikatywny i poruszający. Tym śladem podążyły później inne tego rodzaju ośrodki.

Muzea to jednak nie tylko ekspozycje stałe, lecz także wystawy czasowe, konferencje, seminaria, wykłady, publikacje książek i czasopism, filmy dokumentalne, a nawet fabularne (obecnie Muzeum Powstania Warszawskiego pracuje nad obrazem o Janie Nowaku-Jeziorańskim w reżyserii Władysława Pasikowskiego). Prowadzą one systematyczną działalność naukową, edukacyjną i popularyzatorską, będąc jednym z głównych instrumentów kreowania polityki historycznej. Ze statystyk wynika, że są one po kinach drugą najczęściej odwiedzaną instytucją kultury w Polsce. W 2017 r. przewinęło się przez nie 38 mln ludzi, a co roku notowany jest przyrost o 1–2 mln gości.

Muzeów wciąż jest jednak w porównaniu z Europą niewiele. Nie ma przede wszystkim – jak w wielu państwach – muzeum, które przedstawiałoby historię narodu od jego

początków do współczesności. Nie ma placówek dedykowanych postaciom uznawanym za najważniejsze w naszej przeszłości, jak Józef Piłsudski. Całe polacie dziejów Polski nie znalazły swego odzwierciedlenia w muzealnictwie.

Obchodzona właśnie rocznica 100-lecia odzyskania niepodległości to dobra okazja, by nadrobić przynajmniej część z tych zaległości. Dlatego w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu „Niepodległa” (obejmującego lata 2017–2021) uruchomiono ambitny projekt tworzenia nowych muzeów. Jak mówi Jarosław Sellin, chodzi o to, by po jubileuszowych obchodach pozostały trwale pamiętki – instytucje, które będą służyć kolejnym pokoleniom Polaków.

NOWE OTWARCIE

Największą inwestycją w dziejach naszego muzealnictwa będzie z pewnością Muzeum Historii Polski. Zostało ono powołane do życia jeszcze w 2006 r., za pierwszych rządów PiS. Kiedy do władzy doszła jednak PO, spadło ono z listy priorytetów ministerstwa i przez lata funkcjonowało w stanie embrionalnym. Dopiero po 2015 r. prace nad jego wzniesieniem ruszyły na nowo. Miesiąc temu wbito pierwszą łopatę na budowie, gdzie ma powstać główny budynek wystawienniczy. Usytuowany będzie na terenie warszawskiej Cytadeli. Tam ma również zostać przeniesione Muzeum Wojska Polskiego.

Wkrótce swe podwoje otworzy także kompleks muzealny poświęcony marszałkowi Piłsudskiemu zlokalizowany w pobliżu jego dworku w Sulejówku, który został wyremontowany na stulecie odzyskania niepodległości.

W planach ministerstwa jest też Muzeum Ziemi Wschodnich Dawnej Rzeczypospolitej. Narodziło się ono ze spontanicznej inicjatywy i oddolnej potrzeby, by opowiedzieć o dziejach Kresów. Aż kilkanaście miast zgłosiło się z gotowością wybudowania takiej placówki. Ostatecznie powstanie ona w pałacu Lubomirskich przy pl. Litewskim w Lublinie. Zdecydowało o tym kilka czynników: to największe miasto na tzw. ścianie wschodniej, liczący się ośrodek akademicki i naukowy oraz miejsce zawarcia unii polsko-litewskiej.

Ważnym przedsięwzięciem będzie też budowa siedziby Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku, dokumentującego dzieje Polaków zsyłanych w głąb Rosji. Podjęto również decyzję o wzniesieniu Muzeum Getta Warszawskiego w gmachu dawnego Szpitala Dziecięcego Bersohnów i Baumanów przy ul. Śliskiej – jednego z niewielu zachowanych budynków żydowskiej dzielnicy w okupowanej Warszawie.

Lista nowych inwestycji jest jednak znacznie dłuższa.

WOJNA O PAMIĘĆ

Wśród ok. 1000 muzeów znajdujących się w Polsce można wyróżnić placówki państwowe, samorządowe i prywatne. Ministerstwo uznało, że część z nich ma tak wielkie znaczenie ponadlokalne, iż powinny zostać objęte opieką państwa, a nie tylko samorządów, jak było do tej pory. Dotyczy to zwłaszcza niemieckich narodowo-socjalistycznych obozów zagłady. Przykładowo: Treblinka, która jest największym

Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL

1 Warszawa

- Muzeum Historii Polski na terenie Cytadeli
- Muzeum Getta Warszawskiego w dawnym budynku Szpitala Dziecięcego Bersohnów i Baumanów
- Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wyszyńskiego w Świątyni Opatrzności Bożej
- Narodowe Muzeum Techniki
- Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL w dawnym więzieniu przy ul. Rakowieckiej

2 Białystok

- Muzeum Pamięci Sybiru

3 Gdańsk

- Muzeum Westerplatte
- Muzeum II Wojny Światowej

4 Kraków

- Muzeum Historyczne Miasta Krakowa – Miejsce Pamięci na terenie byłego niemieckiego obozu koncentracyjnego KL Płaszów
- Galeria Designu i Architektury – oddział Muzeum Narodowego w Krakowie w budynku dawnego hotelu Cracovia

5 Lublin

- Muzeum Ziemi Wschodnich Dawnej Rzeczypospolitej w pałacu Lubomirskich

6 Ostrołęka

- Muzeum Żołnierzy Wyklętych

7 Ostrów Mazowiecka

- Muzeum – Dom Rodziny Pileckich

8 Oświęcim

- Muzeum Pamięci Mieszkańców Ziemi Oświęcimskiej w pobliżu byłego niemieckiego obozu zagłady Auschwitz-Birkenau

9 Poznań

- Muzeum Powstania Wielkopolskiego

10 Sobibór

- Muzeum Byłego Obozu Zagłady

**11 Sulejów**

- Muzeum Józefa Piłsudskiego (w sąsiedztwie dworku Marszałka)

12 Toruń

- Muzeum „Pamięć i tożsamość” poświęcone historii Polski oczami Jana Pawła II

13 Wejherowo

- Muzeum Piaśnickie – miejsce kaźni polskich elit Pomorza zamordowanych przez Niemców

14 Wrocław

- Muzeum – Dom Edyty Stein

cmentarzyskiem obywateli polskich na świecie (800 tys. zamordowanych), ma zaledwie status oddziału Muzeum Regionalnego w Siedlcach. Dzięki zaangażowaniu ministerstwa można będzie zadbać o rozwój tamtejszej placówki, od lat niedoinwestowanej. Podobnie będzie z Muzeum Gross-Rosen w Rogoźnicy.

Planowane jest również otwarcie Muzeum – Miejsca Pamięci na terenie byłego niemieckiego obozu zagłady w Sobiborze (oddział Państwowego Muzeum na Majdanku). W październiku będziemy obchodzić 75. rocznicę buntu w tamtejszym obozie – był to największy akt oporu w fabryce śmierci w czasie Holokaustu. Podczas prac archeologicznych odkryto tam jedyne zachowane na świecie fundamenty komór gazowych, a także podziemny tunel, który wykopali więźniowie, gdy planowali ucieczkę.

Objęcie państwowej opieki nad tymi obiektami stwarza szansę, by opowiedzieć światu prawdę o niemieckim ludobójstwie i postawie Polaków w czasie wojny. Muzeum Auschwitz odwiedza rocznie 2 mln ludzi, w tym wielu cudzoziemców.

Treblinka czy Sobibór także mogą przyciągnąć dziesiątki tysięcy osób nie tylko z Polski, lecz i z zagranicy.

Wśród placówek dokumentujących dzieje Rzeczypospolitej pod okupacją niemiecką znajdzie się również nowe muzeum w Piaśnicy pod Wejherowem. Było to miejsce zbiorowej kaźni polskiej inteligencji z Pomorza Gdańskiego, zwane „Kaszubską Golgotą”. Ośrodek powstanie w willi wybudowanej w 1926 r. przez cenionego lekarza – dr. Franciszka Pankę, którego dwie córki zostały zamordowane przez Niemców w Lasach Piaśnickich. Dom został zarekwirowany w 1939 r. na siedzibę gestapo i więzienie, w którym katowano zatrzymanych. Niedawno obiekt został odkupiony przez państwo od spadkobierców dr. Panki. Obecnie trwają tam prace nad stworzeniem muzeum. Zostanie ono otwarte jesienią 2019 r. – w 80. rocznicę mordów w Piaśnicy.

To tylko część z długiej listy projektów Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Jeżeli zostaną one zrealizowane, mapa polskiego muzealnictwa ulegnie daleko idącej zmianie. Dobrej zmiany.



Tak naprawdę każda kobieta jest w życiu ministrem ważnych spraw dnia codziennego. Polskie kobiety mają w genach sztukę wielopoziomowego zarządzania

Jestem „człowiekiem Gowina”

*Z Jadwigą Emilewicz,
ministrem przedsiębiorczości i technologii,
rozmawia Dorota Łosiewicz*

Jak się czuje krakuska w Warszawie?

Jadwiga Emilewicz: Dobrze. Bardzo lubię Warszawę. Nie zatykam nosa, gdy wsiadam do pociągu na dworcu Kraków Główny. Raczej szerzymy naszą miłość do stolicy w Krakowie.

A rozłąka z rodziną była ciężka?

Początek był bardzo trudny. W poniedziałek ruszałam z Krakowa o 3.00 rano, a w piątek wracałam do domu późną nocą. Przez półtora roku byłam weekendową mamą i żoną. To nie było dobre rozwiązanie. Na szczęście od września

ubiegłego roku mieszkamy już całą rodziną w Warszawie. Dojeżdżanie byłoby na dłuższą metę nie do utrzymania. Tym bardziej że moje dzieci są stosunkowo małe. Iwo ma 13 lat, a najmłodszy Benek – sześć. Pośrodku jest jeszcze Ignacy. Dzieci potrzebują mamy na co dzień, a nie tylko w weekendy. Staramy się oczywiście możliwie często bywać w Krakowie, ponieważ tam mieszkają rodzice moi i męża.

Co w życiu jest najważniejsze?

Życie w zgodzie z własnym sumieniem. Trzymanie się przyjętych standardów moralnych. W życiu prywatnym

i zawodowym. Bardzo staram się w natłoku codzienności nie zgubić rodziny, najbliższych. To determinuje moje życiowe wybory.

Minister nie ma chyba zbyt dużo czasu dla rodziny?

Faktycznie bardzo trudno łączyć pracę ministra z wychowaniem trzech synów. Ale decyzji o wejściu do rządu nie podjęłam samodzielnie. Zrobiliśmy to całą rodziną. Mąż i dzieci wyrazili zgodę, co oczywiście nie znaczy, że zawsze im się wszystko podoba. Na pewno im mnie często brakuje. Dlatego gdy jestem w domu, staram się ten czas poświęcać maksymalnie rodzinie. Nielatwo jednak uwolnić głowę od polityki. W tym sensie polityk podobny jest do przedsiębiorcy. Przedsiębiorca to taki człowiek, który cały czas jest w pracy. Budzi się ze swoją firmą i z nią zasypia. Pewnie z politykiem jest podobnie. Nie da się zamknąć drzwi gabinetu i nie myśleć. Polityka to taki rozpędzony rollercoaster. Dziś, po dwóch latach w ministerstwie, trudno mi uwierzyć, że można tak funkcjonować przez całe życie. To raczej niemożliwe. Poziom determinacji, zaangażowania emocjonalnego i intelektualnego jest tak wielki, że niemożliwy do utrzymania w całym zawodowym życiu. Staram się jednak wykorzystać maksymalnie czas, który mi jest dany, aby powierzony mi wycinek rzeczywistości zostawić w lepszym stanie. Kiedyś pewnie zwolnię. Wierzę, że to, co robię, robię także dla dzieci i ich przyszłości. Poniekąd również ode mnie zależy, w jakim kraju będą kiedyś żyły.

Ma pani jakieś żelazne zasady

związane z życiem rodzinnym, typu „nie odbieram telefonów po 18.00”?

Postanowienia mam. Łatwiej jednak coś postanowić, niż potem zrealizować. Zawsze jednak, gdy ktoś mnie pyta: „Jak sobie radzisz?”, przypomina mi się, jak w jednym z wywiadów mama Pospieszalskich, w rodzinie gdzie jest wiele dzieci, na to pytanie: „Jak pani sobie radzi?”, odpowiedziała rozbijając: „Nie radzę sobie”. I ja też uczę się żyć z takim nieradzeniem sobie. Mam postanowienie, żeby nie wracać do domu później niż o 18.00. Niestety trudno tego postanowienia dotrzymać. Staram się czytać chłopcom na dobranoc. To też nie zawsze się udaje. Na szczęście mam wrażenie, że i ja, i mąż mamy dobre relacje z synami. Chętnie z nimi rozmawiamy, dzielą się tym, co ich spotyka. Niedawno syn wrócił z obozu harcerskiego z rozpiętą próbą na kolejny stopień. Okazuje się, że wśród różnych wyzwań, którym ma stawić czoła, np. sportowych, jest też wyzwanie duchowe: odbyć rekolekcje w czasie nierekolekcyjnym. I nagle syn mówi, że chce pojechać na rekolekcje z ojcem. Od razu zaczęłam myśleć, którego z zaprzyjaźnionych duchownych syn ma na myśli, a jemu chodziło po prostu o tatę. I pomyślałam, że to dobry znak, iż wciąż mamy kontakt z dziećmi. Najważ-

niejsze to nie stracić go w szaleństwie dnia codziennego. Nawet gdy mam ważne spotkanie, a dzwoni któryś z synów, to staram się odebrać.

Mąż panią wspiera?

Oczywiście, choć i jemu nie jest łatwo łączyć życie zawodowe z dodatkowymi obowiązkami w życiu prywatnym. Myślę jednak, że jesteśmy jak większość polskich rodzin, w których rodzice starają się wybrnąć zwycięsko z łączenia pracy z rodzinnym szczęściem. Być może w moim przypadku poziom stresu jest wyższy, ale tak naprawdę każda kobieta jest w życiu ministrem ważnych spraw dnia codziennego. Jesteśmy doskonale w zarządzaniu wielopoziomym. Kobiety w Polsce od XIX w. wciąż były same. Mężczyźni szli do powstań, ginęli, a kobiety wychowywały dzieci, ogarniały dom, pracowały, zajmowały się działalnością opozycyjną itd. Polskie kobiety mają więc już w genach tę sztukę wielopoziomowego zarządzania. Mnie ukształtowało harcerstwo, ucząc bardzo wcześnie odpowiedzialności. Już będąc zuchem, jest się kimś ważnym dla swoich rówieśników, później zastępowym, drużynowym, organizuje się obóz, trzeba opanować kwestie organizacyjne – związane z rozbięciem obozu, i finansowe – związane z jego rozliczeniem oraz zakupami. To jest jak małe ministerstwo czy przedsiębiorstwo. Człowiek uczy się zarządzania i brania odpowiedzialności za siebie i innych. Odbierałam tę lekcję przez 10 lat, będąc w szkole podstawowej i liceum, a później na studiach. Do dziś mam bliski kontakt z tym środowiskiem. Cieszę się, że i moi synowie złapali

harcerskiego bakcyła. Liczę, że to nam pomoże uniknąć wielu problemów wychowawczych w przyszłości.

Żyje pani w męskim świecie: mąż, synowie. Czy taki świat przygotował panią do męskiego świata, jakim jest polityka?

Nigdy na to tak nie patrzyłam. Może... U nas zawsze jest głośno. Chłopcy po prostu komunikują się podniesionym głosem. Nieraz myślałam, że przydałby się nam element łagodzący w postaci dziewczynki. Z nimi jest taka szamotanina, odkąd otworzą oczy, aż do wieczora. Do pracy pewnie przeniosłam z domu to, że jeśli moi współpracownicy w lot nie łapią tego, o co mi chodzi, to szybko się denerwuję. Nie mam dużej cierpliwości. Poza tym potencjalnie długie rozmowy maksymalnie skracam, żeby wyegzekwować to, na czym mi zależy. Jak w domu.

Zamilowanie do technologii to efekt życia w męskim towarzystwie?

To pasja od czasu bycia radną i pracy w fundacji, gdzie spotkałam się z ludźmi z Klubu Jagiellońskiego. Wtedy mówiliśmy, że w polityce polskiej brakuje systematycznego

Nie uciekam od sporu, bo on jest wartością demokracji. Natomiast wojna niszczy, eskalacja konfliktu nie buduje ani wspólnoty, ani dobrobytu

namysłu programowego i merytorycznego przygotowania do przejęcia władzy. Efektem był raport, nad którym pracowaliśmy półtora roku – „Przedsiębiorczość, głupcze”. Badaliśmy kondycję polskich przedsiębiorców, szukając diagnozy polskiej gospodarki. Jednym ze sformułowanych wniosków było, że jeśli nie postawimy na dynamiczny rozwój technologiczny, to wciąż dynamiczny rozwój gospodarczy może się skończyć. Przemysł musi inwestować w nowe technologie. Raport powstał półtora roku przed tym, nim zostałam ministrem u premiera Morawieckiego. Kiedy premier rozmawiał ze mną o naszej misji w Ministerstwie Rozwoju, zapytał o to, którymi obszarami chciałabym się zająć. Wymieniłam wtedy politykę wspierającą proinnowacyjność przedsiębiorców. Czulałam się przygotowana wcześniejszą pracą z gronem ekspertów.

Mam wrażenie, że jeśli chodzi o przedsiębiorców, rząd podaje dwa słowa kluczowe: innowacje i start-upy. Czy to nie są puste zakłęcia?

Pracujemy nad tym, aby tak nie było. Faktycznie słowo „innowacje” jest intensywnie używane, a często nawet nadużywane, ale przedsiębiorcy, żeby starać się np. o dofinansowanie, muszą być innowacyjni. I będą musieli jeszcze bardziej – to wynika z tego, jak kształtuje się kolejna perspektywa budżetowa UE. Środków przeznaczonych na nowe technologie, patenty będzie jeszcze więcej. W perspektywie 2007–2013 dużo środków przeznaczono na to, żeby przedsiębiorcy mogli uzupełniać swoje parki maszynowe. Od 2013 r. Komisja Europejska zmieniła strategię. To jakby powiedzieć przedsiębiorcom: „Do tej pory dawaliśmy wam pieniądze na młotek i gwoździe, a teraz zbudujcie satelitę i lećcie w Kosmos. Przy czym na aluminium i nity już pieniędzy nie damy. Sfinansujemy za to know-how, badania itd.”. Między tymi perspektywami jest przepaść. Ale polski przedsiębiorca się zmienia i dostosowuje do wymagań, choć często mówi, jak trudne to jest dla niego zadanie. Jeśli jednak mamy stworzyć trwale podstawy wzrostu gospodarczego, które będą budować kapitał na kolejne dekady, musimy sprostać tym wyzwaniom. Dlatego m.in. systemem ulg podatkowych staramy się zachęcić przedsiębiorców do innowacji.

A czy start-upy to nie jest najłatwiejszy sposób na wyciągnięcie pieniędzy z UE?

I tak, i nie. Ekosystem startupowy podzieliłabym na dwie części. Pierwsza to start-up jako lifestyle. Miło być biznesmenem, który marzy, by stać się Elonem Muskem, chodzić w conversach i wyciągniętej bluzie. Jednak druga część tego ekosystemu ma apetyt i talent, żeby dostarczać ciekawe rozwiązania technologiczne, które podbiją świat. I tę część intensywnie obserwujemy. Świat dostarcza nam twardych danych. Jeśli popatrzymy na przychody największych firm z końca ubiegłego roku, to nie znajdziemy wśród nich branży motoryzacyjnej, przemysłu ciężkiego. To były firmy typu Apple, Google, Facebook, Amazon. A to przecież są spółki, które zaczynały w „garażu”. Start-up dostarcza rozwiązań technologicznych, często nie potrzebuje tak

wielkich nakładów inwestycyjnych jak tradycyjny przemysł, a potencjalnego rozwiązania o znaczeniu globalnym może dostarczyć szybko. Dlatego tak się na start-upach koncentrujemy. Nie zapominamy przy tym o tradycyjnym biznesie: małym, średnim i dużym. Mamy niemal 3 mld publicznych środków na rozwój start-upów do 2020 r. To dużo, a start-up powinien być lekko „głodny”, by chcieć szybko dostarczyć rozwiązanie na rynek. Widzimy ten problem. Ale jest też inne wyzwanie – słabo rozwinięty rynek kapitału podwyższonego ryzyka. To, czego nam brakuje, to fundusze venture capital. W najbardziej innowacyjnych gospodarkach ten segment jest istotnym źródłem finansowania innowacji. Potrzebujemy więc inwestorów gotowych zainwestować w ryzykowne przedsięwzięcia, których nigdy nie skredytuje bank. Mam nadzieję, że środki zainwestowane w start-upy doprowadzą także do rozwinięcia się funduszy wysokiego ryzyka. I to się już dzieje. Na przykład Tauron uruchomił już swój fundusz CVC i to jest coś na kształt przełomu kopernikańskiego. Wiem, że kolejne duże spółki finalizują procesy prawne, aby powołać podobne fundusze. Szybciej będzie można doprowadzić do rozwoju ciekawych, przełomowych projektów. Start-upy nie są wyłącznie modą, mają głęboki sens i wymierne efekty ekonomiczne.

Czy to, że pochodzi pani z Krakowa, wpłynęło na pani determinację w walce ze smogiem?

Na pewno. W Krakowie wszyscy żyjemy jakością powietrza. Gdy większość ludzi po obudzeniu robi sobie kawę, my w Krakowie sprawdzamy w aplikacji, czy jest czym oddychać. Do niedawna byłam radną Sejmiku Województwa Małopolskiego. To temat, który stawał w debacie wielokrotnie. Moją skromną zasługą było to, że sejmik jednogłośnie przegłosował uchwałę antysmogową, która zakazuje od tego roku stosowania odpadów paliw stałych w paleniskach domowych. Mam nadzieję doprowadzić do rozwiązań prawnych i finansowych, które sprawią, że powietrze w polskich miastach będzie czystsze. Jakość powietrza w Polsce to nie jest problem teoretyczny, ale prawdziwy. Ponosimy z tego tytułu koszty zdrowotne, smog skraca nam życie.

To prawda, że to dzięki pani premier Morawiecki wprowadził temat smogu do exposé?

Pan premier sam wybierał tematy do exposé. Smog był jedną z propozycji.

Możliwe, że walcząc ze smogiem, rząd zakaże używania kominków?

Dwa lata temu Rada Miasta Krakowa taką uchwałę podjęła, ale w skali kraju to odległa perspektywa. Dziś mamy inne realne problemy, czyli korzystanie ze słabej jakości paliw do ogrzania domów, palenie śmieciami, odpadami węglowymi w piecach, które są bardzo słabej jakości. I to jest główne wyzwanie. Za sprawą rozporządzenia kotłowego, które eliminuje możliwość wprowadzenia do obrotu kotłów o niskich standardach emisyjnych i dzięki ustawie o jakości paliw stałych mamy szansę uporządkować kwestie jakości paliw, które są wykorzystywane w domach, czyli

tęgo, czym ludzie palą. Problem jakości powietrza w Polsce jest ściśle związany z ubóstwem energetycznym. Posiadanie domu nie zawsze jest znakiem statusu społecznego. Domy wymagają termomodernizacji, wymiany źródła ciepła. Dlatego przyjmując ustawy i rozporządzenia, które ograniczają możliwość korzystania z paliw najgorszej jakości, przygotowujemy jednocześnie wspólnie z Ministerstwem Środowiska program, który ma wspierać najmniej zamożne rodziny w termomodernizacji domów i wymianie źródeł ciepła. Później trzeba będzie rozwiązać problem dostarczenia paliwa dobrej jakości za cenę, na którą będzie ich stać. Nad całością pakietu pracuje pełnomocnik ds. czystego powietrza Piotr Woźny.

Wie pani, że wielu Polaków zbiera cały rok zużyte pieluchy, by palić nimi śmiga?

Wiem. A także o tym, że w jednej z podwarszawskich miejscowości jest zakład, który szyje polary i jesienią ustawia się tam kolejka mieszkańców z okolic, którzy skupują ścinki. Polar jest bardzo energetycznym surowcem, który świetnie się pali, ale to czysta chemia, która straszliwie zanieczyszcza powietrze. W województwie podlaskim ludzie kupują w sklepach z tanią odzieżą rzeczy, których nikt nie chce nabyć, zanurzają je w wyeksploatowanych olejach, których nie powinno być na rynku, i czymś takim też się pali. Dlatego obok regulacji potrzebna jest też edukacja. Bieda podpowiada innowacyjne zachowania w zakresie ogrzewania, ale czasem brakuje świadomości konsekwencji.

Pytałam o krakuskę w Warszawie, matkę w polityce, a jak czuje się polityk PO w rządzie PiS?

Skoro pyta mnie pani o moją drogę, to muszę wrócić do jej początku. Mój romans z polityką ma początek w wyborze studiów, a ten wynika z głębokiego przekonania, że polityka jest najwyższą formą zaangażowania się na rzecz dobra wspólnego. Uprawianie polityki rozumiem jako służbę. Dlatego tak bardzo ubolewam nad tym, że zaufanie do polityków spadło, a grono osób, którym zależy na poprawie tej reputacji, nie jest wystarczająco duże. Gdy wstępowałam do PO, to była inna Platforma. W Krakowie po okresie rządów SLD-PSL ludzie z PiS i PO byli jednym środowiskiem. Jedni bardziej byli przywiązani do społecznej gospodarki rynkowej i odbudowy moralnych fundamentów państwa, drudzy do wolności gospodarczej. Niespodziewanie Jarosław Gowin, który został zaproszony przez Jana Rokitę do czynnej polityki, zaprosił do niej także grono bliskich współpracowników. Uznał, że nie można być w polityce solistą. Chciał, żeby „jego ludzie” mieli wpływ na to, czym PO będzie. Nie czuję się więc „człowiekiem PO”. Jestem „człowiekiem Gowina”, i to się nie zmieniło. Jarosław Gowin nie zmienił swoich poglądów, ja także nie. Byłam i jestem konserwa-

tystką. Moja tożsamość się nie zmieniła. Gdy okazało się, że PO nie jest tym, czego oczekiwaliśmy, Jarosław Gowin z niej wystąpił. Nie stało się to w momencie sondażowego kryzysu, a więc nie była to ucieczka, tylko stwierdzenie, że nie mieścimy się w tej formacji.

Koledzy z rządu dają odczuć, że traktują panią jak „człowieka Gowina”, a nie Kaczyńskiego?

Ja sama siebie tak nazywam, więc nie jest to ani obelga, ani obciążenie. Jestem członkiem małej partii koalicyjnej Porozumienie i dobrze się z tym czuję. Koalicja w polityce to stan naturalny. My tworzymy rząd koalicyjny, ale nie mam poczucia, iż to, że należę do innej partii niż PiS, uniemożliwia mi realizowanie ważnych projektów politycznych tego rządu. Jesteśmy wręcz jego gospodarczym stemplem.

Skoro o politycznych projektach mowa – nie jest żadną tajemnicą, że poparła pani weto prezydenta Dudy do ustawy o SN i KRS. Jest pani zadowolona z kształtu reformy sądownictwa?

Nie mam najmniejszych wątpliwości, że przeprowadzenie reformy było konieczne. W rozmowach

z komisarzami europejskimi często odwołuję się do badań Eurostatu, na który to KE tak chętnie i często się powołuje. Eurostat bada percepcję i jakość wymiaru sprawiedliwości w państwach UE. Polska wypada w nich poniżej średniej. To Polacy chcieli reformy wymiaru sprawiedliwości, czując, że nie stoi on po stronie zwykłych ludzi. Co do episteme, nie mam więc wątpliwości. Można się za to wadzić o technę, czyli sposób realizowania celu. Gdyby to ode mnie zależało, byłby on mniej konfrontacyjny. Natomiast jestem głęboko przekonana, że Polska jest krajem demokratycznym, być może najbardziej demokratycznym ze wszystkich w UE. Reprezentant suwerena wysłuchał po prostu jego głosu. Z tego samego powodu wyraziłam poparcie dla weta prezydenta, który ustaw nie podpisał, mimo że sam uważał, iż reforma jest konieczna.

Męczy panią wojna polsko-polska?

Dopóki umiemy się spierać, nawet głośno, o rzeczy takie jak prawo do życia, konstytucja, wymiar sprawiedliwości, to dowód, że demokracja jest żywa, a nas te kwestie naprawdę obchodzą. Nie uciekam od sporu, bo on jest wartością demokracji. Natomiast wojna niszczy, eskalacja konfliktu nie buduje ani wspólnoty, ani dobrobytu, ani warunków rozwojowych. Nie buduje marki Polski, jaką byśmy chcieli tworzyć. Wojnę chciałabym zakończyć natychmiast.

Jak?

Może wszyscy powinni uspokoić emocje, wyleczyć sondażową gorączkę...

K

ULTURY



Milo – syn Mela

*W filmie „303. Bitwa o Anglię” gra Kanadyjczyka Johna Kenta.
Dowódcę dywizjonu, którego polscy lotnicy zaczęli z czasem nazywać Kentowski,
podkreślając, że stał się swój*

Fot. Eric Charbonneau/REX/Shutterstock



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Postać Johna Kenta w filmie „303. Bitwa o Anglię” to druga wojenna rola Mila Gibsona. Za sprawą pierwszej – zagranej nie w głównym szeregu, ale za to w oscarowej produkcji „Przełęcz ocalonych” (2016), wyreżyserowanej przez Mela Gibsona – wkroczył do kinowego przemysłu. W roku premiery miał 26 lat i – jak mówił w jednym z wywiadów – poczuć, że wchodzi w za duże buty. Dlaczego więc zdecydował się na taki krok?

Na czerwonym dywanie ustawiano go obok ojca, tak by jak najbardziej podkreślić rodzinne podobieństwo. Od wejścia „Przełęczy...” do kin w każdej rozmowie, także przy innych tytułach, punktem odniesienia był Mel Gibson. Trudno udawać, że to nazwisko w przypadku Mila nie działa jak dobrze naoliwiony podnośnik. Bo niekoniecznie jak katapulta.

Nie jest aktorskim geniuszem, ale przed kamerą radzi sobie nieźle. Zarówno w otoczce wojennej, jak i gangsterskiej (przy-

mierzał się m.in. do roli Ala Capone w „Gangster land”) czy romantyczno-komediowej (w ubiegłym roku zadebiutował w głównej roli w filmie „Breaking & exiting”).

W ŚLADY OJCA

Ma sześciu braci: czterech starszych i dwóch młodszych (w tym przyrodniego, urodzonego w ubiegłym roku) oraz dwie siostry – jedną starszą rodzoną oraz kilkuletnią przyrodną, której pojawienie się na świecie przyczyniło się do głośnego rozpadu podawanego za wzór, ponad 30-letniego małżeństwa Mela Gibsona i Robin Moore.

Jest pierwszym spośród tak liczego rodzeństwa, który poszedł w ślady ojca. Późno się na to zdecydował. Już jako dorosły człowiek.

Wcześniej, co podkreśla, wychowywał się z dala od atmosfery Hollywood. Mel Gibson odsuwał swoje dzieci od aktorstwa. Przy okazji premiery „Przełęczy ocalonych” mówił o Milo, że ani w prywatnym życiu, ani na planie nie starał się go reżyserować, bo osiągnąłby przeciwny skutek. Syn potwierdza: „Do pewnych życiowych decyzji najlepiej dochodzić samemu”. Jemu droga do aktorstwa zajęła ponad dwie dekady.

SURFOWANIE DO KINA

Urodził się w Malibu w Kalifornii, na wybrzeżu Pacyfiku i dorastał wśród ludzi, z którymi nadal pozostaje w przyjaźni. Był typowym nastolatkiem: uwielbiał grać w piłkę i surfował – ale nie w sieci, tylko w realu. Pytany o najbardziej ekscytujące wspomnienia z dzieciństwa, z uśmiechem wymienia: ślizganie się po fali, paintball i pierwszą wizytę w lokalnym fast foodzie.

Nie ukrywa przy tym, że doświadczał w dzieciństwie także innych atrakcji. Posiadanie sławnego ojca przekładało się na częste i ekscytujące podróże oraz dłuższe pobyty, które dawały możliwość poznania różnych kultur.

Kiedy miał 12 lat (Mel Gibson przygotowywał się do wyreżyserowania „Pasji”), wyjechali rodzinnie do Rzymu (tu miała powstawać większość zdjęć) i zostali przez rok, więc chodził do tamtejszej międzynarodowej szkoły. „Zostałem wrzucony w zupełnie nowy, nieznany świat, ale zakochałem się w miejscowym języku, architekturze, jedzeniu i sztuce” – komentuje.

WYPEŁNIĆ NAZWISKO

Po skończeniu szkoły przez dwa lata pracował jako masażysta, bo jeden z przyjaciół stwierdził, że jest w tym dobry. Potem inny przyjaciel z dzieciństwa zatrudnił go w rodzinnej firmie i Milo przez pięć lat był elektrykiem. W pewnym momencie postanowił jednak pójść na studia aktorskie. Próbował sił na castingach. Dopiero jednak po roli w filmie ojca zaczęły do niego sływać intratne propozycje. Nie tylko aktorskie, także z modelingu.

Milo zdaje sobie sprawę, że dostał „w pakiecie” wielkie nazwisko. Teraz musi samodzielnie je wypełnić, udowadniając, że nie jest tylko synem Mela Gibsona.

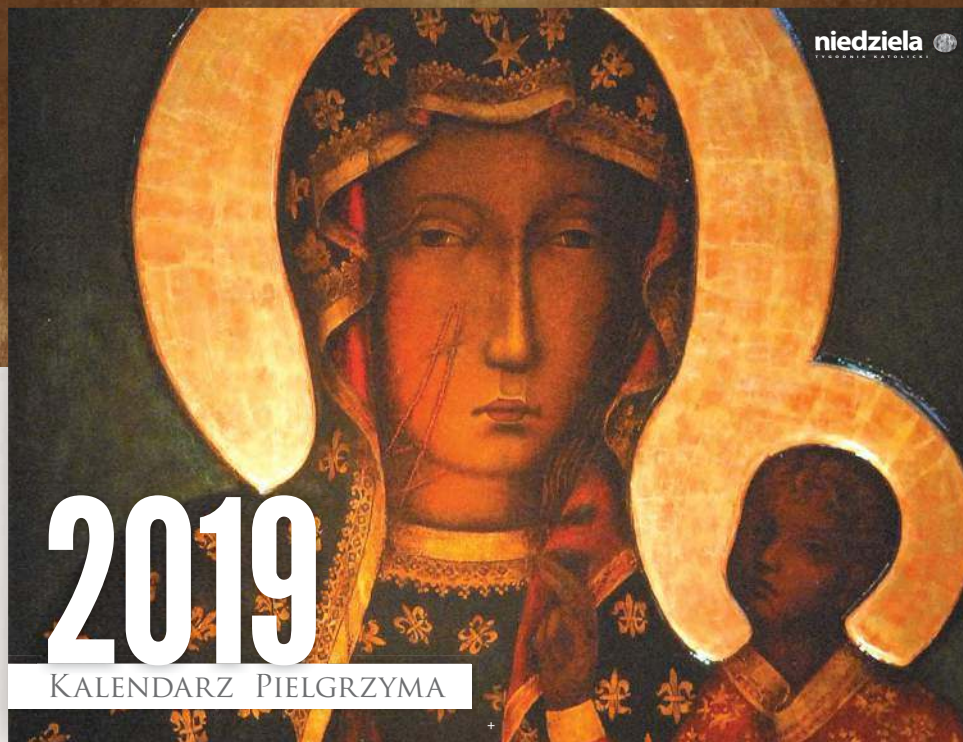


Fot. Mat. prasowe

KALENDARZ PIELGRZYMA 2019

POLECA

TYGODNIK KATOLICKI „NIEDZIELA”



W JASNOGÓRSKIEJ STREFIE MODLITWY

KALENDARZ PIELGRZYMA ZAWIERA:

- zdjęcia Cudownego Obrazu Matki Bożej Częstochowskiej – spojrzenie kochającej Matki
- galerię zdjęć pielgrzymów przybywających na Jasną Górę
- aktualne również dziś słowa św. Jana Pawła II do Polaków o Matce Bożej i klasztorze jasnogórskim
- terminy głównych uroczystości maryjnych – czyli zaproszenie na Jasną Górę

cena: 4 zł + koszt wysyłki

OFERTA SPECJALNA DLA PARAFII

Przy zamówieniu min. 20 egz. – wysyłka GRATIS

ZAMÓWIENIA:

- elektronicznie: kolportaz@niedziela.pl, www.ksiegarnia.niedziela.pl
- telefonicznie: 34 365 19 17, 34 369 43 52
- pocztą: Redakcja Tygodnika Katolickiego „Niedziela”, ul. 3 Maja 12, 42-200 Częstochowa

WEJDŹ Z NAMI W JASNOGÓRSKĄ STREFĘ MODLITWY

eprasa.pl 9462df9449

*Gwiazda „Gry o tron”, syn Mela Gibsona i Marcin Dorociński
w brytyjskiej wizji losów polskiego Dywizjonu 303.
Czy na taki film czekaliśmy latami?*

Polski heroizm

303
BITWA
O
ANGLIĘ

na brytyjskich ekranach



ŁUKASZ ADAMSKI

Przez wiele lat można było usłyszeć na prawicy narzekania na brak filmu o bohaterstwie Polaków w czasie II wojny światowej. Gdzie film o Monte Cassino i Dywizjonie 303? Dlaczego świat nie widzi naszego heroizmu? – pytano przez lata. Trudno się temu dziwić, skoro sam Winston Churchill mówił o polskich lotnikach: „Nigdy w historii ludzkich konfliktów tak wielu nie zawdzięczało tak dużo tak nielicznym”. Od kilku lat kino coraz wyraźniej mówi o polskim heroizmie. Powstaje coraz więcej polskich filmów o tematyce historycznej. Zarówno zatopionych w uniwersalnym popkulturowym sosie („Miasto 44”), jak i hermetycznie polskich („Wołyń”). Również za grani-

cami kraju nasza historyczna narracja próbuje się przebić w kinie (brytyjsko-polski „Katyń. Ostatni świadek”).

HISTORIA KOPCIUSZKA

Przez lata próbowano nakręcić film o Dywizjonie 303, który został praktycznie pominięty w klasycznym obrazie „Bitwa o Anglię” Guya Hamiltona (1969). A przecież jest to perfekcyjny materiał na film! Poza historią rtm. Pileckiego nie mamy w najnowszej historii równie hollywoodzkiego tematu, gotowego z marszu do bycia zaadaptowanym przez nowoczesną popkulturę. Udział polskich pilotów w bitwie o Anglię to przecież historia Kopciuszka. Wyszydanego i kopanego „loosera”, który niespodziewanie kładzie na łopatkach mocniejszego rywala. Całe sportowe kino, na czele z sagą o Rockym Balboa, jest zbudowane na tym schemacie. To gotowy szablon dla filmowców zapatrzonych w komercyjne hollywoodzkie kino.

Gdy zazdrosny o sukcesy polskich pilotów brytyjski oficer pułkownik

Stanley Vincent poleciał osobiście sprawdzić, czy Polacy nie zmyślają swoich podniebnych sukcesów w walkach z Luftwaffe, stwierdził: „Oni naprawdę robią to, o czym mówią. Oni naprawdę ich koszą!”. W czasie bitwy o Wielką Brytanię w 1940 r. polskiemu dywizjonowi przypisywano 126 zestrzeleń niemieckich maszyn. Stawiało to nas na pierwszym miejscu wśród dywizjonów myśliwskich biorących udział w bitwie o Anglię. Można zrozumieć, dlaczego film o herosach nie powstał w PRL, ale również w wolnej Polsce produkcja miała wyjątkowego pecha. To już trudniej wybaczyć.

OD PASIKOWSKIEGO DO BRYTYJCZYKÓW

Najbliższe zrealizowania filmu było w 2008 r. Mistrz Jerzy Skolimowski napisał scenariusz, który miał zekranizować Władysław Pasikowski (ależ połączenie filmowe!). Nie dostał on jednak dofinansowania Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. „Mieliśmy najwięk-

szego obecnie producenta w tym kraju, który właśnie skończył »Miasto 44«, dość sprawnego reżysera po »Jacku Strongu«, czeskie studio od efektów, które wykonało »Red Tails« George'a Lucasa, zespół doskonałych młodych aktorów z Pawłowskim, Pławia-kiem, Ziętkiem i Fabijańskim na czele i... PISF zdecydował, że ci, co zrobili »Tajemnice Westerplatte«, bardziej się nadają. Ale bądźmy dobrej myśli, bo czy Dywizjon 303 zasługuje tylko na jeden film? Kiedyś go nakręcimy jeszcze – mówił na łamach „Polityki” Pasikowski. Zamiast „Kruczej chwały” mistrz polskiego kina sensacyjnego kręci obecnie film o Janie Nowaku-Jeziorańskim. „Dywizjon 303” zrealizował zaś producent Jacek Samojłowicz („Kac Wawa”, „Wojna polsko-ruska”, „Tajemnica Westerplatte”) z chorwackim reżyserem Deni- sem Deliciem, który zastąpił w trakcie produkcji Władysława Saniewskiego. Wcześniej krótko z projektem związany był Łukasz Palkowski („Bogowie”, „Naj- lepszy”). Inspirowany książką Arkadego Fiedlera film Delicia wejdzie na ekrany 31 sierpnia. Dwa tygodnie wcześniej zo- baczymy brytyjsko-polską opowieść „303. Bitwa o Anglię” („The Hurricane”). Wyreżyserowany przez Brytyjczyka Davida Blaira (zdobywca BAFTY za



serial BBC „Takin’ Over the Asylum”) film miał o wiele mniej burzliwą histo- rię powstania. Czy to wpłynęło na efekt końcowy?

Nie widziałem polskiego filmu, więc nie będę go porównywał do obojęt- nego „The Hurricane”. Brytyjska pro- dukcja, która wejdzie na Wyspach do kin we wrześniu, nie jest na pewno filmem, o jakim Polacy marzą. Nie ma w niej rozmachu hollywoodzkiego kina wojennego. Nie ma wizjonerstwa Chri- stophera Nolana z „Dunkierki”, który w zeszłym roku przemeblował kino wo- jenne jak Steven Spielberg „Szeregow- cem Ryanem” 20 lat temu. Jeżeli ktoś się spodziewa, że w „303. Bitwa o Anglię” walki powietrzne są choćby zbliżone do

perelki Nolana, ten się srogo zawiedzie. Nie ten budżet, nie te przygotowania i nie ta postprodukcja. To zupełnie inna liga niż kino hollywoodzkie.

Nie walki powietrzne są jednak w fil- mie Blaira najważniejsze. Nie tylko też polski heroizm ma się wybijać w nim na pierwszy plan. Największym walorem „303. Bitwa o Anglię” jest pokazanie tra- gicznych losów Polaków w czasie II wojny światowej i po niej przez pryzmat losów jednostek. Polska cierpiąca, Polska wal- cząca, Polska zdradzona – to wszystko widzimy oczami kilku pilotów, z któ- rych na pierwszy plan wybijają się Jan Zumbach (Iwan Rheon) i Witold Urba- nowicz (Marcin Dorociński).

POLSCY PODNIEBNI UŁANI

Dobrze się stało, że w głównej roli Jana Zumbacha obsadzono znanego z „Gry o tron” Iwana Rheona, który nauczył się nawet swoich kwestii w języku polskim! Rheon jest popularnym na Wyspach ak- torem i z pewnością mocniej przyciągnie zachodniego widza niż najlepszy polski aktor grający tę samą rolę. To w jego losach odbija się cała polska dusza. Brawurowy pilotaż, ułańska fantazja, duma narodowa i w końcu zderzenie się z brutalną, polityczną rzeczywistością pojakańską. Twórcom dobrze udaje się oddać rzeczywistość, z jaką musieli się zderzyć polscy piloci walczący w Wiel- kiej Brytanii. Bez kraju, z bliskimi po- zostawionymi pod butem niemieckich





Fot. Maf. prasowe (x6)

i sowieckich barbarzyńców musieli się odnaleźć w nie tak przyjaznych warunkach. Poniżani jako „Polaczki nieumiejące mówić po angielsku” przez zadufanych Brytyjczyków byli zmuszeni pracować o wiele ciężiej, by wyryc sobie miejsca w sercach walczących z Hitlerem mieszkańców Anglii. W końcu byli masowo podziwiani przez tych samych żołnierzy, którzy patrzyli na nich z poczuciem wyższości. Oddaje to grana przez Mila Gibsona (syn Mela Gibsona) postać Johnny’ego Kenta. Kanadyjski pułkownik i pilot Królewskich Sił Powietrznych został ochrzczony przez Polaków Johnnym Kentowskim. „As myśliwski, który został Polakiem” mimo początkowych wątpliwości (nie chciał latać z polską „bandą”) ostatecznie uznał, że Dywizjon 303 był najlepszym w całej brytyjskiej flocie powietrznej. „Można powiedzieć, że Polacy przenieśli taktykę kawalerystycznych szarż, a już na pewno ich ducha, z ziemi w powietrze” – mówił. Podczas pozowania do portretów był jedynym spośród 64 oficerów, który nosił polską „gapę” (odznaka pilota w kształcie orła) nad odznaką pilota RAF.

Przed wyjazdem do nowej jednostki napisał: „Z prawdziwym żalem i smutkiem kończę mój związek z dywizjonem, najlepszym, jaki widział RAF. Czas spędzony z wami uważam za najbardziej imponujący i pouczający w moim życiu i zrobię wszystko, co w mojej mocy, by rozwijać relacje między moimi rodakami a waszymi”. Jego córka opowiadała, że do końca życia nosił w klapie munduru czarno-niebieską wstążkę Krzyża Virtuti Militari. Skąd takie przywiązanie do polskości, która przed bitwą o Anglię niewiele mu mówiła? Dzięki nastawieniu Polaków,

„303. Bitwa o Anglię” nie jest filmem cukierkowym. Nie jest to lukrowana historia bezgrzesznych lotników. Widzimy żołnierzy pijących wódkę, podrywających zapatrzone w polski mundur Brytyjki. To ludzie z krwi i kości

którzy walczyli o coś więcej niż wolność Brytyjczyków. Walczyli o wolność dla siebie i swojej ojczyzny.

BY NIE URAZIĆ STALINA

„My nie błagamy o wolność, my o nią walczyliśmy” – mówił Witold Urbanowicz, dowódca Dywizjonu 303. Wywalczyli sobie kawałek wolności, strącając kolejne niemieckie maszyny nad angielskim niebem. O ile polski ułan pędzący na czołg z szabelką jest mitem, o tyle oni naprawdę walczyli do samego końca. Gdy brakowało im amunicji, taranowali Niemców w powietrzu. Naprawdę stanowili na niebie własne prawo, wymykając się wszelkim schematom walki.

Operator Piotr Śliskowski robi wszystko, by te zdarzenia oddać z precyzją. Z większym budżetem twórcy mogliby zrezygnować z rażącego sztucznością komputera na rzecz większej liczby ujęć w powietrzu, ale ułańska fantazja i zdumiewająca Brytyjczyków podłana beczelnością od-

waga wybrzmiewa na ekranie. Bardzo ciekawie zarysowano też fikcyjną postać pilota Gabriela Horodyszcza (Adrian Zaremba). Młody i pamiętany z „Wołynia” Wojtką Smarzewskiego oraz „Powidoków” Andrzeja Wajdy aktor wciela się w głęboko wierzącego pilota, który nie jest w stanie zabić w powietrzu Niemców. Kiedy zobaczył trupy zestrzelonych pilotów leżących na ziemi, we wrogu ujrzał człowieka. Zapominamy często o tym aspekcie wojny. Czy każdy żołnierz jest w stanie zabić wroga? A co z przykazaniem „Nie zabijaj”? Co z elementarnym poczuciem humanizmu?

„303. Bitwa o Anglię” nie jest filmem cukierkowym. Nie jest to lukrowana historia bezgrzesznych lotników. Widzimy żołnierzy pijących wódkę, podrywających wyjątkowo chętnie i zapatrzone w polski mundur Brytyjki. To ludzie z krwi i kości. Nie pomnikowi, którzy deklamowałiby wyłącznie górnolotne hasła, ale zawsze gotowi, by walczyć za wolność i ojczyznę.

Najmocniejszy i jednocześnie najsmutniejszy jest finał tej gorzkiej opowieści. Jan Zumbach stoi przed oknem, obserwując 8 czerwca 1946 r. defiladę zwycięzców maszerujących ulicami Londynu. Wśród wojsk alianckich byli nawet Irańczycy i Meksykanie. Zabrakło Polaków, których wykluczono z udziału w paradzie żołnierzy. Zaproszenie zostało wystosowane tylko do pilotów Dywizjonu 303 im. Tadeusza Kościuszki. Ci jednak odmówili w proteście przeciwko pominięciu Polski. „Wszystko, by nie drażnić Stalina” – mówi ze złością Zumbach. Oto kwintesencja polskiego losu po II wojnie światowej. Oby jak najwięcej zagranicznych widzów te słowa usłyszało.

Powtórka z Gombrowicza

Wakacyjna flauta zachęca do remanentów. Na festiwalu Dwa Teatry w Sopocie było przedstawienie, które musiałem obejrzeć. To „Ślub” Witolda Gombrowicza wystawiony wspólnie przez Teatr im. Kochanowskiego w Opolu i Teatr Współczesny w Szczecinie, a wiosną tego roku zarejestrowany przez telewizję. Wyreżyserowała to Anna Augustynowicz.

Nagle ten sam „Ślub” stał się powodem kontrowersji z powodu inscenizacji Eimuntasa Nekrošiusa w warszawskim Teatrze Narodowym. Większość krytyków obwieściła, że sławny Litwin nie ogarnął zawłości myśli Gombrowicza, że postawił na puste efekty. To ci sami krytycy, którzy dwa lata temu cmokali z zachwytem, kiedy Nekrošius okazał się zupełnie niewierny Mickiewiczowi, wystawiając jego „Dziady”. Wtedy naprawdę trudno było dostrzec myśli zza teatralnych sztuczek, czasem skądinąd urokliwych.

Czy Gombrowicz jest klasykiem? Mnie się ta wersja „Ślubu” spodobała – owszem, były efekty, ale była też potężna porcja tekstu, kto chciał, mógł łowić w nim do woli. Nic jednak dziwnego, że kiedy była okazja obejrzeć inne odczytanie sławnej sztuki, skorzystałem.

Augustynowicz ze swoją ściśniętą, bardzo krótką wersją została powitana entuzjastycznie. Chwalono ją za „osobiste odczytanie testu”. Przypomnijmy, mamy tu opowieść o żołnierzu Henryku, który przeżywa coś na kształt snu. W tym śnie wraca do wywróconego do góry nogami domu rodzinnego, potem przeżywa przemianę tego domu w dwór królewski, a siebie w księcia. Potem obala własnego ojca, króla, i sięga po władzę. Dokonuje kolejnych odkryć i testuje kolejne granice. Obsadza się w rolach. Konwencja snu pozwala żonglować „fabułą”. Zarazem ta fabuła jest logiczna, przy pozornym braku logiki.

Po obejrzeniu wersji Augustynowicz jestem zdziwiony brakiem wątpliwości recenzentów. Prawda, pokrojony tekst brzmi ze sceny komunikatywnie. W tym Gombrowiczu trudno się zgubić. Zarazem zrobił się trochę bryk

ze „Ślubu”, swoiste streszczenie. Odarte z teatru, czysto dyskursywne. Bez tłumy pijaków napastujących ojca Henryka, kiedy dom jest jeszcze karczmą. I bez dworu, w jaki karczma się zmienia. Bez powodzi bełkotliwych monologów, ale też bez wdzięku. Pod tym względem wyobraźnia Nekrošiusa bije ascetyczność Augustynowicz na głowę. Choć i ona używa do swojej skupionej, zdawkowej wizji dobrych aktorów: z Grzegorzem Falkowskim (Henryk), Jędrzejem Wieleckim (Władzio) i Arkadiuszem Buszką (Pijak) na czele.

Nie rozbudowując tła, dała jednak wyraz Augustynowicz swoim obsesjom. Dekorując scenę konfesjonalem, w którym zasiada ksiądz co i rusz wtrącający się do akcji. Prawda, rozważania o obalanej boskości to ważny składnik „Ślubu”. Ale czy tak nachalnie wprowadzony? Świat religii jest w tekście tylko jednym z elementów starego świata. Na dokładkę u niej ten ksiądz pozostaje swoistym komentatorem także wtedy, kiedy Henryk boskość odrzuca, zastępując ją nihilistyczną koncepcją „dawania ślubu samemu sobie”. Dlaczego ksiądz nie znika, po co przejmując niektóre kwestie wyciętych ze sztuki



dostojników? Nikt Augustynowicz tych pytań nie zadał.

Gombrowicz klasyk to paradoks. Obłaskawiliśmy jego spostrzeżenia, zamiast traktować je jako groźny strumień świadomości, punkt wyjścia do kontrowersji, do pytań. Więcej z tej grozy widziałem w rozwichrzonej wizji Litwina. Augustynowicz, pomijając dziwaczne wstawki kościelne, napisała chwilami zgrabny referat. I nasuwa się dodatkowa uwaga – gdzie nowi Gombrowiczowie? Nie ma już niczego do odkrycia? Wszystko już o sobie wiemy? **///**

Piotr Zaremba



Wojciech Stanisławski

Rzeki samotności

Ogrody i pustkowia, w których święci oraz myśliciele zażywali spokoju i kontemplacji, zastąpione zostały przez pustynię na obrzeżach miasta albo klatkę pokoju w wieżowcu: samotność coraz częściej ukazuje nam swoją przerażającą twarz

Francuscy antropolodzy i historycy przyzwyczaili nas już do historii zachowań, postaw i instytucji społecznych, których same tytuły, od „Historii lustra” po „Historię żaloby”, zdają się nam obiecywać doświadczenie jakiejś całościowej prawdy o człowieku, nieograniczonej do konkretnych dat, krajów czy formacji. Nie zawsze ta obietnica się spełnia. Im bliżej konkretnego materialnego lub bodaj organizacyjnego, tym częściej czekać nas może zapis niepokojąco bliski rozbudowanej nocy w Wikipedii czy Britannice: dużo nazwisk i dat uklepanych na płasko, by więcej ich się zmieściło, fakty nieobce każdemu, kto zetknął się z podręcznikiem historii powszechnej, wszystko podciągnięte jak pod strychulec, wzdłuż wyimaginowanej „linii progresu”; podobnie wyglądała choćby wydana niedawno „Powszechna historia miast”.

Im opisywane zjawisko czy postawa są bardziej niepochwytne, tym większa szansa, że ich manifestowanie się w dziejach i naturalna zmienność społecznych reakcji na nie, jeśli zgrabnie zestawione, przyniosą nam nową wiedzę o człowieku. A jeśli jeszcze autorem takiego zestawienia jest Georges Minois – autor wydanej i w Polsce „Historii piekła”, prócz tego zaś wielu podobnych prac, choćby o dziejach śmiechu czy depresji – możemy się spodziewać naprawdę poważnych przemyśleń.

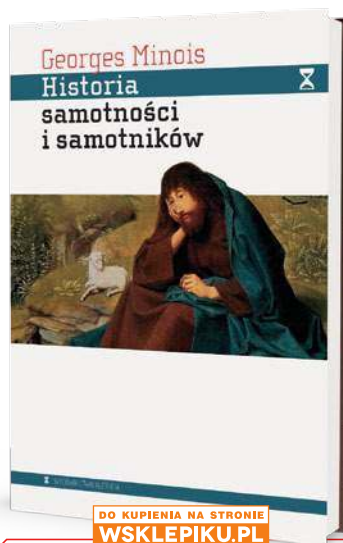
„Historia samotności i samotników” z pewnością nas nie rozczaruje. Erudy-

cyjne zestawienie łączy dwie perspektywy: przemyślenia na temat samotności, jej konceptualizacje dokonywane przez pustelników i światowców, z czysto socjologicznym ukazaniem, jakie grupy i stany społeczne doświadczają samotności w czasach od starożytności klasycznej po epokę, w której podmiotem tych doświadczeń staje się, jak pisze Minois, „homo telephonicus”, doświadczający złudzenia bezustannej obecności w świecie społecznym.

To perspektywa zapierająca dech nie tylko pod względem czasowym: samot-

ność okazuje się jednym z biegunów ludzkiej kondycji, rewersem skłonności naszego gatunku do tworzenia wspólnot, doświadczeniem uniwersalnym jak śmierć. Od początku też niemal, od pierwszych refleksji ateńskich cyników i Ojców Pustyni, będzie polaryzować myślicieli: jedni w wyborze samotności będą widzieć triumf egoizmu, uleganie podszeptom szatana, otwieranie się na nicość i rozpacz; inni będą ją wychwalać jako szansę na wytnięcie, drogę do Boga, jedyną możliwość uporządkowania myśli i dojścia do ładu ze sobą. Rzadko który język ukazuje tę dwuznaczność już na poziomie pojęć tak jak angielski ze swoim „loneliness” jako doświadczeniem rujnującego osamotnienia i „solitude” jako stanem wyzwalającej ciszy, ale sama dwuznaczność trwa i fascynujące jest widzieć dzięki Minois, jak Arystoteles, encyklopedyści i Pius XI miotają gromy na mizantropów, odwołując się do tych samych tropów.

Ścieżki samotności okazują się kręte i nieraz prowadzące do przepaści: autor „Historii samotności...” utrzymuje nas w napięciu, z jednego strony ukazując, że samotność bywa niewątpliwym przywilejem i luksusem – ubodzy wszystkich czasów spędzają całe swoje życie w tłumie, od sierocińca, przez koszary, po przytułek – z drugiej ukazując, jak wiele pochwał bukolicznego ogrodu podszytych jest smutkiem, jak często samotność staje się albo zaczynem, albo owocem melancholii. Rozczulająco



Georges Minois, „Historia samotności i samotników”, tłum. Wanda Klenczon, Wydawnictwo Aletheia, 2018

DO KUPNIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

frankocentryczny (przeważająca większość cytowanych myślicieli i pisarzy, przynajmniej od czasów nowożytnych, to autorzy francuscy; jeden z 11 rozdziałów poświęcony został „panom z Port-Royal”; pustelnicy i mizantropi Europy nie-Zachodniej, jeśli nie liczyć grzecznościowego cytatu z Tolstoja, są praktycznie nieobecni), Minois prowadzi nas jednak rzetelnie przez dzieje samotności, ukazując rosnące szeregi XIX- i XX-wiecznych samotników: wysmiewanych przez satyry mieszczańskie „starych panien” i nadających dziś

ton „singli”, dawnych robotników przymusowych i dzisiejszych imigrantów, rzesze ludzi w podeszłym wieku.

Jedna figura samotności okazuje się szczególnie niepokojąca, a zarazem łącząca starożytność ze współczesnością: to doświadczenie Narcyza, postaci, która osuwa się w samotność ze względu na niezdolność do nawiązania bliższej relacji z kimkolwiek prócz siebie, zamknięta w ścianach samozachwytu. Minois, w większej części wywodu gallicko zdystansowany do chrześcijaństwa, patrzący nań okiem raczej antropologa

niż wiernego, w ostatnim rozdziale ze zgrozą pisze nie tylko o rzeszach ludzi zbędnych, o próchnieniu kolejnych więzów społecznych, z rodziną na czele, lecz przede wszystkim o „siedmiu miliardach monad”, które ze słuchawkami na uszach, zamknięte w „autarkicznym refugium” porzucają świat niczym japońscy kikikomori, pokolenie 30-latków nieopuszczających swojego pokoju, tkwiących przed ekranem. Nie do takiej samotności chcieli nas prowadzić Demokryt, Hieronim i Pascal, ale pokusa lustra okazała się silniejsza. 

Portret z połowy XX wieku

Wiele już książek napisano o Jerzym Giedroycu, wiele wydano tomów korespondencji Redaktora i jego najbliższych współpracowników z autorami „Kultury”, wiele jeszcze pojawi się prac o tym – jak chce wielu – najważniejszym polskim czasopiśmie XX w. Ale wsparty wyborem listów szkic Sławomira M. Nowinowskiego wyróżnia się na tym tle nie tylko chłodną elegancją frazy, w niejednym nieustępującej Hostowcowi, lecz i ambicją, by opisać Giedroycia w chwili najważniejszego wyboru, na rozdrożu.

Rysunek Jerzego Czapskiego reprodukowany na okładce wiernie ukazuje profil 40-letniego podporucznika czasu wojny, wolno jednak pomarzyć o tym, jak wyglądałby portret Giedroycia pędzla Jacka Malczewskiego czy któregoś z jego akolitów. Wyobrażam sobie taki portret „historyczny” z morzem ruin w tle, jak na słynnym zdjęciu przedstawiającym powojenną panoramę Warszawy; kto wie, uzupełniony może o „narodowy kaduceusz”, obłomki Koloseum, furazerkę Pierwszego Korpusu.

Nowinowski celnie uzupełnia garść znanych zwykle faktów z prehistorii „Kultury” – decyzja o zakupie drukarni we Włoszech, poparcie Andersa jeżdżące na pstrym koniu, Zofia Hertz i Czapski jako partnerzy w „triumwiracie”. Jako historyk przypomina dwie na pozór sprzeczne prawdy o powojennych miesiącach i ich postrzeganiu przez Polaków: poczucie klęski, poniżającej przegranej, jakiej doświadczyła w rezultacie wojny Polska, jej ostatecznego upadku i zapaści cywilizacyjnej było dojmujące, stanowiło punkt wyjścia – a zarazem współlistniało z niesłychaną płynnością sytuacji.

Wielu sądziło, że wszystko jeszcze jest możliwe, od wybuchu trzeciej wojny po uczciwe wybory, a bodaj rewindykację granicy na rzecz

Polski w okolicach Cieszyńska i Lwowa; krajowi komuniści, niepewnie trzymający się na moskiewskich bagnietach, szukali za wszelką cenę sojuszników i szli na odważne kompromisy. Było tak (czy raczej, jak niedługo miało się okazać, wydawało się), jakby po doświadczeniu tragedii narodu dano Polakom jeszcze jedną szansę: dwuznaczną, jak zawsze w przypadku tych, którzy przeżyli i oglądają się na rumowisko, ale kuszącą. Sporo z tej atmosfery rezygnacji współlistniwej z nadzieją przekazała niedawno nieraz już przywoływana przeze mnie powieść „Zgliszcza”: na poziomie monografii historycznej łatwiej pokazać ten klimat, ukazując Polaków miotających się po Europie, emisariuszy przeciskających się pod jeszcze niezapadłą żelazną kurtyną.

Do tego dochodzi charakter Jerzego Giedroycia, u którego dyplomatyczna układność, zdolność do budowania sojuszy bez szlagońskiego zaciętrzewienia współlistniała z „nieprzysiadalnością” na granicy arogancji, a bezkompromisowość – z wiernością prywatnym przyjaźniom. Dopiero pamiętając zarówno o zawieszaniu między klęską a nadzieją, jak i o przedwojennych dokonaniach twórcy „Buntu Młodych”, warto czytać starannie wybrane przez Nowinowskiego listy. Giedroyc potrafi w nich proponować „porozumienie ponad podziałami”, zawiązywanie nieledwie quazi-masonerii Aleksandrowi Bocheńskiemu, jednemu z pierwszych rzeczników „realizmu” w podejściu do sytuacji pojałtańskiej, dzieląc zarazem z Józefem Czapskim i Jerzym Stempowskim ich poczucie, że Europa doświadczyła apokalipsy. Między Bocheńskim a Czapskim, z notesem w rękę, miarką wina, ceglanym miałem Warszawy i Rzymu w uszach: „Giedroyc 1946” to figura szczególnej, polskiej odmiany samotności. 



Sławomir M. Nowinowski,
„Jerzy Giedroyc w 1946 roku”,
wyd. słowo/obraz terytoria, 2018



Rasowy kryminał 🍷👍



PRL. Środek lat 80. Mroczne lata Polski przetrąconej przez Jaruzelskiego. W małym i zapomnianym mieście gdzieś na południu Polski dochodzi do brutalnego podwójnego morderstwa. Zarznięci (dosłownie) zostają: młoda prostytutka i miejscowy komunistyczny kacyk. Milicja szybko łapie mordercę. Ma nim być zazdrosny konkubent prostytutki. Nic się jednak w tej sprawie nie klei. Widzi to młody, gniewny i ideowy (jednocześnie syn komunistycznego działacza) dziennikarz Piotr (Dawid Ogrodnik), który uciekł na prowincję przed układami w Krakowie. On ma „parę”, by grzebać przy tajemniczym morderstwie. Nie chce tego robić wypalony i szykujący się do wyjazdu z Polski dziennikarz Witold (Andrzej Seweryn). Cynik z przetrąconym przez system

kregosłupem zostaje jednak wciągnięty w mroczne wydarzenia, gdy okazuje się, że sprawa może dotyczyć jego bliskich przyjaciół.

Słowo „rojst” oznacza bagno. Bagnem jest cały świat pokazany w tym intrygującym i wciągającym serialu. Serial Jana Holoubka jest w dużej mierze zbudowany ze schematów. Zgorzkniały i niedogolony dziennikarz zderza się z wersją siebie z młodości. Z ciemnych uliczek wychodzą „nieznani sprawcy”, którzy najpierw ostrzegają ofiary straszno-śmiesznym monologiem, podkreślającym, jak złymi i psychopatycznymi typkami są. „Rojst” to kino gatunkowe, więc ograne chwytły nie tylko nie przeszkadzają, lecz również nadają serialowi niezbędnego klimatu. Wyblakłe kolory, tajemniczy las i pełni goryczy bohaterowie – przypomina to skandynawskie kryminały. Twórcy jednak sprawnie podlewają wszystko peerelewskim sosem. Co ważne, robią to bez infantylnej nostalgii (tutaj nawet Peweksy są wyjątkowo tandetne) obecnej nieraz w filmach osadzanych w PRL. Scenariusz pierwszych dwóch odcinków jest wolny od wielkich logicznych dziur i naiwnych rozwiązań. Choć wiele tutaj znaczonych kart, znanych kinomanom rozwiązań, to udaje się twórcom utrzymać napięcie. Czego więcej chcieć od kryminału?

Doprawdy perwersyjna była decyzja, by obsadzić w rolach starego i młodego dziennikarza, którzy tworzą relacje mistrz-uczeń albo nawet ojciec-syn, aktorów grających ojca i syna w „Ostatniej rodzinie”. Obaj są tutaj zupełnie inni niż w historii Beksińskich. Nie stracili jednak wyjątkowej ekranowej chemii. Czy utrzymają ją do końca serii? Czy komplikujący się z każdym odcinkiem scenariusz nie wypadnie z torów? Przypadek nierównego „Paktu” i bardzo dobrej dopiero w drugim sezonie „Watahy” z konkurencyjnego HBO dowodzi, że po dwóch odcinkach trudno na to pytanie odpowiedzieć. Dają jednak produkcji wielki kredyt zaufania.

„ROJST” DOSTĘPNY OD 19 SIERPNI NA SHOWMAX.COM



DVD

W obronie czworonogów 🍷👍

Ten film to the best of Wesa Andersona, w którym wizjoner i wiecznie nieoprawny dzieciak upaja się swoim poczuciem humoru, dialogami wypowiedzianymi przez jego ukochaną aktorską (gwiazdorską!) trupę stylem. To odcinanie kuponów od jego najgenialniejszych produkcji, jak „Podwodne życie ze Stevem Zissou” czy „Kochankowie z Księżycą. Moonrise Kingdom”. Przecież „Grand Budapest Hotel” był już dowodem na to, że Anderson poza błyskotliwą zonglerką nie ma już nic do zaofierowania. I co z tego? „Wyspę psów” ogląda się świetnie.

Nie jest to film na poziomie fenomenalnego „Fantastycznego pana Lisa”, choć kolejna w dorobku poklatkowa animacja lalkowa nadal pokazuje wielką radość Andersona z robienia zaskakujących przewrotek narracyjnych. Absurdalny czarny humor, przeszywająca ironia i sarkazm walący w gębę z siłą kopniaka Bruce’a Lee, muzyka Alexandra Desplat, symetryczne kadry, narrator mądrała i dzielenie ekranu. Dystopijna bajka o przesładowanych na japońskiej wyspie psach to idealne wejście w pokreślony świat Andersona. Mnie on porywa.

„WYSPA PSÓW”, REŻ. WES ANDERSON, DYSTR. IMPERIAL CINEPIX



The best of Stephen King

To zupełnie nietypowy serial z nazwiskiem King na „liście plac”. Nie jest to opowieść oparta na jednej z jego książek, ale oryginalna historia zainspirowana elementami twórczości mistrza literatury grozy. Miasteczko Castle Rock wielokrotnie przewijało się w powieściach Kinga. Zawsze na trzecim planie. Pierwszy raz mówiono o nim w „Martwej strefie” (1979). Potem nawiązanie do miasteczka pojawiało się w tuzinie innych prac Kinga („To”, „Cujo”, „Sklepik z marzeniami”). Castle Rock to fikcyjna, mroczna i przepelniona tajemnicą miejscina gdzieś w stanie Maine.

Produkowany przez J.J. Abramsa serial rozpoczyna się od samobójstwa przechodzącego na emeryturę na-czelnika więzienia... Shawshank. Tak,

tęgo samego więzienia ze wspianego filmu opartego na Kingu – „Skazani na Shawshank” (1994). Ten serial jest pełen takich odniesień do twórczości Kinga. Jedną z bohaterów nazywa się Jackie Torrance (żeńską wersję imienia bohatera „Łśnienia”), tajemniczą postać zamkniętą w więzieniu gra Bill Skarsgård (klaun Pennywise z nowej wersji „To”), a w jednej z drugoplanowych ról pojawia się Sissy Spacek znana z arcydzieła Briana De Palmy „Carrie”, czyli ekranizacji debiutanckiej powieści Kinga.

Udostępnione przez HBO pierwsze cztery odcinki serialu produkowanego przez Hulu pokazują, że udało się dokonać czegoś, na czym polegali twórcy „Mrocznej wieży”. Słabutki film z zeszłego roku miał rozpocząć filmową

sagę opartą na eklektycznym uniwersum stworzonym przez Kinga. Artystyczna i finansowa katastrofa filmu zniweczyła te plany. „Castle Rock” gładko i błyskotliwie łączy najróżniejsze elementy świata Kinga. Czy przekłada się to na samą historię? Historia przedziwnego, ukrytego w górach i lasach miasteczka (zamknięte osobowe zło, telepatyczne zdolności bohaterów etc.) jest wtórna wobec choćby kultowego „Twin Peaks”. Twórcom udaje się jednak zbudować specyficzny klimat oparty nie na ogranych chwytach rodem z co drugiego horroru, ale graniem nastrojem. Ten serial nie przejdzie do klasyki gatunku, ale na pewno da wiele frajdy widzom. Nie tylko tym, którzy znają na wylot twórczość Stephena Kinga.

„CASTLE ROCK” DOSTĘPNY NA HBO GO

Przednia zabawa!

Gdy armia herosów walczyła z wszechwładnym Thanosem w „Avengers. Wojna bez granic”, on się... nudził. Bohater z przypadku o pospolitej twarzy Paula Rudda jest zamknięty przez FBI w areszcie domowym. Wszystko przez wydarzenia pokazane w „Kapitan Ameryka. Wojna bohaterów”. Z nadmiaru wolnego czasu uczył się kolejnych sztuczek karcianych i czytał łzawo powieści. Tuż przed końcem aresztu pojawiają się u niego jednak szalony doktor Pym (Michael Douglas) i jego córka Hope (Evangeline Lilly). Dziewczyna też paraduje w kostiumie zmniejszającym ją do wielkości osy. No i teraz

w połączeniu sił z człowiekiem muchą musi wykonać niebezpieczną misję. Po tak emocjonującym i szokującym (śmierć kilku z superbohaterów) widowisku jak ostatni film „Avengers” fani komiksów Marvela potrzebowali takiego przerywnika jak „Ant-Man i Osa”. Przeważająca, rodzinna i pełna olśniewającej akcji druga część przygód Człowieka Mrówki daje nam wszystko, co najlepsze w filmach z logo Avengers. Dystans, autoironię i poczucie przynależności do wielkiego uniwersum komiksowego, które – jak widać – wciąż nie zjadło swojego ogona. Przednia rozrywka!

„ANT-MAN I OSA”, REŻ. PEYTON REED, DYSTR. DISNEY



*Miałem zaledwie
10 dni. Byłem tak mały,
że z łatwością zmieściłbym
się w dwóch dłoniach
człowieka. Nie zapomnę
tej sceny*

Wybiegłem zza chaty za dwójką moich białoczar-nych kudłatych braci, którzy biegli na wyścigi o metr przede mną, i za moimi trzema siostrami, gdy On, kilkaset razy ode mnie większy, od razu mnie wypatrzył. Stał przed otwartą drewnianą furtką i przyglądał się nam jak zahipnotyzowany. Nasza cała rodzinka pędziła na spotkanie naszej właścicielki – staruszki, jakby od tego miało zależeć nasze życie. Ten gość widząc szalenie kochał psy, gdyż wpatrując się w nasze stadko, nie mógł się nadziwić, że coś małego, a zarazem uroczego, potrafi biec tak szybko. Nasza chlebowawczyni imieniem Helena wchodziła właśnie z naręczem chrustu do obejścia. Wysoki nieznajomy w słomkowym kapeluszu na głowie od razu zapytał:

– Mógłbym dostać jednego?!

– Którego? – odparła pytaniem na pytanie starowinka.

– Tego malucha z króciutkim ogonkiem zakręconym w supelek.

– Ach! Dobrze. Oddam go panu, ale dopiero za dwa tygodnie. On jeszcze ssie cysusia. Mam z moimi piesiami kłopot. Jak w Gniewoszowie znaleźć na nie tylu chętnych?

Dwa tygodnie minęły jak chwilka. Zanim się zorientowałem, już był z powrotem i od razu objął mnie swoimi szerokimi, męskimi dłońmi, przemawiał najśłodszymi słowami, głaskał za uszami, zaglądał mi w moje miodowe oczy, podziwiał czarną sierść i podpalane na rudo łapy, a następnie uniósł mnie delikatnie w górę, i ułożył na gumowej wycieraczce po swojej prawej stronie w aucie, który okazał się moim drugim domem.

Zaraz potem nadeszło rozstanie z moją matką, z rodzeństwem i staruszką. Widziałem ich po raz ostatni.



Kronia – moja matka – broniła mnie ze wszystkich sił. Nie wiedziałem, do czego zdolne są matki. Jak są kochane, troskliwe, skore do poświęceń. Podskakiwała w górę na metr, jak piłka, kwiliła, szczełała. Była w niej rozpacz i bezradność! Na próżno! Ten człowiek w słomkowym kapeluszu przepasanym czarną wstążką sięgnął przed odjazdem do kieszeni, wyjął dwa błyszczące przedmioty i podał je z uśmiechem babulce. Tylko tyle, a może aż tyle. Zaraz potem ruszyliśmy, a moja

kudłata matula skoczyła po raz ostatni na drzwi auta, a ja o mało nie przewróciłem się na plecy, potoczyłem się do przodu, aż dotknąłem nosem czegoś twardego. Moje serce pękało ze strachu, ale cóż – musiałem się poddać losowi.

Mój nowy pan jechał szybko, równym tempem. Mijaliśmy łąki, poletka i pola, wiejskie cmentarze, kościółki z czerwonej cegły, słupy telefoniczne... Chociaż wszystko było kolorowe, jak każdy pies widziałem wszystko w tona-

cji biało-czarnej. Kończył się wrzesień, bociany były już w Afryce, lecz ja nie zdawałem sobie z niczego sprawy. Nie miałem pojęcia, czym są pory roku, kim jest ten człowiek, co oznacza ta cała zmiana i dokąd jadę. Było ciepło, suche popołudnie, chciało mi się pić. Mój pan widać to wyczuł. Przystanęliśmy, wyjął butelkę z wodą, wyszedł z auta, otworzył drzwi od mojej strony i nalał kilkadziesiąt kropel w swoją dłoń, a następnie podsunął mi pod pysk. Powąchałem tę dłoń, a następnie wysunąłem język i napiłem się do syta. Tak po raz pierwszy w życiu poczułem dobroć mego pana. A jednocześnie zacząłem uświadamiać sobie, że jestem od niego zależny.

A potem kolejne wydarzenia przykryły poprzednie. Pogubiłem się w nich. Mój pan zabrał mnie do innego człowieka, gdzie pachniało innymi psami, odrobaczył, wykąpał, uczesał, nakarmił, a po wszystkim znów głaskał na zmianę za uszami, to po moim długim pysku i co chwila, zaglądając mi w oczy, powtarzał: „Ty jesteś Solomon, Sol! Mój pies, mój kochany, dobry, najlepszy przyjaciel”. Nie wiedziałem, dlaczego tak mnie nazwano, bo tego też nie mogłem ogarnąć moim psim rozumkiem, że Solomon Burke to był ulubiony, czarny jak ja, soulowy wokalista amerykański, którego mój pan podziwiał na dwóch koncertach, zanim się urodziłem. Było to w Berlinie i Hamburgu. Tak zaczęło się moje nowe życie przy moim panu i zarazem ta nowa ballada. Mój pan zawsze powtarza: „Życie każdej istoty jest balladą”. Pełno w niej bowiem smutku, melancholii i utrapienia, rozpacz, tęsknoty, marzeń. Niekiedy radości. Na szczęście to ona równoważy w jakiejś mierze te pierwsze. Inaczej można by oszaleć!

Zamieszkałem w moim nowym domu, który otaczały wysokie na 20 metrów modrzewie, sosny i świerki. Po lewej stronie, obok muru z jasnego piaskowca, rósł tulipanowiec. Zacząłem poznawać ogród, w którym przyszło mi spędzić moje następne siedem lat. Mój pan wypuszczał mnie na trawę, pozwalał gonić i szaleć, ile tylko zapragnąłem. Robiłem na trawę kupy i siusiałem, gdzie chciałem. Nigdy mnie za to nie karmił. Kiedy powracałem do kuchni, już czekała na mnie miska jedzenia. Da-

wał mi suche kulki z minerałami, a po południu, około piątej, porcję gotowanego mięsa z ryżem albo makaronem. Wrzucał mi do środka łyżkę gotowanej marchewki lub buraczki. Przybierałem na wadze. Gdy nieco urosłem, odwiedziliśmy ponownie weterynarza. Kazano mi wejść na metalową pokrywę od wagi. Miałem już siedem kilogramów!

Pod koniec tygodnia, w piątki, jeździliśmy do Kazimierza. Wkrótce znałem tę drogę na pamięć. To był mój pierwszy rok życia. Zamieszkałem z moim panem w Dąbrowce, w małym domku, u jakiejś rodziny. Ta kobieta miała dwóch synków, męża, i niewielkiego rudego psa. Ten kolega musiał być o mnie zazdrosny, bo pewnego ranka wyprowadził mnie w pole. Pobiegnę za nim. Kto wie, jak to by się skończyło, gdyby nie kobieta mego pana. Zauważyła moją nieobecność i odnalazła nas kilkaset metrów od domu.

Dane mi było zobaczyć, jak bardzo kochał mój pan swoją kobietę. Miała czarne, długie włosy, mały nosek, była krucha i śliczna jak kwiat. Zasypiałem w swoim wiklinowym łóżku na podłodze, a oni robili coś, czego nigdy przedtem nie widziałem. Sapali i jęczeli kilka minut, a na koniec mój pan krzyczał. Przestraszony natychmiast podbiegałem i wdrapywałem się wtedy do ich łóżka. Przygarniali mnie i pieścili jak zawsze za uszami, po nosie i po brzuchu. Była w tym czysta miłość, coś, co wyciszało ich, a mnie dodawało pewności, że z nimi nikt mnie nigdy nie skrzywdzi.

Mój pan to jest dziwna postać. Ciągłe ma coś do zrobienia. Albo pisze w swoim małym pokoju na pierwszym piętrze, albo maluje, albo sprząta mieszkanie. Wiem już doskonale, jak będzie wyglądał kolejny dzień. To nasz rytuał. Rankiem mój pan odbywa toaletę, nakłada na twarz coś białego, a potem zdejmując to białe jakimś drobiazgiem, na koniec myje twarz. Gdy leżę na balkonie, on nastawia muzykę, która gra, gra bez końca. Widać jest mu do czegoś potrzebna. Melodie są spokojne, czasem rytmiczne, ale zawsze przepojone dozą łagodności. Przyzwyczaiłem się do muzyki. I tak jak on nie umiałbym bez niej się obejść. Czasami siada na parterze przed długim przedmiotem, podnosi kłapę i uderza w biało-czarne klawisze. I znów słyszę

dźwięki melodii – zawsze romantycznej, łapiącej mnie za moje psie serce.

Mój pan ostatnimi czasy jest całkiem sam. Choć jego śliczna jak z obrazka kobieta jest dla mnie bardzo miła. Kąpie mnie raz na miesiąc, a wtedy znów jestem czesany i pieszczony. Nie wiem, dlaczego ona wpada do nas tak rzadko. Widać ma jakieś swoje problemy, bo gdyby było inaczej, mieszkalibyśmy we trójkę. Któż ich nie ma?! Mój pan mawia: „Wszystko, mój drogi, przemija. A miłość, nawet największa, zamienia się w popiół!”.

Dotarła do mego pana za pośrednictwem internetu kolejna wiadomość o skrzywdzonym psie. Oto w Argentynie, w Buenos Aires, pewna kobieta oblała wrzącym olejem Linę, która weszła na jej posesję. Suka była bezdomna i poszukiwała jedzenia dla swoich szczeniąt. Ten incydent to jeden z tysięcy, które wydarzają się niemal każdego dnia. Lina wędrowała ulicami miasta, rozpaczliwie poszukując jedzenia dla swoich dzieci. Na swoim ciele miała wiele ran i poparzeń. Głównie na głowie, plecach i oczach. Mimo ogromnego bólu nie porzuciła roli matki i nadal dzielnie opiekowała się swymi dziećmi. „To było niesamowite” – wyznała wolontariuszka opiekująca się Liną. Dzięki pomocy organizacji na rzecz zwierząt Lina odzyskała siły.

Gdy mój pan umieścił tę wiadomość na Facebooku, a następnie posłał ją za pomocą Messengera w świat, natychmiast otrzymał reakcję wielu nieznanym ludzi. Beti napisała: „Podłość ludzka nie zna granic. Wszak pies to najlepszy przyjaciel rodziny. Musiałam moją sunię uspić, gdyż miała raka kości. Płakaliśmy tygodniami”. Maria Bury: „Zrobiłabym tej szmacie to samo. Bo tylko na to ta kobieta zasłużyła. Kiedy, do cholery, tacy ludzie zostaną wylapani. Dla mnie to dno! Brzydzę się sadyzmem! Brak mi słów!”.

Mój pan jeszcze na długo przed tym wydarzeniem wymyślił takie powiedzenie i zawsze podkreśla, że są to jego prawa autorskie: „Psy to są prawdziwi ludzie. A ludzie to wściekle psy!”. Nie wiem, jak wy, ale ja potwierdzam tę myśl. Ta prawda nie jest wcale odkrywczą. Bynajmniej.

Krzysztof Logan Tomaszewski

Wojna duchowa i militarna

Ofensywie zbrojnej Polaków w 1920 r. towarzyszyła ofensywa modlitewna: błagalna i pokutna



GRZEGORZ GÓRNY

Sierpień roku 1920 był na ziemiach polskich wyjątkowy. Spoglądając z lotu ptaka, można było dostrzec dwa niezależne od siebie zjawiska. Powodowały one przemieszczanie się wielkich mas ludzkich. Jedno przypominało ruch opilków przyciąganych ze wszystkich stron przez magnes. W centrum znajdowała się Częstochowa, do której z różnych części wyzwolonej ojczyzny pielgrzymowały tysiące Polaków. Drugie zjawisko było niczym nadciągająca ze wschodu fala, która zagarniała wszystko, co napotykała na swojej drodze. To Armia Czerwona, która na sowieckich bagnach miała nieść zagiew rewolucji na zachód Europy. Pozornie między tymi dwoma ruchami nie było niczego wspólnego, a jednak łączyło je więcej, niż moglibyśmy na pierwszy rzut oka przypuszczać.

FINAŁ 15 SIERPNIA

W okresie niewoli Jasna Góra była jednym z niewielu miejsc, w których Polacy z trzech części rozkawałkowanej ojczyzny mogli się spotkać razem i poczuć jak członkowie jednej wspólnoty narodowej. Z tego powodu władze zaborcze utrudniały, jak mogły, pielgrzymowanie do Częstochowy. Zmieniło się to dopiero po odzyskaniu niepodległości.

4 listopada 1918 r. do sanktuarium Paulinów wkroczył pododdział Wojska Polskiego z 22. pułku piechoty, dowodzony przez ppor. Artura Wiśniewskiego. W imieniu gen. Tadeusza Rozwadowskiego przejął on komendanturę nad klasztorem od komendanta twierdzy jasnogórskiej kpt. Josefa Klettlingera z armii austro-węgierskiej. Żołnierze zostali uroczystie powitani przez zakonników na czele z przeorem o. Piotrem Markiewiczem. Na wieży bazyliki po raz pierwszy od ponad 100 lat załopotał biało-czerwony sztandar. Miesiąc później biskupi polscy zebrani w Warszawie postanowili, że od tej pory miejscem ich obrad będzie Jasna Góra. Nie przypuszczali zapewne, że już wkrótce częstochowskie sanktuarium stanie się miejscem kolejnej duchowej mobilizacji Polaków.

Doszło do tego latem 1920 r., w samym środku sezonu pielgrzymkowego, podczas kulminacyjnego momentu wojny z bolszewikami. Z jednej strony do Częstochowy zbliżały się z różnych stron rzesze pątników, z drugiej zaś w kierunku Warszawy nadciągały oddziały czerwonoarmistów. Finał obu marszów miał nastąpić 15 sierpnia – w święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Tego dnia na Jasnej Górze miały się odbyć centralne uroczystości maryjne i tego samego dnia marszałek Michaił Tuchaczewski planował zdobycie Warszawy.

DUCHOWA MOBILIZACJA

Kiedy świeżo odzyskana niepodległość Polski została zagrożona, Jasna

Grupa pielgrzymów ze Śląska Opolskiego przed klasztorem Ojców Paulinów na Jasnej Górze w latach 20. ub.w.



Góra była jednym z pierwszych miejsc, z których popłynęły odezwy, by bronić ojczyzny i nie wierzyć komunistycznej propagandzie, obiecującej chłopom i robotnikom wyzwolenie społeczne. W całym kraju kolportowano tysiące ulotek, w których częstochowscy paulini wzywali do odparcia wroga. Autorami odezw byli trzej zakonnicy: Piotr Markiewicz, Alfons Jędrzejewski i Aleksander Łaziński.

27 lipca 1920 r. w klasztorze jasnogórskim na Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski zebrali się biskupi pod przewodnictwem kardynałów Aleksandra Kakowskiego i Edmunda Dalbora. Ponownie wybrali Maryję Królową Polski i w obliczu śmiertelnego zagrożenia oddali kraj pod jej opiekę. 7 sierpnia zainicjowano w sanktuarium



Fot. NAC

nowennę błagalno-pokutną w intencji ocalenia Polski przed czerwonym najazdem. Jeden z pielgrzymów, którzy przybyli wówczas do Częstochowy, wspominał, że modły rozpoczęto „w Wielkim Kościele, lecz wkrótce dla wielkiego napływu ludu przeniesiono pod »szczyt« Matki Bożej. Nowenna wywierała potężne, imponujące wrażenie. W górze, przed obrazem Bogarodzicy, ojcowie paulini, krzyżem leżąc, korzyli się w prochu przed Panem Zastępów w ofierze błagalnej za lud... A u podnóża niezliczone tłumy zalegały obszerny plac przed »szczytem« i ze schylonym ku ziemi czołem, błagania gorące o ratunek dla Ojczyzny łączyły z błaganiami ojców”.

10 sierpnia 1920 r. paulini wydali odezwę zatytułowaną „Jasna Góra do

narodu”. Porównywali w niej dzieje Polski do losów biblijnego Izraela: „Naród nasz jest taką własnością Matki Bożej, jak naród żydowski ongiś należał w sposób szczególny do Boga. Nauczmy się, co w ciężkich chwilach robili synowie Izraela, byśmy i my teraz dobrze sobie poczęli”. Zakonnicy zachęcali, by wziąć przykład z Izraelitów, którzy w czasie, gdy najechały ich wojska asyryjskie pod wodzą Holofernesa, posłuchali swego kapłana Eliachima i na jego wezwanie rozpoczęli posty oraz modlitwy. „Dziś Polskę naszą kochaną wróg śmiertelny najechał – pisali paulini – dziś nowoczesny Holofernes-bolszewik na czele licznych wojsk chce spustoszyć ziemię naszą, wziąć w łup dziatki nasze, zbezczęścić niewiasty nasze, splugawić świątynie nasze, a w jasyr i podłą nie-

wolę wziąć młodzież naszą. [...] Gdzie pomoc, gdzie ratunek, gdzie zwycięstwo i ocalenie? Odpowiedzieć trzeba z kapłanem Eliachimem: »Wiedźcie! Do żelaza, do armii, do bagnatów pokutę i modlitwy dołączyć nam trzeba«”.

W swej odezwie jasnogórscy zakonnicy wzywali: „Rząd, Sejm, wojsko, miasto i wieś – na kolana przed Królową! Precz z niewiarą, indyferentyzmem, precz z pychą i zarozumiałością, która nas gubi i zgubi na pewno! Kto może, niech w pokutnej pielgrzymce dąży na Jasną Górę, niech parafie całe, z kapłanami na czele, ciągną do swej Królowej, niech Jej ślubuje cały naród wierność i miłość, niech wszyscy w koronnym holdzie u stóp Maryi klęką – a Ona przyjdzie z pomocą prędzej, niż się spodziewamy. Niech nikt nie mówi, że

nie czas po temu, że trud zbyt wielki! Pamiętajmy, że to pokuta, a pokuty bez ofiar być nie może”.

Kaznodzieje wzywali wiernych do odmawiania Różańca i pokuty, przypominając słowa Jezusa, że pewne rodzaje demonów można wyrzucić tylko modlitwą i postem.

15 sierpnia 1920 r. „Goniec Częstochowski” donosił: „Dorocznym zwyczajem na Jasną Górę śpieszą pielgrzymki z różnych stron kraju. Niestety skutkiem najazdu wroga liczba pielgrzymek będzie w tym roku ograniczona. Dowiadujemy się, że nie przybędzie pielgrzymka warszawska”. Wiadomości

Kiedy świeżo odzyskana niepodległość Polski została zagrożona, Jasna Góra była jednym z pierwszych miejsc, z których popłynęły odezwy, by bronić ojczyzny i nie wierzyć komunistycznej propagandzie, obiecującej chłopom i robotnikom wyzwolenie społeczne

AKCJA ZBROJNA I MODLITEWNA

Ludzie posłuchali odezwy i masowo przybywali na Jasną Górę. W tamtych dniach na częstochowskie sanktuarium zwrócone były oczy wielu Polaków. Naczelnik państwa Józef Piłsudski wystąpił nawet z propozycją, by siedzibę rządu i dowództwa armii przenieść do Częstochowy, jednak nie otrzymał wsparcia od ministrów. Ówczesną atmosferę oddają zapiski pozostawione w „Pamiętnikach” gen. Józefa Hallera: „Noc z 12/13 VIII spędziłem w rektoracie Politechniki Warszawskiej. Po przeczytaniu raportów wieczornych zasnąłem z modlitwą na ustach, z wiarą w pomoc Bożą i z wizją obrony Częstochowy z Jasnogórską Królową Polski, Matką Bożą, której Wniebowzięcie się zbliżało”.

13 sierpnia bolszewicy zdobyli Radzymin i kontynuowali marsz na Warszawę. Od centrum polskiej stolicy dzieliło ich zaledwie 14 km. Byli tak pewni zwycięstwa, że 15 sierpnia w okupowanym przez nich Wilnie ukazały się gazety z wiadomością o zdobyciu Warszawy. Tego jednak dnia – w święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny – wojska polskie przeszły do kontrofensywy i pokonały oddziały sowieckie. W następnych tygodniach Armia Czerwona została odepchnięta daleko na wschód.

„Gońca” okazały się nieprecyzyjne, gdyż jeszcze tego samego dnia kompania ze stolicy wkroczyła do Częstochowy.

Jak pisze Czesław Ryska w swej monografii o Warszawskiej Pielgrzymce Pieszej: „Razem z tysiącami pielgrzymów z całej Polski warszawscy pątnicy uczestniczyli w zakończeniu nowenny oraz radowali się, kiedy 16 sierpnia jasnogórski przeor Piotr Markiewicz powiadomił wszystkich o zwycięskiej obronie stolicy, o tym, że Maryja wysłuchała ich prośb. Zebranych na placu opanował ogromny entuzjazm, płakano z radości, rzucano się sobie w ramiona. Wołano: »Stał się cud!«. Szybko też zwycięstwo odniesione 15 sierpnia pod Warszawą określono »cudem nad Wisłą«, wiążąc je z orędownictwem Jasnogórskiej Królowej Polski”.

WDZIĘCZNOŚĆ PAPIEŻA

O klęsce Polaków przekonani byli niemal wszyscy pracownicy placówek dyplomatycznych akredytowani wówczas w Polsce. Gdy do Warszawy zbliżała się Armia Czerwona, stolicę opuścił cały korpus dyplomatyczny – za wyjątkiem dwóch osób: ambasadora Turcji i nuncjusza apostolskiego. Tym drugim był abp Achille Ratti, który błogosławił nawet oddziały polskie podążające na front, by walczyć z bolszewikami.

Watykański dostojnik nie miał wątpliwości, że Polska uchroniła Europę przed komunizmem.

Półtora roku później Ratti został wybrany na papieża i przyjął imię Piusa XI. W 1924 r. ustanowił nowe święto w kalendarzu kościelnym – Matki Bożej Królowej Polski. Gdy do Rzymu na spotkanie z papieżem udała się delegacja polska, by podziękować za ten gest, usłyszała od Piusa XI: „My tu mamy zawsze na biurku wizerunek Najświętszej Matki Boskiej Częstochowskiej”.

Papież polecił też umieścić akcenty polskie w kaplicy pałacu apostolskiego w Castel Gandolfo. Centralne miejsce w ołtarzu zajęła kopia obrazu Matki Bożej Jasnogórskiej pędzla paulina o. Augustyna Jędrzejczyka. Na ścianach, po obu stronach ołtarza, znalazły się natomiast freski polskiego malarza Jana Rosena, przedstawiające obronę Jasnej Góry przed Szwedami w 1655 r. z o. Augustynem Kordeckim oraz Bitwę Warszawską w 1920 r. z ks. Ignacym Skorupką.

W II Rzeczypospolitej rocznicę „Cudu nad Wisłą” obchodzono niezwyczajnie uroczysto. W 1923 r. rozkazem ministra spraw wojskowych gen. Stanisława Szeptyckiego dzień 15 sierpnia ustanowiony został Świętem Żołnierza Polskiego. W uzasadnieniu tej decyzji znalazły się następujące słowa: „W dniu tym wojsko i społeczeństwo czci chwałę oręza polskiego, której uosobieniem i wyrazem jest żołnierz. W rocznicę wiekopomnego rozgromienia nawały bolszewickiej pod Warszawą święci się pamięć poległych w walkach z wrogiem o całość i niepodległość”.

Od tamtej pory 15 sierpnia każdego roku święto kościelne łączyło się ze świętem państwowym oraz uroczystościami upamiętniającymi ocalenie kraju przed Armią Czerwoną. Szczególnie podniosłe obchody odbywały się w okresie międzywojennym na Jasnej Górze. Towarzyszyły im wówczas homilie paulińskich kaznodziejów, np. o. Piotra Markiewicza, który w 1929 r. mówił: „Nie tylko mieczem podbija się narody, ale więcej jeszcze słabością i rozkładem moralnym [...]. Nie siła materialna stanowi o potęgę narodu, ale jego zdrowie moralne, źródłem zaś tego jest religia”. To była jedna z nauk, jaką wynieśli Polacy z roku 1920.

W polskim zwycięstwie nad Sowietami w 1920 r. miał swój ważny udział gen. Władysław Sikorski. Działania dowodzonej przez niego 5. Armii doczekały się nawet uznania przeciwnika

Sikorskiego triumf nad Wkrą



ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI

12 sierpnia ostatnie oddziały resztek cofającej się armii polskiej dochodziły do pierwszej linii obronnej wokół Warszawy. Dziesiątkowane w odwrotowych bojach pułki kawalerii, wchodzące w skład straży tylnej, ciągnęły się stępem w kierunku zachodzącego gdzieś daleko za Wisłą słońca. Za nimi byli już tylko bolszewicy. Przeciskając się pomiędzy rzędami okopów, jeźdźcy robili coraz większe oczy ze zdziwienia. Rowy strzeleckie pełne były żołnierzy w czystych mundurach, błyszczących francuskich hełmach z charakterystycznym stalowym grzebieniem wzdłuż głowy. Na stanowiskach pachniały oliwą i smarem nowiutkie rkm-y Lewis. Jechali dalej w stronę mostów, dowództwo bowiem nie przewidziało dla nich miejsca w szyku obronnym

na wschodnich przedpolach stolicy. Tam miała się bronić tylko piechota w transzejach. Zmordowana kolejnym dniem cofania się jazda powoli zbliżała się do ostatniego postoju. Zajeżdżając trójkami na mokotowskie błonia, nie wiedzieli jeszcze, że od teraz będzie już tylko lepiej.

Podwójna linia obrony Warszawy od strony wschodniej wyglądała solidnie. Była dziełem ministra spraw wojskowych gen. Kazimierza Sosnkowskiego. Wyciągnięta na północ od Karczewa swoim kształtem przypominała półkole. Bezpośrednio przed miastem obsadzała ją 1. Armia. Dalej na północ nieprzyjacielowi opierał się trójkąt umocnień Modlin–Zegrze–Warszawa. Tam z kolei ściągały i reorganizowały się pobite w walkach odwrotowych oddziały polskie. Dodatkowo Warszawę otaczała zapora ogniowa, czyli 36 nowo sformowanych baterii polowych, 24 ciężkie, 10 baterii konnych, trzy górskie i prawie 200 armat uzupełniających wraz z 1 tys. karabinów maszynowych. Siły polskie na odcinku warszawskim równoważyły nacierających Rosjan, a nawet może przewyższały ich nie tyle liczebnością, ile jakością uzbrojenia.

13 sierpnia od Karczewa po Modlin rozległ się dziki ryk ruszających do ataku bolszewików: „Dajosz Warszawu! Urraaa!!!”. Zajazgotały ckm-y, huknęły działa, a pojedynczy ogień żołnierskich mauserów, manlicherów i mosinów złął się w jeden potężny grzmot. Główne natarcie skoncentrowało się na miejscowości Radzymin. W ciągu dwóch dni ataków kilkakrotnie przechodził z rąk do rąk. Naczelny Wódz wraz ze sztabem zaczęli się obawiać, że obrona pęknie. Już podczas pierwszego dnia nawały nakazali przyspieszenie wymarszu grupy uderzeniowej koncentrującej się nad Wieprzem w okolicach Dębina. To oni mieli uderzyć w odsłoniętą południową flankę Sowietów, przecinając nacierającym linie komunikacyjne i wychodząc na ich tyły. Żołnierze grupy uderzeniowej Naczelnego Wodza dosłownie wyskakiwali z jadących jeszcze pociągów i formowali kolumny. Udało się dokonać koncentracji dość wcześniej.

By odciążyć krwawiące pod Warszawą dywizje, Naczelny Wódz nakazuje jeszcze 14 sierpnia dowódcemu frontem północnym gen. Józefowi Hallerowi uruchomienie lewego skrzydła polskiego ugrupowania. Ale i tam

sytuacja była daleka od ideału. 5. Armia gen. Władysława Sikorskiego rozciągała się wzdłuż wschodniego brzegu rzeki Wkry w stronę północnego zachodu. Tworzyły ją: Ochotnicza Brygada Syberyjska składająca się z 25 proc. weteranów zdemobilizowanej Błękitnej Armii gen. Hallera, którzy wrócili do szeregów, by bronić niepodległości, i 75 proc. głównie młodzieży gimnazjalnej, harcerskiej (z Łodzi przybyły w komplecie dwie klasy gimnazjum męskiego wraz ze swoim kapelanem) po dwutygodniowym przeszkoleniu. Jej oddziały nie były zgrane, dowódcy nie znali większości podwładnych, podobnie jak w pozostałych dywizjach ochotniczych – 17. i 18. Wspierały je dodatkowo Brygada XVIII i VI Jazdy gen. Aleksandra Karnickiego.

Siły te (22 tys. piechoty i 3,8 tys. kawalerii) miały uderzyć na całą, silniejszą sowiecką 15. Armię dowodzoną przez Augusta Iwanowicza Korka (68 tys. piechoty i 6,5 tys. kawalerii). Polska pozycja na rubieży Wkry miała jedną zaletę. Flankowała od północy sowieckie natarcie na Warszawę, zagrażając (patrzac na mapę z lotu ptaka) nieprzyjacielskiemu centrum „od góry”. Jednak jej wysunięte daleko, aż prawie pod Raciąż, lewe skrzydło dosłownie wisiało w powietrzu, a od północy obchodziły je 4. Armia i 3. Korpus Kawalerii (Kawkor) zwany również Złotą Ordą Gaj-Chana od nazwiska swego dowódcy. Jego podjazdy dotarły już nawet na Pomorze, a główne siły jednostki pchały się na Włocławek, by tam wzorem marszałka polnego Iwana Fiodorowicza Paskiewicza z 1831 r. opanować przeprawę na Wiśle i zdobyć Warszawę obejmieciem od zachodu. „Okrążając uważaj, by samemu nie zostać okrążonym” – głosi stara maksyma strategów. I tak działo się na polskim północnym skrzydle.

Ochotnicy z 5. Armii gen. Sikorskiego uderzyli z impetem pod Borkowem. Przekroczyli Wkrę i zaczęli spychać zaskoczonych Sowieców na wschód. W szeregach panował bojowy nastrój. Kiedy po 14-godzinym marszu wkroczył do boju 1. Syberyjski Pułk Piechoty mjr. Franciszka Dindorfa-Ankowicza, ochotnicy ze stojącego w odwodzie 3. batalionu powitali swojego dowódcę gwizdami i okrzykami: „My chcemy się

bić!”. To 10. kompania, złożona w większości z uczniów VIII klasy gimnazjalnej, żądała wysłania na pierwszą linię, w ślad za VII klasą, która poszła do kontrataku. Sowieci, którzy otrząsnęli się z pierwszego zaskoczenia, zaczęli stawiać twardy opór, przechodząc do przeciwnatarcia.

Na drugim brzegu Wkry, pod wsią Ciekryn, przeciwnik złamał obronę 1. batalionu mjr. Jana Czapli. Baon dwukrotnie kontratakował, odzyskiwał wzgórze i dwukrotnie był z niego wypierany. Trzeci kontratak, wsparty odwodową 10. kompanią, doszedł niemal do zabudowań wioski. Tutaj mjr Czapla poległ, gdy z karabinem w rękę prowadził ochotników do szturm na bagnety (pośmiertnie *Virtuti Militari*). Polegli wszyscy dowódcy kompanii, a mniej doświadczeni żołnierze, którzy jeszcze niedawno „chcieli się bić”, załamali się i grupkami zaczęli spływać na zachodni brzeg Wkry. W nocy budzi gen. Sikorskiego szef sztabu 5. Armii: „Większość dowódców, panie generale, zgłosiła do mnie wnioski, aby natychmiast zaprzestać bezcelowej ich zdaniem, a powodującej zbyt wielkie straty akcji przeciwdzierżeniowej. Proponują dalszy odwrót. Była godzina 2 w nocy. Snuły się jakieś cienie. Snuła się mgła na polach. Huk armat dochodził z pozycji. »Odwrót? ... Dokąd?«. Sikorski otrząsnął się z sennych widziadeł. »Natychmiast nadać telefonogram, wzywający wszystkich podległych dowódców do bezwzględnego wykonania poruczonego im zadania. O świcie rozpoczynamy ponowne uderzenie!«”.

Po uporządkowaniu wykrwawionych oddziałów, 15 sierpnia o godz. 13.00 pod wsią Joniec 1. batalion 2. Syberyjskiego Pułku Piechoty sforsował Wkrę i wspierany ogniem sześciu dział ruszył naprzód. Krwawym bojem odzyskano przeprawę i teraz polskie oddziały szły w kierunku Nasielska, pędząc przed sobą przeciwnika. 22. Pułk Piechoty i przybyły z Twierdzy Modlin 68. Pułk Piechoty Wojska Polskiego 16. sierpnia wypierają przy stracie 100 poległych 11. Dywizję Strzelców RKKA (Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej) i wśród entuzjazmu mieszkańców wyzwalają Nasielsk. Błef Sikorskiego zdawał się przynosić efekty, ale ruch do

przodu nieuchronnie odsłaniał jego tyły buszującym na północnym-wschodzie Sowiecom.

Tego dnia na południu ruszyła na Rosjan znad Wieprza, niczym grom z jasnego nieba, grupa uderzeniowa Naczelnego Wodza. Zmiotła po drodze 57. Dywizję, rozbila w proch i pył osłonową Grupę Mozyrską dowodzoną przez pracownika fryzjerskiego Chwiesina, trafiając w bok sowiecką 16. Armię atakującą stolicę. Przecięto linie komunikacji. Natarcie komfronta Michaiła Iwanowicza Tuchaczewskiego zaczęło się sypać. „I oto w oczach Tuchaczewskiego zamajaczył plan uratowania jeszcze w ostatniej chwili zwycięskiego pochodu rewolucji światowej: ściągnąć w kułak 4. Armię, odwrócić konnicę Gaj-Chana z zachodu na wschód i uderzyć tym kułakiem w tyły 5-tej armii polskiej: na Płońsk – Warszawę! [...] Płońsk przyciąga wzrok na mapie. Płońsk staje się magicznym punktem, węzłowym punktem wymarzonej operacji”.

Pułk kawalerii, w którym jako 17-letni ułan służył wybitny pisarz i stylist Józef Mackiewicz, odpoczywał na mokotowskich błoniach po drugiej stronie Wisły. „Nie, nie było tak źle. [...] A jednak otrzymali wszystko jak z igły: nowiutkie bluzy i płaszcze angielskie, furażerki z kitami, spodnie francuskie błękitne z czerwonym kaniem, pasy, patronasze, koce amerykańskie i świetnie ujeżdżone konie, mówiono, że też z demobilu kawalerii amerykańskiej. Ruczetta znalazł osobiście wachmistrza z 3-go pułku ułanów Czesława Karwowskiego, przydzielonego do misji, która jeździła po te konie do Paryża. Booooo! Co opowiadał, dziwek tam! Ot, życie”. Ułani przewiesili przez ramię nowiutkie karabiny, a co pozostało im znad Berezyny, to tylko własne szable. Ruszyli defiladą przez Nowy Świat w stronę Sochaczewa. Żegnały ich tłumy mieszkańców. Były kwiaty, cukierki – jak na obrazku. Co tylko jednak zaczęli śpiewać piosenkę, to ich dowódca por. Kluczkowski dostawał szału i zawracając koniem, krzyczał „Wróć!, Odstawić!!! Śpiewać przyzwoite piosenki”.

Ale przyzwyczajonych piosenek śpiewała nikomu się nie chciało. A więc przez Krakowskie Przedmieście przeszli tylko z gęstym stukotem kopyt. Jechali

objazdem, wzdłuż lewego brzegu Wisły. Spali w Sochaczewie, by następnego dnia o świcie przejechać drewniany most w Wyszogrodzie i wyjść na tyły 5. Armii, za Płońsk pod Sarnową Górę, gdzie ciągnie się linia kolejowa Ciechanów–Nasielsk.

Misterny plan komfronta Tuchaczewskiego powstały w sztabie w Mińsku, by się powiódł, należało szybko wprowadzić w życie. Sztab 4. Armii RKKA mieścił się ponad 500 km dalej na wschód – w Ciechanowie. Znajdowała się tam radiostacja odbierająca meldunki z Mińska. Drugie radio tego sowieckiego związku taktycznego akurat przemieszczało się i nie pracowało. „Moralność świata – zażartował, kończąc debatę [w mińskim sztabie] komfront Tuchaczewski – zależy w tej chwili od dobrej kawalerii. [...] Może już w następnej wojnie moralność świata zależeć będzie od ilości benzyny. W tej chwili od kawalerii”. 15 sierpnia kaliski 203. pułk z VI Brygady Jazdy gen. Karnickiego ułanów zagonem wpadł do Ciechanowa. „»Ratować się! Kawaleria!!!« – darł się histeryczny głos za oknem. Bo człowiek niczego tak bardzo nie boi się na wojnie, jak drugiego człowieka, który go raptem zaskakuje”. Dowódca 4. Armii komandarm Aleksandr Dimitrijewicz Szuwajew wraz ze swoim szefem sztabu wyskakując oknem i zatrzymując się dopiero w Wilnie. Resztę – kancelistów, taborytów – ścinają ułańskie szable. Radiostacja ulega zniszczeniu.

W tym czasie polskie służby nasłuchowe przechwytują meldunek Tuchaczewskiego z Mińska nakazujący koncentrację i atak na tyły Sikorskiego 4. Armii oraz Złotej Ordy Gaj-Chana pod Płońskiem. Sowieckie szyfry zostały złamane przez por. Jana Kowalewskiego już we wrześniu 1919 r. Teraz tylko czekają, aż druga radiostacja 4. Armii zostanie uruchomiona, by wejść na jej częstotliwość i zakłócić działanie. Przez dwa dni sowieccy radiotelegrafici, zamiast słuchać głosu komfronta z Mińska, odbierali w słuchawkach wersesty Pisma Świętego.

Łączność pomiędzy sztabem w Mińsku, Szuwajewem i Gaj-Chanem zo-

stała definitywnie zerwana. W szeregi RKKA wkradł się chaos. Sikorski nadal gnał przed sobą Sowieców z odsłoniętym tyłem, a mający za nic Szuwajewa i jego zdolności wojskowe Gaj-Chan, zamiast zdobyć Płock i iść natychmiast pod Płońsk, rozważał ze swoim zastępcą tow. Wilmusonem: „On [Szuwajew] nigdy nie da rady. A zresztą po jaką cholerę nam brać Płock?”.

Polski atak na lewym skrzydle zdeorganizował działania poszczególnych jednostek 4. Armii Szuwajewa. Ale jej jeszcze liczne nierozbite oddziały pozostawione na tyłach atakującego

Ochotnicy z 5. Armii gen. Sikorskiego uderzyli z impetem pod Borkowem. Przekroczyli Wkrę i zaczęli spychać zaskoczonych Sowieców na wschód. W szeregach panował bojowy nastrój

Sikorskiego nie potrzebowały rozkazu z góry, by spróbować uderzyć na tyły Polaków chociażby po to, aby wydostać się spod okrążenia. Najpierw wycofujące się na wschód pododdziały 18. i 53. Dywizji Strzelców zagroziły Płońskowi. 17 sierpnia w drugim dniu walki broniący Płońska 201. Pułk Szwoleżerów naciskany z trzech stron zdaje się ulegać bolszewickiej przewadze. W ostatniej chwili z odsieczą rusza sąsiedni, doborowy 1. Pułk Szwoleżerów mjr. Jerzego Grobickiego, wbrew uwagom francuskiego majora de Mazarat, przydzielonego do regimentu w roli doradcy-obserywatora. Brawurą szarżą 450 koni rozbija pod Arcelinem Sowieców. Do niewoli dostało się 1,6 tys. jeńców, zdobyto 63 karabiny maszynowe i cztery działa przy stracie 25 zabitych i rannych, w tym trzech oficerów.

Równolegle pod Sarnową Górą koło Ciechanowa przez cztery dni Sowieci próbowali okrążyć Polaków, by samemu

nie zostać okrążonym. Tam pozycję ryglowała jednak zorganizowana ad hoc grupa operacyjna gen. jazdy Franciszka Krajowskiego, z pochodzenia Czecha. To właśnie do niej dołączył przebrzony na Mokotowie pułk, w którym służył Józef Mackiewicz. Pomiędzy 15 a 19 sierpnia rozegrała się tam jedna z najkrwawszych bitew tej wojny. Po odparciu wszystkich falowych ataków polska strona zwyciężyła, a 5. Armia Sikorskiego mogła nacierać dalej, spychając Rosjan do Prus Wschodnich, gdzie zostali internowani, resztę biorąc do niewoli.

Działania 5. Armii gen. Sikorskiego doczekały się uznania przeciwnika. Komfront Tuchaczewski napisał po latach: „5. Armia przeciwnika była uratowana i zupełnie bezkarnie, mając na flance i tyłach naszą potężną armię, nacierała dalej na nasze armie: III i XV. Takie położenie wprost potworne i nie do pomyślenia, pomogło Polakom nie tylko zatrzymać ofensywę Armii III i XV, ale jeszcze krok za krokiem wypierać ich oddziały w kierunku wschodnim”.

Ułani Mackiewiczza, tak jak szybko uciekali do tej pory przed wrogiem, tak teraz go równie szybko gonili. Przysypiali w siodłach, kiedy „nagle przed nimi koń dowódcy szwadronu uskokzył w bok (jeździec ledwo utrzymał się w siodle, a ściągnięty munsztukiem koń stanął dęba!). W niewiarygodnej pozycji, wpłątany jakoś w korzenie wykrotu, sterczał w pół stojąc, trup człowieka o prawie całkowicie odrąbanej głowie; trzymała się jeszcze na skórze, ale wsparta twarzą na prawym ramieniu, i stamtąd patrzyła upiornym, zastygłym, zielonym wzrokiem... Bokiem, jakby się lepiej chciała przyjrzeć jadącym. »Tfu! Ty czort!« – splunął Kluczkowski, opanowując i spinając swego konia. Może ktoś pierwszy powiedział głośno, że to potrafił nikt inny, tylko wachmistrz Pietkiewicz. [...] Powtarzało się w regularnych odstępach: »Patrz, jak ściał...«. »Pietkiewicz«. »Spójrz, jak zrąbał...«. »Pietkiewicz«. »Pietkiewicz, Pietkiewicz«”.

Wszystkie cytaty pochodzą z dzieła Józefa Mackiewiczza „Lewa wolna”

Politycznej zemsty nie przewiduję

Sąd Najwyższy wpisuje się w podejście kwestionujące legitymację Trybunału Konstytucyjnego

Z Leszkiem Mazurem, przewodniczącym Krajowej Rady Sądownictwa, rozmawia Wojciech Biedroń

KRS nie zastosuje się do orzeczenia Sądu Najwyższego. Dlaczego stoją państwo na tym stanowisku, mimo że przedstawiciele SN wzywają was do wstrzymania się z wszelkimi działaniami dotyczącymi wyboru kandydatów do SN, w kontekście sędziów, którzy ukończyli 65. rok życia?

Leszek Mazur: Nasze stanowisko jest przedstawiane i oceniane przez niektóre media jako atak na Sąd Najwyższy. Tymczasem o żadnym ataku nie może być mowy. Odpowiedź kryje się w naszym uzasadnieniu. KRS nie może się zastosować do postanowienia zakazującego przekazanie opinii rady do Kancelarii Prezydenta, gdyż taka opinia została już przesłana 13 lipca, czyli następnego dnia po wyrażeniu tej opinii w formie uchwały. Obiektywnie nie jest więc możliwe zastosowanie się do tego „zakazu”. Trudno bowiem wstrzymać coś, co jest już zrealizowane. Czy mamy prosić Kancelarię Prezydenta o zwrot uprzednio przesłanej opinii, by jej następnie nie przekazywać kancelarii i w ten sposób próbować sprostać oczekiwaniu SN wyrażonemu w postanowieniu o zabezpieczeniu wydanym ponad dwa tygodnie po przesłaniu opinii?

SN nie zdawał sobie sprawy z tego, że przekazaliście opinię o trzech sędziach, którzy ukończyli 65. rok życia, do Kancelarii Prezydenta?

Moim zdaniem Sąd Najwyższy popełnił błąd polegający na tym, że za-

stosował zabezpieczenia, nie sprawdzając, jaki jest realny stan rzeczy, a to nie przekraczało jego możliwości. Z punktu widzenia KRS zabezpieczenie jest niewykonalne. Za taką oceną przemawia zarówno logika, jak i zdrowy rozsądek. Ponieważ w tym kontekście pojawiają się bardzo różne oceny, także ze strony rzecznika SN, to oczekiwalibyśmy konkretnych propozycji, co mamy zrobić z tak ustanowionym zabezpieczeniem.

I nikt nie zadał sobie trudu, by wystąpić do was z korespondencją w tej sprawie?

Nikt. Gdyby było inaczej, wiedziałbym o tym. Co więcej, wydaje mi się, że Sąd Najwyższy nieco obchodzi prawo. Odwołania do SN powinny być kierowane za pośrednictwem przewodniczącego KRS. Ja dotąd żadnej decyzji nie podjąłem. Pojawiła się pewna nieścisłość, wynikająca ze stwierdzenia naszego rzecznika, który poinformował, że powiadomiłem radę, iż nie nadam biegu tym odwołaniom. Zostały sprawdzone protokoły Prezydium Krajowej Rady Sądownictwa oraz dwie moje wypowiedzi. Mówiłem, że wydział prawny otrzymał moje polecenia oraz prezydium, by uzupełnić opinię prawną poprzez rozważenie różnych możliwości. Żadna finalna decyzja nie została jednak podjęta. Zapowiedź, że nie prześlę odwołań, jest całkowicie niemiarodajna. W odwołaniach, które zostały przez sędziów skierowane do

Izby Pracy i Ubezpieczeń Społecznych, znajdują się informacje prasowe, nie zaś udokumentowany stan faktyczny oparty na zapisach w wyżej wymienionych dokumentach.

Wszystkie opinie dotyczące sędziów SN, którzy ukończyli 65. rok życia, zostały więc przesłane z KRS do Kancelarii Prezydenta?

Tak. To jest jedna uchwała opiniująca wszystkie te osoby.

Tymczasem SN domaga się zamrożenia wszelkich działań dotyczących opinii tych sędziów, do czasu aż Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej nie rozpatrzy pytań prejudycjalnych. Czy prezydent powinien wstrzymać tę procedurę?

Nie chciałbym recenzować wypowiedzi przedstawicieli SN, ale pan prezydent na podjęcie stosownych decyzji ma określony ustawowo termin, który upływa 19 września. Nie wiem więc, jak prezydent miałby dopasować swoją decyzję z jednej strony do oczekiwania ustawodawcy, a z drugiej – do orzeczenia Sądu Najwyższego. To rzeczywiście dylemat pana prezydenta. Musi wybrać: albo wierność ustawie, albo jakąś uległość wobec Sądu Najwyższego.

Tymczasem SN poszedł dalej. „Zawiesił” obowiązywanie trzech przepisów ustawy o Sądzie Najwyższym. Czy w polskim prawie istnieje podobna instytucja?

Nie, a w każdym razie nikt nigdy jej nie zastosował. Chodzi mi tu o zawieszenie obowiązywania przepisów jako cywilny środek zabezpieczający, bo czym innym jest generalne zawieszenie porządku prawnego w ramach jakiegoś stanu nadzwyczajnego. Z tym mieliśmy już kiedyś do czynienia, np. w stanie wojennym. Słyszałem wypowiedź rzecznika SN, który próbował pomniejszyć tę kwestię w ten sposób, że chodzi o „zaledwie trzy przepisy”. Zauważyłem, że są ustawy składające się z kilku przepisów, a nawet tylko z jednego przepisu, więc w istocie chodzi tu o zawieszenie całej ustawy. Jeżeli jednak można zawiesić jedną ustawę, to można zawiesić dwie, trzy itd.

Tu chodzi o zasadę, a stworzenie takiego precedensu jest niesłychanie niebezpieczne. Nakładają się tu dwa porządki prawne: krajowy i zagraniczny. Wydaje mi się, że takiej podstawy można by poszukiwać w prawie europejskim, ale w prawie polskim taka podstawa nie istnieje.

SN skorzystał z zapisu art. 755 Kodeksu postępowania cywilnego. To dość osobliwa interpretacja tego przepisu.

Nigdy nie widziałem takiego zabezpieczenia ani o nim nie słyszałem, to znaczy, by sąd zawieszał stosowanie przepisów ustawy. Podkreślam, że jest to przepis zawarty w Kodeksie postępowania cywilnego obowiązującym od roku 1964. Jeżeli przyjąć, że do wszystkich sądów w kraju trafia kilka milionów spraw, a wydaje się kilkadziesiąt tysięcy postanowień o zabezpieczeniu, to jeśli przemnożymy to przez kilkadziesiąt lat, proszę sobie wyobrazić, z jaką liczbą sytuacji, w których ten przepis był stosowany lub mógłby być stosowany, mamy do czynienia. Dotychczas jednak nikt nie użył tego przepisu w sposób, o którym rozmawiamy. Ta twórczość Sądu Najwyższego musi budzić wątpliwości z dwóch powodów. Po pierwsze, to sprawa dotycząca wieku emerytalnego sędziów tego sądu, a po drugie – SN ze względu na swoją pozycję i autorytet orzeczniczy nadaje ton praktyce stosowania prawa.

Tymczasem okazuje się, że w siedmioosobowym składzie orzekającym w SN niemal wszyscy sędziowie zbliżają się do wieku emerytalnego, a dwóch z nich go przekroczyło.

Z ciekawości sprawdziłem, jak dalece można liczyć na obiektywizm, którego trudno oczekiwać w wymiarze bezwzględnym, dlatego że każdy ze składów, jakkolwiek go dobierać, kiedyś granicę wieku emerytalnego będzie przechodził. Im bliżej tej granicy, tym ta wiarygodność może być bardziej kwestionowana. Sędziowie mają: 55 lat, dwoje ma 59 lat, dwoje 61, jeden 65 lat, a kolejny 68 lat.

Czy sędziowie orzekali więc we własnej sprawie?



Takie wrażenie jest rzeczywiście nieodparte. Sprawa jakiegoś obywatela, stron, które stanęły przed Sądem Najwyższym, została wykorzystana, a w każdym razie znalazła się na dalekim planie. Obywatel będzie musiał poczekać na rozstrzygnięcie pytań prejudycjalnych.

Ale to oznacza przedmiotowe podejście do stron dla celów, które ze sprawą nie mają nic wspólnego?

Trudno mi to dzisiaj przesądzić. Tak się zdarza i w innych sprawach, bez takich dodatkowych komplikacji czy obciążeń. O ile można postawić pytania prejudycjalne, które zresztą są obszernie uzasadnione, o tyle jednak wiadać tu szczególnie zainteresowanie SN, by osądzić swoją sprawę. W sprawie opinii, o których mówiłem, sędziowie złożyli swoje odwołania do Sądu

Najwyższego z pominięciem Krajowej Rady Sądownictwa – i to do Izby Pracy i Ubezpieczeń Społecznych, a nie do Izby Dyscyplinarnej, jak przewiduje to ustawa. Sędziowie próbują więc podyktować tryb składania odwołań i sami wskazują, która izba ma je rozpoznać. Tu chciałbym zamknąć wątek wątpliwości dotyczący pozycji ustrojowej Sądu Najwyższego i jego wpływu na praktykę, ograniczając się tylko do kwestii zabezpieczenia. Co, jeśli sądy niższych instancji zaczną się odwoływać do wymyślnego przez SN zabezpieczenia w postaci zawieszenia mocy obowiązujących przepisów? Na razie takie rozważania słyszałem tylko w wypowiedziach publicystycznych o zabarwieniu satyrycznym, ale może być tylko kwestią czasu sięgnięcie po to rozwiązanie przez sędziów, a niektórzy wypowiadają się o nim

z aprobatą. Inni mogą chcieć się tylko popisać.

A czy SN nie mógł zadać pytania Trybunałowi Konstytucyjnemu w kwestiach, które budzą wątpliwości sędziów?

Oczywiście, że mógł. Sąd Najwyższy wpisuje się jednak w podejście kwestionujące legitymację Trybunału Konstytucyjnego w ogóle. To szeroki nurt, do którego przyłączają się instytucje i osoby fizyczne. Jeżeli dochodzi do tak zaskakującego ruchu – gdyż był on zaskakujący zarówno dla tych, którzy się z nim nie zgadzają, jak i dla tych, którzy przekonują, iż był on „genialny” oraz „nowatorski” – to wszystko możemy sobie wyobrazić. Nie dziwi więc to, że idąc tą utartą ścieżką, wraca się do kwestionowania legitymacji TK czy ponownie podnosi się jakieś argumenty o „złym obsadzeniu” lub o sędziach „dublerach”.

A nie obawia się pan dualizmu prawnego? Sytuacji, w której mamy do czynienia z dwoma środkami prawnymi? Przecież przeciwnicy reformy wymiaru sprawiedliwości dążą do tego od bardzo dawna.

Wydaje mi się, że to wszystko rzeczywiście wpisuje się w logikę pewnego konfliktu, ale taki dualizm prawny nie jest na dłuższą metę możliwy, ponieważ jest sprzeczny z istotą prawa i jego naturą jako narzędzia sprawowania władzy w państwie. Coś, co jest sprzeczne z naturą, nie trwa zbyt długo. W którymś momencie nastąpi przesilenie. Suweren, jeśli chce nim pozostać, musi eliminować zjawiska godzące w podstawy funkcjonowania państwa.

Tymczasem prof. Małgorzata Gersdorf przekonuje wszystkich, że pozostaje I prezesem Sądu Najwyższego do roku 2020.

KRS pozostaje na stanowisku, że pomijając całą złożoność prawną podnoszoną przez obie strony konfliktu, dla nas miarodajne jest zawiadomienie, jakie wystosował prezydent do pani prezes Gersdorf, a z którego wynika,

że przeszła ona w stan spoczynku. My również otrzymaliśmy pismo wyrażające to stanowisko. Dla nas pani prof. Małgorzata Gersdorf jest byłym I prezesem SN.

Środowiska związane ze stowarzyszeniami sędziowskimi atakowały was, że liczba kandydatów na sędziów SN jest niewystarczająca do jego obsadzenia.

Mamy do czynienia z sytuacją optymalną. Rozważane były bowiem dwie skrajne opcje. Słyszeliśmy takie wypowiedzi przedstawicieli środowisk prawniczych, że dojdzie do bojkotu. Inna koncepcja mówiła, że dojdzie do zalania nas wnioskami, których nie będziemy w stanie rozpatrzyć.

Suweren, jeśli chce nim pozostać, musi eliminować zjawiska godzące w podstawy funkcjonowania państwa

Tak się jednak nie stało.

Pojawiło się ok. 200 kandydatów, co oznacza, że na jedno miejsce przypada niemal pięciu. To sporo.

Pojawiał się zarzut, że minister Ziobro zależe Sąd Najwyższy „swoimi prokuratorami”. Tych jednak jest niewielu. Kiedy zakończycie procedurę?

Opracowujemy wnioski, otrzymujemy opinie i dokumentację obrazującą dorobek kandydatów. Przewidujemy rozmowę z każdym z kandydatów i rozpoczynamy je w tym tygodniu. Zajmą kilka dni. Następnie dojdzie do posiedzenia rady, na którym zespoły przedstawia kandydatury. Odbędzie się to na początku września. Liczba kandydujących prokuratorów nie odbiega od kandydatów z innych środowisk prawniczych.

Jesteście poddawani atakowi przez stowarzyszenia sędziowskie „Justi-

tia” i „Themi”. Już mówi się o was, że jesteście „dublerami”.

Aktywność tych środowisk odzwierciedla przekonania ich członków. Największą aktywność tych stowarzyszeń widzę jednak w mediach. Natomiast spotykając się z sędziami, którzy są członkami tych stowarzyszeń, wrogości nie widzę. Mam wątpliwość, czy ten atak jest w pełni miarodajny, jeśli chodzi o ocenę nastroju środowiska sędziowskiego. Myślę, że chodzi tu o dość hałaśliwą aktywność mniejszości. Natomiast nastroje milczącej większości nie są aż tak radykalne.

A jak pan się czuł, gdy były rzecznik KRS stwierdził, że sędziowie, którzy zasiadą w Izbie Dyscyplinarnej, będą mieli ręce unurzane we krwi? Pytam pana nie tylko jako sędziego, lecz także jako człowieka.

Pan sędzia Waldemar Żurek zatracił się w tej walce, którą prowadzi. Ta retoryka, którą stosuje, jest nieadekwatna do sytuacji, jaka istnieje. Nic nie usprawiedliwia używania takich sformułowań. Jeżeli porównać je np. z wypowiedziami poprzedniego przewodniczącego KRS pana sędziego Dariusza Zawistowskiego, to mimo że czasem były nieścisłe, nie wykraczały poza pewne przyjęte ramy i były merytoryczne. Sądzę, iż sędzia Żurek powinien się pogodzić z tym, że nie jest już rzecznikiem ani sądów krakowskich, ani KRS, i w związku z tym zamilknąć, gdyż jego wypowiedzi szkodzą zarówno sądownictwu, jak i jemu samemu.

A nie boi się pan, że ktoś pozbawi pana kiedyś emerytury?

Nie mam takich obaw. Działam w granicach prawa i zgodnie z zasadami. Politycznej zemsty nie przewiduję. Ale jestem w stanie sobie wyobrazić, że rozpalanie tego konfliktu w taki sposób, jak robi to sędzia Żurek, może doprowadzić do sytuacji, w której przyjęte wobec sądownictwa rozwiązania będą dalece niekorzystne. Mam wrażenie, że suweren przygląda się tej całej sytuacji z rosnącym zniecierpliwieniem. A to przecież on ostatecznie podyktuje warunki naszej pracy i płacy. 



Viktor Orbán w krainie niedźwiedzi

Wakacyjny uniwersytet Tusványos i obóz młodzieżowy stały się ważnym miejscem na politycznej mapie Europy Środkowej. To właśnie tu premier Węgier Viktor Orbán wygłasza swoje programowe orędzie



KAMILA HEDVIG GÓRNY

Niecałe 30 lat temu młodzi działacze Fideszu zorganizowali pierwsze spotkanie łączące świat polityki ze światem ludowych tradycji. Nikt z nich zapewne nie przypuszczał wtedy, że po trzech dekadach wydarzenie ściągnie ponad 70 tys. uczestników oraz uwagę dziennikarzy z całego świata. Co roku Viktor Orbán wybiera właśnie to miejsce, by wygłosić programowe przemówienie, komentowane później w wielu stolicach.

Tusványos. Tak nazywany jest w skrócie Otwarty Uniwersytet Letni i Obóz Młodzieżowy z Bálványos, który odbywa się każdego lata w Tusnádfürdő (Băile Tușnad). Pierwsza jego edycja miała swą odsłonę w 1990 r. na namioto-

wisku Bálványosfürdő nad Jeziorem św. Anny i zgromadziła zaledwie 50 uczestników. Po siedmiu latach okazało się, że miejsce jest za małe dla rosnącej wciąż liczby przyjezdnych. Imprezę przeniesiono więc do pobliskiego miasteczka Tusnádfürdő. Wówczas też połączono dwie nazwy geograficzne – Bálványos i Tusnád – i tak powstała nowa nazwa letniego uniwersytetu: Tusványos.

Żeby zrozumieć specyfikę tego miejsca, należy się przenieść w czasie dokładnie 29 lat wstecz, do początków obozu. I przyjrzeć się uważnie mapie. Najważniejsze wakacyjne wydarzenie w węgierskiej polityce odbywa się bowiem poza Węgrami.

WĘGRZY Z RUMUNAMI

Miejscowości, o których mowa, położone są w Ziemi Seklerskiej (Székelyföld) na terytorium dzisiejszej Rumunii. To tereny Siedmiogrodu (po rumuńsku Transylwania) należące przez niemal tysiąc lat do Węgier. W roku 1920, na mocy traktatu w Tria-

non, kraina ta wraz z 1,5 mln Madziarów została przyznana Rumunii. Po II wojnie światowej władzę w Bukareszcie przejęli komuniści, a węgierska mniejszość była mocno prześladowana, zwłaszcza za dyktatury Nicolae Ceaușescu. Kiedy w 1989 r. w Polsce i na Węgrzech doszło do zmiany ustroju, a w Czechosłowacji i Bułgarii przeprowadzono aksamitne rewolucje, Rumunia nadal pozostała przy czerwonych rządach. Węgierska opinia publiczna z zapartym tchem obserwowała wówczas losy swych rodaków poddawanych represjom przez rumuńskie władze. Blokada informacyjna sprawiała, że za granicę nie docierały prawdziwe wiadomości o madziarskiej mniejszości. Wtedy głos zabrał kalwiński pastor z Timisoary (węg. Temesvár) – László Tőkés. Wypowiedział się otwarcie w węgierskiej telewizji, opisując realną sytuację w komunistycznej Rumunii i krytykując reżim.

Ceaușescu wydał polecenie, by Securitate przymusowo przeniosło niepokornego pastora do innej parafii. 15 grudnia 1989 r. tłum wiernych zgromadził się

wokół domu Tőkésa. Ludzie otoczyli go łańcuchem i bronili przed bezpieczeństwem. Po kilku godzinach obrona duchownego przerodziła się w demonstrację antysystemową, przeciw której władze posłały uzbrojonych funkcjonariuszy. Krwawe walki w Timisoarze rozpoczęły antykomunistyczną rewolucję. Protesty rozprzestrzeniły się po całym kraju. Wszędzie wywieszano rumuńskie flagi z dziurą w środku powstałą po wycięciu komunistycznych symboli. Walka z czerwonym systemem zakończyła się obaleniem znenawidzonego przywódcy.

W trakcie rewolucji po raz pierwszy od czasów Trianon na Węgrzech wywieszono rumuńskie flagi, oczywiście dziurawe w środku, na znak poparcia dla rebeliantów. Ludzie zbierali dary, które setkami ciężarówek przewożone były do Rumunii tuż po otwarciu granic między państwami. W pomoc zaangażowało się wielu młodych Węgrów, którzy licznie przybyli do Siedmiogrodu. Prym wiodli działacze założonego rok wcześniej Fideszu. Po grudniowych wydarzeniach młodzi politycy postanowili nie wracać od razu na Węgry, ale spędzić sylwestra ze swymi rodakami – siedmiogrodzkiimi góralami należącymi do etnicznej grupy Seklerów.

Pierwszy dzień 1990 r. członkowie Fideszu powitali śmiałą decyzją – uznali, że wraz z Seklerami podejmą działania na rzecz rumuńskiej demokracji. Tak powstał pomysł, by zorganizować w Siedmiogrodzie letni uniwersytet, na który zapraszano by węgierskich i rumuńskich polityków, dyplomatów, działaczy społecznych oraz młodzież. Na początku miało to być jednorazowe spotkanie. Na tym się jednak nie skończyło, o czym świadczy niniejsza korespondencja.

MUZYKA I TANIEC

Choć Băile Tușnad (węg. Tuszánfdördő) jest najmniejszym miastem w Rumunii, dzieją się tam dla Węgrów rzeczy wielkie. Mimo dzielącej ich granicy mogą się spotkać i spędzić razem czas, nawiązując przyjaźnie i zastanawiając się nad wspólną przyszłością.

Od lat w ostatni tydzień lipca do miasteczka przyjeżdżają tysiące ludzi: od rodzin z dziećmi po przywódców państw



**Uczestnicy dyskusji
byli zgodni, że elity
kierujące Unią
Europejską nie dorosły
do obecnych wyzwań
i podjęły w ostatnich
latach wiele błędnych
decyzji**

(dwa razy był tu jako urzędujący prezydent Rumunii Traian Băsescu). Dotrzeć tam jest trudno, ponieważ Băile Tușnad znajduje się wysoko w górach, otoczone lasami, a droga do niego wiję się serpentynami. Większość uczestników śpi w schroniskach, w namiotach lub na kempingach. Snu jest raczej niewiele. Co wieczór na dużej scenie do późna odbywają się koncerty znanych węgierskich muzyków. W tym roku wystąpili m.in. Rúzsa Magdolna, Tankcsapda oraz Transylvanium. Równolegle odbywają się występy na małej scenie, jest stanowisko dla popularnych DJ-ów, którzy przyciągają na parkiet nastolatki, a także „stodoła”, czyli bar, który będąc stołówką za dnia, po zmroku przeradza się w nocny klub. Gra głośna muzyka, wszędzie jest dużo śmiechu i zabawy.

Jest również miejsce, które szczególnie przyciąga młodzież. To tzw. Táncház (Dom Tańca), gdzie przy akompaniamencie ludowej muzyki uczestnicy wykonują oryginalne węgierskie tańce ludowe. Najpierw uczą się od instruktorów pierwszych kroków, by później

– przy muzyce cygańskich skrzypków, seklerskich basistów czy moldawskich trębaczów – wirować po parkiecie. Niektóre tańce, jak czardasz, są pełne gracji i powagi, inne mają dynamiczny rytm oraz skoczne ruchy. Już po 15 minutach szybkiego tańca wszyscy na sali są mokrzy i ledwo łapią oddech.

Tusványos to jednak nie tylko miejsce zabawy i odpoczynku, lecz także wymiany myśli, debat intelektualnych i edukacji politycznej. Nikogo nie dziwi widok polityków z pierwszych stron węgierskich gazet krążących w strojach sportowych lub turystycznych pośród festiwalowej młodzieży. Do weteranów letniego obozu, którzy brali udział we wszystkich dotychczasowych edycjach, należą m.in. premier Viktor Orbán i Zsolt Németh, były sekretarz stanu w MSZ.

POLITYKA WŚRÓD NAMIOTÓW

Od początku na Uniwersytecie Tusványos dużo dyskutowano o polityce. Wakacyjna formuła sprzyjała luźnym rozmowom, puszczaniu wodzy fantazji i snuciu scenariuszy na przyszłość czy niezobowiązującym, lecz szczerym, wypowiedziom, na które politycy nie pozwoliliby sobie w oficjalnej sytuacji.

Z czasem znaczenie imprezy zaczęło wzrastać, głównie za sprawą Viktora Orbána, który wygłaszał tu ważne mowy. Na przykład w 2014 r. ogłosił swój tekst programowy będący swoistym manifestem demokracji nieoliberalnej. Z kolei w 2015 r. – w apogeum kryzysu migracyjnego – wypowiedział się mocno o potrzebie obrony europejskiej tożsamości. Także w tym roku jego przemówienie odbiło się szerokim echem na całym świecie (jego



OBOK NIEDŹWIEDZI

Co roku imprezie towarzyszy motto. W tym roku były to słowa „Tusványos naszą pasją”. Na miejscu można było się przekonać, że pasją inicjatorów uniwersytetu letniego nie wygasła. Prawie 30 lat temu stworzyli go jako grupa młodych, dwudziestoparoletnich ludzi, a dziś mimo upływu lat i zmarszczek na twarzach nie stracili pierwotnego zapału. Zsolt Németh codziennie do późnych godzin bawił się na koncertach i w Táncházie, by następnego dnia od rana uczestniczyć w panelach i rozmowach z politykami oraz młodzieżą.

Symbolem Tusványos od lat pozostaje niedźwiedź brunatny. To nie przypadek, gdyż na Ziemi Seklerów żyje wiele tych zwierząt. Wydają się one nie przejmować tłumami ludzi oraz głośną muzyką i często zaglądają z wizytą do obozu. Ponieważ są pod ochroną, czują się bezkarnie. Uniwersytet stara się utrzymać z nimi dobre stosunki – stały się one maskotkami imprezy. Choć bywały przypadki, gdy rozdrażnione niedźwiedzice atakowały gości.

Na stronie internetowej poświęconej drapieżnikom Siedmiogrodu opublikowano listę 10 zaleceń, o których należy pamiętać, będąc w pobliżu tych zwierząt. Obok zasady nierzucania śmieci jest zakaz spacerowania z węgierskim kołaczem w ręku czy zakaz robienia sobie selfie z misiem. Skoro znamy już reguły gry, możemy się szykować za rok na wyjazd do Tusványos. Będzie to jubileuszowa 30. edycja letniego uniwersytetu. Zapowiada się niezła zabawa!

tekst opublikowaliśmy w poprzednim numerze tygodnika „Sieci”).

Jeden z najważniejszych tegorocznych paneli dotyczył przyszłości Europy. Obok wspomnianego już Zsolta Németha wziął w nim udział także gość z Polski – przewodniczący Europejskich Młodych Konserwatystów Radosław Fogiel. Uczestnicy dyskusji byli zgodni, że elity kierujące Unią Europejską nie dorosły do obecnych wyzwań i podjęły w ostatnich latach wiele błędnych decyzji wynikających z ich fałszywego oglądu sytuacji. Jak powiedział Fogiel: „Zamiast się zastanawiać nad tym, czy ślimak to ryba, Unia powinna się skupiać na ważnych sprawach”. Nie powinna – zdaniem panelistów – ograniczać suwerenności państw narodowych i odbierać im coraz więcej kompetencji. Sztandarowy przykład to casus imigrantów oraz własne zdanie Węgier w tej sprawie, które było przez elity Zachodu surowo potępiane. Dyskutanci stwierdzili, że Unia w obecnym kształcie nie przetrwa, że konieczna jest jej głęboka reforma.

W innych panelach podejmowano m.in. tematy przyszłości europejskiej prawicy, konkurencyjności gospodar-

czej, samowoli wielkich koncernów, wspierania rodzimego biznesu czy budowania klasy średniej. Była też mowa o perspektywach Trójomorza, którego filarem może być przyjaźń polsko-węgierska.

Dużo miejsca poświęcono też problemom rodziny i jej znaczeniu dla przyszłości narodu. Mówiła o tym m.in. Katalin Novák, obecna minister zasobów ludzkich (to superresort skupiający w sobie kompetencje aż ośmiu istniejących wcześniej ministerstw). Według przytoczonych przez nią danych, od roku 2010 – gdy Fidesz objął władzę – roczne wydatki na wsparcie rodzin z budżetu państwa wzrosły dwukrotnie. Obecnie wynoszą one prawie 5 proc. PKB, co jest bardzo wysoką sumą.

Ważnym wydarzeniem był również wykład specjalnego gościa, prof. Marka Jana Chodakiewicza z Waszyngtonu, który skupił się na geopolitycznej sytuacji świata. Jego zdaniem rozwiązaniem kryzysu migracyjnego nie może być na dłuższą metę zamykanie drzwi przed szturmem przybyszów, lecz rzeczywiste rozwiązanie konfliktów w świecie opuszczonym przez kolonialistów.



Fot. Tusványos Press (k)



Cały majątek świata

Ile wynosi majątek świata? Jak żyją i na co wydają pieniądze miliarderzy?

I wreszcie – co zostawi po sobie elita finansowa XXI w.?

Swiatowe bogactwo rośnie jak na drożdżach. Mimo kryzysu finansowego, klęsk żywiołowych i licznych konfliktów zbrojnych w ciągu ostatniej dekady globalny majątek wzrósł o 27 proc. i obecnie jest szacowany na ok. 280 bln dol. Tak przynajmniej wynika z „Global

Wealth Report 2017” opracowanego przez analityków Credit Suisse. Tyle wynosi wartość pieniędzy w gotówce, aktywów na kontach, cennych kruszców, nieruchomości, udziałów ulokowanych w różnego rodzaju biznesach i instrumentach finansowych. Skąd taka liczba? Otóż Credit Suisse wyliczył ją

na podstawie danych zebranych od 4,8 mld osób z 200 krajów na świecie. Z badań tych wynika, że średni majątek dorosłego człowieka na naszym globie wynosi obecnie ok. 56 540 dol., czyli mniej więcej 194 tys. zł. To tyle, ile warte jest 40-metrowe mieszkanie w Warszawie. Na tle badania „Global



Wealth Report 2017” Polacy wypadają całkiem dobrze, bo statystycznie nasze gospodarstwo domowe ma majątek wart ok. 250 tys. zł (dane NBP).

NAJBOGATSI

Ale to oczywiście grosze w porównaniu z tym, co mają najbogatsi. Do elity miliarderów należy ok. 2 tys. osób, co stanowi właściwie niewidoczną część procenta populacji. Najwięcej jest ich w Stanach Zjednoczonych (565), Chinach (319) i w Niemczech 114. W Polsce jest ich sześciu, czyli tyle samo, co w znacznie mniejszych Czechach.

Z najnowszego raportu amerykańskiego „Forbesa” wynika, że obecnie najbogatszym człowiekiem na świecie jest Jeff Bezos, założyciel Ama-

zona. Jego majątek wyceniany jest na 112 mld dol., co oznacza, że wzrósł w ciągu roku o 39 mld dol. Drugą pozycję zajmuje Bill Gates (twórca Microsoftu) z 90 mld dol., którego aktywa wzrosły w ciągu roku o 4 mld dol., czyli o wartość całego majątku Dominiki i Sebastiana Kulczyków – najbogatszych Polaków. Czwarte miejsce zajął Warren Buffet (84 mld dol.), a piąte – Bernard Arnault, twórca koncernu luksusowych marek LVMH. Jego majątek wzrósł w ciągu roku o 75 proc. – do 72 mld dol. To zarazem największy majątek w Europie. Warto jeszcze dodać, że najmłodszym miliarderem okazał się 26-letni John Collison, współtwórca platformy płatniczej Stripe.

ZŁOTO, SREBRO, OPCJE

Z opracowania opublikowanego pod koniec 2017 r. przez amerykański serwis Money Project wynika, że światowy majątek wcale nie leży w skarbcach czy na kontach. Na przykład w złocie ulokowanych jest 7,7 bln dol., co odpowiada mniej więcej 15-krotności rocznego PKB Polski. Jeszcze mniej wart jest rynek srebra. Jego wartość szacuje się na 17 mld dol., czyli na ok. 60 mld zł. To tyle, ile trzeba wydać np. na zakup 170 najnowocześniejszych myśliwców F-35 albo na wybudowanie 10 nowoczesnych elektrowni.

Gotówka też nie jest ulubioną formą gromadzenia bogactwa. Wartość monet i banknotów analitycy Money Project oszacowali na 7,6 bln dol., a tego, co znajduje się na wszystkich kontach bankowych (część to pieniądź elektroniczny) – na 90 bln dol.

Znacznie więcej ulokowane jest w tzw. instrumentach pochodnych, czyli różnego rodzaju zakładach zawieranych na rynkach finansowych – np. w opcjach walutowych, kontraktach na kursy akcji czy surowców itd. Ich wartość szacowana jest na od 544 bln do 1,2 trylionu dol.

GIEŁDA

Dużym powodzeniem cieszy się też giełda. Z szacunków Money Project wynika, że w III kwartale 2017 r. na światowych rynkach ulokowanych było ok. 75 bln dol. Ale trwająca od

miesiący hossa sprawiła, że wartość akcji w styczniu 2018 r. wzrosła do 90–95 bln dol. (dane agencji Bloomberg). Ponad połowa tych pieniędzy znajduje się na giełdach w USA (52 proc.), 8 proc. w krajach UE, 7 proc. w Japonii, 2 proc. w Chinach, a 31 proc. w tzw. reszcie świata.

NIERUCHOMOŚCI

Jedną z najbardziej popularnych form inwestycji zarówno wśród bardzo, jak i średniozamożnych ludzi są nieruchomości. Obecnie ich wartość szacuje się na 217 bln dol., z czego 13 proc. stanowią tzw. nieruchomości komercyjne, czyli biura i siedziby firm, a 75 proc. rezydencje, domy i mieszkania. Ile kosztują? Różnie. Za te najdroższe trzeba zapłacić od 100 do 700 mln dol. Część z nich to typowe rezydencje bogaczy: wielkie, eklektyczne w stylu, kipiące bogactwem, czasem na granicy bezguścia. Zadziwiają zwłaszcza te budowane w Stanach Zjednoczonych w latach 80. czy 90. Na przykład posiadłość Hamptons należąca do Iry Rennerta, amerykańskiego inwestora i biznesmena, uznana jest za największy dom w Stanach Zjednoczonych. Ma 29 sypialni, 39 łazienek, własny teatr, garaż na 100 samochodów, dom do zabawy, wielki basen. Rozciąga się na 63 arach i z lotu ptaka przypomina nieco układem podparyski Wersal. Przez ekspertów od nieruchomości wyceniana jest dzisiaj na 248 mln dol. (w latach 90. za jej budowę właściciel zapłacił 110 mln dol.), a roczny podatek od nieruchomości wynosi 650 tys. dol.

Oglądając domy, w które inwestują miliarderzy, warto się przyjrzeć temu, co się dzieje na Wschodzie: w Chinach, Indiach, Szanghaju, Dubaju, Arabii Saudyjskiej. Wschodnie bogactwo ma inną skalę. Na przykład indyjski miliarder Mukesa Ambani, szef naftowego koncernu Reliance Industries, gdy wybudował dla siebie i swojej rodziny dom, to od razu 27-piętrowy. Budynek w Mumbaju nazwał Antilia – od mitycznej wyspy szczęśliwości, która miała leżeć na Atlantyku na zachód od Hiszpanii. Zaprojektowała go firma architektoniczna z Chicago – Perkins and Will – inspirowana się wiszącymi ogrodami Semiramidy,



zaliczanymi do jednego z siedmiu cudów świata. Nowe „gniazdko rodzinne” miliardera kosztowało ok. 2 mld dol. Na pierwszych sześciu piętrach są parkingi na ok. 160 aut. Na dalszych kondygnacjach znajdują się m.in. centrum odnowy biologicznej, siłownia, balkony, sala balowa, studio nagrań, studio tańca, ogrody, w których posadzono drzewa. Na dachu obowiązkowy atrybut prawdziwych bogaczy – lądowisko dla helikopterów. Ambani może tam ich zmieścić aż trzy. Na szczycie domu znalazło się też miejsce na małą wieżę kontroli lotów. Rezydencję obsługuje personel liczący 600 osób.

W CO JESZCZE INWESTUJĄ NAJBOGATSI?

W centra handlowo-usługowe, hotele. Marina Bay Sands to kompleks hotelowy nad Zatoką Marina w Singapurze, wybudowany osiem lat temu za 5,5 mld dol. Trzy 55-piętrowe wieże połączone hek-

tarowym dachem, na którym mieści się taras widokowy SkyPark ze 150-metrowym basenem. Wszystko to 191 m nad ziemią. W Marina Bay Sands znajduje się hotel z 2,5 tys. pokoi, centrum wystawienniczo-kongresowe, centrum handlowe i jedno z największych kasyn na świecie – z 500 stołami i 1,6 tys. maszyn.

Jeszcze większe wrażenie, jeżeli chodzi o rozmach inwestycyjny, robi Abraj Al Bait. Został zbudowany w latach 2004–2011 w pobliżu największego na świecie meczetu i najświętszego miejsca islamu – Al-Masdzid al-Haram. Projektantem i wykonawcą obiektu jest Saudi Binladin Group, największa firma budowlana Królestwa Arabii Saudyjskiej. Kompleks hotelowy kosztował 15 mld dol.

Najbogatsi nie żałują też pieniędzy na siedziby firm. Jeden z najdroższych biurowców na świecie wybudował koncern Apple w kalifornijskim Cupertino. Budynek o nazwie Campus 2 kosztował ok. 5 mld dol., czyli 1,2 mld więcej niż

odbudowa kompleksu World Trade Centre. Tak wysoka cena to np. efekt użycia do wielu elementów konstrukcyjnych drewna zamiast betonu. Koszta podwyższa też pomysł nieżyjącego Steve’a Jobsa, by budynek miał okrągły kształt przypominający przeszkłony statek kosmiczny. Wymyślił też, by do budowy użyto specjalnie wygiętych w łuk szklanych tafli. Pokrycie nimi obiektu wymagało aż 6 km² szkła. Tylko na krzesła Apple wydał 14 mln dol. Koncern na to stać, bo jest jedną z najbardziej cennych firm świata. Wartość giełdowa akcji informatycznego giganta przekroczyła w ubiegłym roku 900 mld dol. (ok. 3,3 bln zł).

To więcej, niż wynosi produkt krajowy brutto (PKB) Turcji czy Indonezji. Mniejsze są gospodarki Holandii, Szwajcarii czy Polski. W ubiegłym roku nasz kraj wypracował niecałe 470 mld dol., czyli prawie połowę wartości biznesu Apple’a. Za pieniądze technologicznego giganta można by sfinansować na prawie 40 lat funkcjonowanie programu 500+. Tyle samo wystarczyłoby na pokrycie niemal całego długu publicznego, który w tym roku przekroczył właśnie okrągły bilion.

* * *

Światowe bogactwo rośnie, ale coraz większy udział ma w nim garstka najbardziej zamożnych. Z ostatniego raportu międzynarodowej organizacji humanitarnej Oxfam wynika, że 82 proc. majątku wygenerowanego w 2017 r. (ok. 1,7 bln dol.) trafiło do niespełna 1 proc. najbogatszych. Tylko osiem najbogatszych osób ma tyle pieniędzy, ile 3,6 mld ludzi.

System finansowo-fiskalny ewidentnie sprzyja osobom, które czerpią zyski np. z dywidend, odsetek i tantiem, z posiadania kapitału ziemskiego, finansowego, nieruchomości.

„Majątki zgromadzone w przeszłości rekapitalizują się szybciej, niż wynosi tempo wzrostu produkcji i płac” – napisał kilka lat temu ekonomista Thomas Piketty, autor książki „Kapitał XXI wieku”. Wywołało to burzę dyskusji o narastaniu nierówności majątkowych, nad sensem pracy, która – w miarę jak kurczy się jej udział w tworzeniu PKB – deprecjonuje się. /



Plusy i minusy

- + nowy rekord, jeśli chodzi o zoom: 125-krotny (24–3000)
- to tylko (wielki) kompakt z niewielką matrycą, nie oczekujemy cudów po zdjęciach z tak ogromnymi ogniskowymi

Odtwarzacz Blu-ray 4K HDR Sony UBP-X500

Firma Sony wprowadza do sprzedaży nowy odtwarzacz Blu-ray 4K HDR: UBP-X500. Możliwości modelu X500 nie ograniczają się do odtwarzania płyt Blu-ray 4K Ultra HD: urządzenie odtworzy film i muzykę z niemal każdego nośnika, jak Blu-ray, DVD oraz SACD, i obsłuży większość cyfrowych formatów audio i wideo, w tym dźwięk o wysokiej rozdzielczości. By zapewnić szczegółowy obraz także przy oglądaniu nagrań o mniejszej rozdzielczości, odtwarzacz UBP-X500 dokonuje zaawansowanej interpolacji każdego oglądanego materiału do rozdzielczości 4K. Urządzenie jest łatwe w obsłudze. Dla wygody użytkownika ma funkcję superszybkiego uruchamiania oraz automatyczny tryb czuwania. Przeglądanie i wybieranie dostępnych materiałów ułatwia także przejrzysty układ elementów sterujących na niedużym pilocie. Odtwarzacz UBP-X500 będzie dostępny w sklepach od połowy sierpnia.

Premiera



Hit tygodnia

Nikon Coolpix P1000

Co tu robić, gdy wszyscy zdjęcia robią smartfonami? Produkować lustrzanki, bezlusterkowce albo zaawansowane kompakty. I tak chyba myśli Nikon, który już niedługo zaprezentuje swojego pierwszego pełnoklatkowego bezlusterkowca, a na razie oferuje kompakt typu bridge (czyli z wyglądu przypominający lustrzankę, gabarytami również, ważący prawie 1,5 kg), z rekordowym (bo 125-krotnym) zoomem: 24–3000. To już nie przelewki, tym sprzętem powinni się zainteresować wszyscy, którzy lubią fotografować dziką przyrodę, księżyc, oraz paparazzi. To ostatnie to raczej żart, ale nie da się ukryć, że o takiej ogniskowej mogą jedynie pomarzyć, więc jeżeli jakość obrazka będzie akceptowalna, to nie zdziwilbym się, gdyby własnie paparazzi spróbowali się z nim zmierzyć. Oczywiście nie możemy oczekiwać nie wiadomo czego, aparat ma klasyczną kompaktową matrycę 1/2.3" o rozdzielczości 16 Mpix, obiektyw jest dość ciemny na końcu f2.8-8, ale chyba nikt nie oczekuje w takim urządzeniu superjasnego szkła, zwłaszcza na ogniskowej 3000. Aparat ma możliwość zapisu zdjęć w formacie RAW, co pozwoli na skorygowanie zdjęć w programie graficznym. Co ciekawe, Coolpix P1000 może nagrywać filmy w 4K w 25kl/s. Bez wątpienia Coolpix P1000 to nie jest aparat dla wszystkich, ale bez problemu mogą sobie wyobrazić osoby, dla których może się okazać podstawowym urządzeniem do robienia zdjęć.

Cena: 4399 zł

Doogee S60 i S60 Lite

Doogee S60 jest najbardziej zaawansowanym technologicznie modelem w portfolio pancernych smartfonów firmy. Jego uzupełnieniem jest nieco słabsza wersja S60 Lite. Flagowa wersja urządzenia wyposażona jest w 8-rdzeniowy procesor Mediatek Helio P25, 6 GB pamięci RAM i 64 GB ROM, natomiast w wersji Lite jest to 8-rdzeniowy Mediatek MT6750T, 4 GB i 32 GB pamięci ROM. W jednym i drugim wariantcie urządzenia zastosowany został 5,2-calowy ekran Full HD wykonany w technologii IPS i rozdzielczości 1920 x 1080 pix. Flagowa wersja Doogee S60 wyposażona jest w aparat Sony IMX 230 o rozdzielczości 21 MP. Z kolei użytkownicy wersji Lite mogą wykonywać zdjęcia aparatem z matrycą 16 MP. Przednie szerokokątne (87°) aparaty w obydwu urządzeniach wykorzystują matryce o rozdzielczości 8 MP. Spełniające normę IP68 obudowy modeli w serii S60 wykonane są z metalu, a ich boczne krawędzie pokryte zostały gumą. Szkło na ekranach urządzeń to Corning Gorilla Glass 5. Na plecach smartfonów umieszczony został czytnik linii papilarnych. Zastosowane baterie charakteryzują się bardzo dużą pojemnością (5 580 mAh).

Cena: S60 - 1339 zł, S60 Lite - 1099,99 zł

Przygotował **Paweł Gadaczek**



Napisaliśmy kolejny fragment historii Polski



Z Andrzejem Bargielem, który jako pierwszy człowiek w historii zjechał na nartach z K2, jednego z najtrudniejszych do zdobycia szczytów w Himalajach, rozmawia Wojciech Biedroń

Gdy w 2007 r. zdobył pan mistrzostwo Polski juniorów w narciarstwie wysokogórskim, to wiedział pan już wtedy, jako niespełna 20-latek, że kiedyś zdobędzie pan K2 i jeszcze zjedzie z tej piekielnej góry na nartach?

Andrzej Bargiel: Nie, zupełnie tego wtedy nie planowałem. To był taki okres, w którym startowałem w zawodach i liczyło się dla mnie to, by ścigać się z najlepszymi. Udało mi się dobić do czołówki światowej, ale musiałem to przerwać ze względu na problemy finansowe. Wtedy pojawił się pomysł na wysokie góry. Uczestniczyłem w zawodach Elbrus Race, na których udało mi się pobić rekord należący do Denisa Urubki. Wtedy okazało się, że mój organizm doskonale radzi sobie na dużych wysokościach. Potem były dwie wyprawy narodowe, ale warunkiem było to, że zabieram z sobą narty, a te stanowiły problem.

Patrzyli na pana trochę jak na wariata?

Reakcje innych uczestników były różne [śmiej], więc stwierdziłem, że jedyną drogą, która pozwoli mi na realizację własnych celów, będzie organizacja zupełnie niezależnych wypraw.

Który moment był dla pana najtrudniejszy? Przecież wyprawa w Himalaje nie jest taka prosta.

To było bardzo skomplikowane przedsięwzięcie. Dwa lata swojego życia poświęciłem na K2. W zeszłym roku byłem tam i z zespołem próbowałem swoich sił. Bardzo dużo pracy tam wykonaliśmy. Przygotowaliśmy linię zjazdu do pewnego momentu, ale atak szczytowy zakończył się 200 m nad bazą. Było zbyt niebezpiecznie i stwierdziłem, że rezygnujemy. Nie można ryzykować życia ludzi, którzy mi towarzyszą.

W tym roku też były trudne momenty związane m.in. z moją chorobą już w górach, a inny uczestnik wyprawy miał problemy z plecami w ataku szczytowym. Działo się wiele rzeczy, na szczęście wszystko się udało.

Ale uczestniczyliście też w akcji ratunkowej Ricka Allena, który potem wam dziękował w zagranicznych mediach.

Jestem ratownikiem i bardzo się z tego cieszę. W takim środowisku się wychowałem. Ratowanie ludzkiego życia jest bardziej wartościowe niż realizacja naszych sportowych celów. Koniec końców wszystko się udało. Jeżeli jest sytuacja kryzysowa, to natychmiast się angażujemy. W akcji ratunkowej pomogły nam dron i praca mojego brata.

Kolejna bariera przekroczona. Również technologiczna.

To prawda. To było niesamowite, że wspólnie wylądowaliśmy na K2. Ja musiałem się trochę pomęczyć, a brat, siedząc w bazie, wylądował tam dronem. Zabrałem go z góry i zwiózłem na nartach.

Co było dla pana trudniejsze? Zdobyć szczytu czy sam zjazd?

Samo wejście też było dość trudne. Jestem pierwszym Polakiem, który szedł tą drogą i tą ścianą. Przypadkowo się o tym dowiedziałem. Musiałem się znaleźć na szczycie w dobrej kondycji. Nie mogło być tak, że wchodzę zmęczony i cieszę się z tego, że jestem na górze. Musiałem być w świetnej kondycji, mieć przyzwoitą widoczność do tego, żeby tę próbę podjąć. Linia zjazdu przechodziła przez środek ściany. Było bardzo dużo zagrożeń. I bardzo stromo. To zdecydowanie najtrudniejsze wyzwanie na tej wyprawie. Na szczycie nawet się nie cieszyłem, musiałem się skoncentrować na zjeździe. Wiedziałem, że przygoda dopiero się zaczyna.

Chwile zwątpienia?

Nie, skupiałem się na zjeździe. Był moment, gdy przysłała mgła, która bardzo mnie niepokoiła. Często wtedy dzwoniłem do bazy, prosiłem o jak największą liczbę prognoz. Chciałem wiedzieć, skąd to zamglenie, czy mamy do czynienia ze zwykłą chmurą, czy chodzi o front. Musiałem szybko uciekać, gdyż to był fragment techniczny i musiałem wiedzieć, jak się przebić przez labirynt szczelin.

Miał pan z sobą jakąś mapę, z której można było wyczytać, gdzie znajdują się szczeliny lub inne niebezpieczeństwa?

Taka mapa nie istnieje. Trzeba samemu rozpoznać teren, by bezpiecznie się po nim poruszać. Wiedziałem, że nikt mi nie podpowie, co mam robić, i muszę bazować na własnym doświadczeniu. Musiałem się zaangażować w to na 100 proc.

A jak wyglądała kwestia pogody? Mówi się, że wam „pomogła”.

Na początku była dobra pogoda. W momencie, w którym przyszed-

łem do bazy, zachorowałem i straciłem kilka dni. To się zemściło, bo warunki stały się trudne. Gdy wychodziłem z obozu trzeciego do czwartego, pogoda była już paskudna. Mocno syłało, nic nie było widać. Atak szczytowy rozpoczął się dzień później.

Ile trwa sam zjazd z K2?

Nie spieszyłem się, chociaż jestem człowiekiem bardzo niecierpliwym. Intensywna i prawdziwa jazda trwa prawie dwie godziny. Samo wychodzenie z bazy na szczyt zajęło 10 godzin, ale należy pamiętać o aklimatyzacji i przygotowaniach, które w sumie trwały trzy dni. Przy zjeździe był problem, bo musiałem czekać na przejaśnienie. Zależało mi na dobrej dokumentacji tego zjazdu.

Czy pan się bał? Jest oczywiste, że taki wyczyn wiąże się z ekstremalnym niebezpieczeństwem. Zdarzają się też nieprzewidziane sytuacje.

To fakt. Widzimy np. lawinę, która schodzi, i to w miejscu, w którym planujemy zjechać. Do takiej sytuacji doszło i w tym, i w zeszłym roku. W takich chwilach traci się zapal. Takie lawiny schodzą przez kilka kilometrów i przechodzą na drugą stronę doliny. To momenty, w których czuje się strach. Boję się także o ludzi, którzy mi towarzyszą. Ich bezpieczeństwo jest dla mnie najważniejsze. To przecież ja jestem powodem, dla którego znaleźli się ze mną w tym miejscu.

Trudy i niebezpieczeństwa już minęły. Miał pan po powrocie okazję zjeść swój ulubiony rosół mamy?

Byłem na chwilę u rodziców i to było bardzo miłe. Mam nadzieję, że teraz będę miał chwilę oddechu. Rodzice nie do końca są szczęśliwi, gdyż bardzo się o mnie martwią, ale wiedzą, że to moja pasja, i rozumieją mnie.

Co to znaczy „oddech” u narciarza ekstremalnego?

Trzeba się dobrze wysypiać. Cały sztab ludzi pracował na ten sukces i na to, byśmy mogli dzisiaj oglądać jego szczegóły. Wszystkim należą się gratulacje. Sam nie dałbym rady. Teraz potrzebuję odpocząć i cieszyć się

powrotem do domu. Muszę zorganizować 30. urodziny, gdyż wcześniej nie chciałem się dekoncentrować przed wyprawą.

Mówił pan o rodzinie i o wartościach, ale też o tym, że ta wyprawa, zwieńczona ogromnym sukcesem, jest pana gestem na 100-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości.

Tak, to nasz gest. Chciałem pokazać, że jestem Polakiem, który nie miał w życiu łatwo, ale dzięki konsekwentnym działaniom można napisać kawałek historii, polskiej historii. To Polak jako pierwszy zjechał na nartach z K2. To było najważniejsze wyzwanie, które podjęli właśnie Polacy, mimo że nie wszyscy wierzyli w jego powodzenie. Mamy więc kolejną polską historię.

Czuje pan dumę z bycia Polakiem?

Ja wspaniale się czuję w Polsce i nigdy nie mógłbym mieszkać w innym miejscu. Nasza wyprawa była ponad podziałami, bez względu na poglądy czy kolor skóry. Chcieliśmy, by wszyscy Polacy cieszyli się tym, co zrobiliśmy.

Długa była pana droga na K2?

Projektów było bardzo dużo. Zorganizowałem sześć wypraw. To było trudne, gdyż sam wszystkim musiałem zarządzać, wszystko finansować i się do tego przygotować. Na szczęście spotkałem na swojej drodze wielu wspaniałych ludzi. W roku 2010 pomyślałem, że warto tego spróbować. Oczywiście uprawiałem narciarstwo ekstremalne już wcześniej, ale nie w Himalajach. Można jeździć równie ostro w Tatrach czy Alpach.

Kiedy założy pan narty ponownie?

Pewnie jesienią. To będzie moment, w którym wrócę na lodowiec.

A jaki jest pana ulubiony polski stok narciarski?

Kocham Kasprowy Wierch. Tam się wychowałem, tysiące razy wbiegałem na jego szczyt i tam jeżdżę też na nartach. To takie miejsce, w którym środowisko narciarskie się spotyka, wszyscy się znają. Tworzymy jedną wielką rodzinę i czujemy się tam jak u siebie w domu.

JULITA BATOR
AUTORKA KSIĄŻEK KULINARNYCH

Przekąski dobrej energii

Choć to osoba skromna, jest niewątpliwie gwiazdą wśród autorów książek o jedzeniu ze zdrowymi i inspirującymi przepisami odpowiadającymi potrzebom czasów: pełnych wzmacniaczy smaku, emulgatorów i konserwantów, a zarazem wypełnionych pragnieniem o życiu pełnym dobrej energii.

Tym razem autorka bestsellera „Zamień chemię na jedzenie” (sprzedanego w 200 tys. egzemplarzy) oraz paru innych książek podpowiada, jak „Zamienić chemię na energię”, w nieskomplikowany sposób tworząc zdrowe przekąski.

Inspirację przyniosło rodzinne życie. Tak opowiada o tym w książce, która ukazała się właśnie nakładem wydawnictwa Znak: „Pewnego razu, podczas dłuższej podróży samochodowej, mój dbający o kondycję fizyczną i regularnie ćwiczący mąż poprosił mnie o przygotowanie dla niego batona proteinowego. »A po co ci taki baton?« – spytałam. Okazało się, że ma jeszcze godzinę do następnego posiłku, a chciałby coś w przerwie zjeść, podczas gdy zabrane kanapki i owoce nieszczególnie go zadowalały, bo to węglowodany, zaś masę mięśniową buduje się przecież z białka. Po powrocie do domu z entuzjazmem zabrałam się za nowe wyzwanie kulinarne”.

Przez wiele miesięcy testowała przepisy, przerabiając je w taki sposób, by – tworząc atrakcyjne w wyglądzie, smaczne i łatwe do spakowania na wynos: batony, muffinki, ciasteczka i inne małe przekąski (zarówno słodkie, jak i wytrawne) – zwiększyć ilość białka, maksymalnie ograniczając cukier.

„Z moich zmagani z mąką owsianą, kokosową i migdałową, z orzechami, nasionami i pestkami powstały receptury, które spełniają powyższe wymogi” – pisze w książce. „Za ich pomocą obaliłam, jak sądzę, jedno z praw Murphy’ego – to, które zakłada, że wszystko, co dobre, jest nielegalne, niemoralne albo powoduje tycie”.

Jako „kobieta pracująca” i zarazem pełnoetatowa mama Julita Bator nie ma złudzeń i wie, że w realnym świecie dzieci nie posilają się pełnoziarnistymi kromkami z humusem, soczystym liściem sałaty oraz surową, np. pokrojoną w słupki, marchewką. Zwłaszcza w otoczeniu kolegów zjadających kanapki z serem (to podobno szkolny „przebój śniadaniowy”) na zmianę z drożdżówkami, słodkimi serkami i batonami.

Stąd pomysł na atrakcyjne w wyglądzie, podążające za trendami (także fit) przekąski (słodkie, ale również wytrawne) oraz koktajle. Coś, co łatwo można zapakować na wynos (do szkoły, pracy czy na wycieczkę rowerową) i pomaga się wzmocnić. Co ważne: bez konieczności użycia sztuczków.



Fot. Michał Kępczyk / Agencja Gazeta

Autorka oczywiście podkreśla, że przekąska nie zastąpi pełnego posiłku, ale miło się sięga po domowe batony, kulki czy ciastka ze świadomością, że mają niski indeks glikemiczny i jednocześnie zawierają służące zdrowiu węglowodany złożone oraz białko wysokiej jakości: płatki owsiane, pełnoziarniste zboża, warzywa strączkowe, orzechy, nasiona, ekologiczny nabiał. Na dodatek smakują, jak tylko chcemy, bo robiąc przekąski samodzielnie, nadajemy im finalny efekt.

Baton z migdałami

Składniki na ok. 6 batonów: 60 g oleju kokosowego, łyżeczka miodu, łyżeczka syropu klonowego, 25 g zmielonego siemienia lnianego, łyżeczka ekstraktu waniliowego, 60 g masła migdałowego, szczypta soli kamiennej, morskiej lub himalajskiej, 140 g migdałów, 25 g suszonej żurawiny, 15 g płatków kokosowych.

Przygotowanie: Olej roztopić i lekko przestudzić. Zmiksować: miód, syrop klonowy, siemię, ekstrakt waniliowy, masło i sól. Migdały, żurawinę i płatki kokosowe nieco rozdrobnić. Połączyć wszystkie składniki i przełożyć do formy o wymiarach 15 na 15 cm wyściełonej papierem do pieczenia, docisnąć i schłodzić w lodówce. Kroić w prostokąty, gdy masa stężeje.

Wartości odżywcze w 100 g: białko 20,02 g, węglowodany ogółem 25,6 g, w tym cukry 9,66 g, błonnik 12,5 g.

Notowała **Jolanta Gajda-Zadworna**



SŁODKO-SŁONY

Na jeżyny

ANNA MONICKA

Najpiękniejszy dzień wakacji wyszedł nagle i niespodziewanie. Nasza gospodyni z Jaworzynki powiedziała któregoś wieczoru z dumą, że właśnie wróciła z Ochodžitej z dwoma wiadrami jeżyn – 16 litrów nie w kij dmuchał. Poprosiłam, czy mogłaby nas następnym razem zabrać, a ona się zgodziła. No więc kolejnego wieczoru, kiedy upał nieco zelżał, ruszyliśmy na zbocze w kaloszach, długich spodniach i koszulach, uzbrojone w kijki do nordic walkingu, którymi odstraszałyśmy żmije. „Sama nie wierzyłam, że one tu rzeczywiście są, ale kiedyś, gdy wróciliśmy do naszych wiader [bo owoce zbiera się w mniejsze pojemniczki i potem przerzuca do większych – przyp. A.M.], były poowijane dokoła nich. Do dziś mam ten widok przed oczami, więc zanim wejść w krzaki, uderzam je kijkiem, żeby wypłoszyć zwierzaki” – opowiadała sąsiadka.

Zapach nagrzanej słońcem góry zupełnie mnie oszołomił. Tyle tam ziół! Mięta, melisa, przywrotnik, dziurawiec, babka – a wszystkie pachną. Pod olbrzymimi jarzębinami kłębią się dojrzewające właśnie jeżyny, a niżej są jeszcze jagody, krzaczki po kolana. Ochodżita to jedna wielka wspaniała spiżarnia. Nic, tylko zbierać. Choć jeżyny akurat strzegą swoich plonów, czepiają się ubrań, kłują w palce i wbijają się boleśnie. Człowiek musi być zatem gotowy na ból, jeśli chce trochę tego dobra uszczknąć. Ale za to potem ma wspaniały sok czy owoce w żelu domowej roboty. Doskonale do gofrów, sernika, bitej śmietany czy naleśników.

Czy warto się tak poświęcać? Moje podrapane i rozczochrane dziecko było tak szczęśliwe na jeżynach jak nigdy. Umazana sokiem z dumą prezentowała swoje wiaderko pełne owoców i liści. Bo nasza gospodyni powiedziała jej, żeby brała także liście. Zasuszone nadają się na pyszną herbatkę, która pomaga na przeziębienia i ból głowy. Córcia była tylko zawiedziona brakiem żmij. Tyle przygotowań i strachu, a nie udało się żadnej zobaczyć!

Jak zrobić owoce w żelu? Umyte posypujemy cukrem trzcinowym albo ksylitolem. Niedużo – łyżkę, dwie na kilogram. Podgrzewamy, żeby cukier się rozpuścił. Doprawiamy sokiem z cytryny. Rozpuszczamy trzy czubate łyżki mąki ziemniaczanej (na każdy kilogram owoców) w niewielkiej ilości zimnej wody i powoli wlewamy do wrzących owoców. Gotujemy kilka minut i wrzucę przelewamy do wyparzonych słoiczków. Pasteryzujemy, jeśli mają doczekać do zimy, a jeśli nie – studzimy i trzymamy kilka dni w lodówce.



WILCZYM OKIEM

Obraz świata w języku

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Na przełomie XVIII i XIX w. niemiecki filozof Wilhelm von Humboldt, brat przyrodnika Alexandra, sformułował teorię dotyczącą wpływu języka na ducha narodu. Intuicja ta rozwinęła się później w szeroko badaną koncepcję językowego obrazu świata. Według niej język wpływa na myślenie lub nawet je determinuje. W tym ujęciu człowiek postrzega świat poprzez swój język. Język jest interpretacją rzeczywistości wspólnoty kulturowej.

Aby zrozumieć ten koncept, wystarczy samemu przeprowadzić proste badania. Potrzebne będą trzy rzeczy: translator mający możliwość tłumaczenia wielu języków, wyszukiwarka internetowa z opcją „grafika” oraz leksem, czyli wyrażenie, które chcemy przebadать. Na początek proponuję wyraz „chleb”. Mówiąc „chleb”, mamy na myśli bochenek, wiadomo jaki. Wystarczy jednak „chleb” przetłumaczyć na pasztuński, a otrzymane słowo wrzucić do wyszukiwarki i przyrzeć się grafice. Następnie warto zrobić to samo dla języków suahili, tamilskiego i maoryskiego. Dla Afgańczyków chleb to rodzaj macy; Tamilowie pod pojęciem „chleb” rozumieją naleśnik; dla osób posługujących się suahili chleb to pokrojony w równą kostkę placek. Nie wiem, co pod pojęciem „chleb” rozumieją Maorysi, bo po wpisaniu słowa „chleb” po maorysku wyświetliły się zdjęcia rośliny o okrągłych liściach oraz brązowych bulw. To, że nie musiałem opisywać bochenka i mogłem użyć określenia „wiadomo jaki”, jest istotą językowego obrazu świata, tworzymy jedną wspólnotę językową.

Takie same badania przeprowadziłem dla wyrazu „las”. Wyniki wyszły równie frapujące. W języku paszto 10 na 20 zdjęć odpowiadających temu, co my rozumiemy jako zgromadzenie drzew, przedstawiało pożar różnego typu zadrzewień. Według amerykańskiego językoznawcy B.L. Whorfa „postrzegający nie utworzą sobie tego samego obrazu świata na podstawie tych samych faktów fizycznych, jeśli ich zaplecza językowe nie są podobne lub porównywalne”.

Różnice zaznaczają się już na poziomie najprostszych pojęć. A co z pojęciami bardziej złożonymi, metaforycznymi, abstrakcyjnymi?

W pisanie przez papieża Franciszka do katechizmu bezwarunkowego potępienia kary śmierci obudziło emocje. Nie będę się wypowiadał o tej sprawie pod kątem zgodności z Pismem Świętym czy tradycją Kościoła – bo ani teolog, ani moje nieoczywiste relacje z Absolutem nie upoważniają mnie do snucia tego rodzaju rozważań bez poczucia własnej śmieszności. Nie będzie więc o Franciszku ani Bogu, tylko o karze śmierci bez kontekstu religijnego.

Kilka miesięcy temu mocno przeżyliśmy – ja też – sprawę Tomasza Komendy. Gdyby w momencie, w którym został – jak teraz ponad wszelką wątpliwość wiadomo, niewinnie – skazany, w Polsce kara śmierci istniała, nie wyszedłby na wolność, bo zostałby kilkanaście lat temu powieszony. Za nic. Gdyby Wielka Brytania nie zniosła kary śmierci, to sześciu Irlandczyków skazanych niesłusznie w 1975 r. na dożywocie za podłożenie bomby w pubie nie doczekaloby momentu, w którym wyszły na jaw ich niewinność i matactwa pragnących się wykazać sukcesem władz, a oni sami nie opuściliby zakładów karnych. Bo gniliby od kilkunastu lat w ziemi.

A przecież na całym świecie (zwłaszcza w krajach takich, w których – jak w USA – wymiar sprawiedliwości jest mocno klasowy, a ludzie ubodzy mają, statystycznie, bardzo kiepskie szanse przed sądem, bo nie stać ich na dobrego adwokata, i dlatego że sami często budzą odrazę u sędziów) takich przypadków jest multum. Tych, które opinia publiczna miała szansę poznać.

Bo jest jeszcze ciemna liczba analogicznych wypadków nieznanymi opinii. Jak wysoka? Nikt nie wie, ale na pewno duża.

Prerażająca jest ta wiedza. Prerażająca jest odpowiedzialność każdego, kto ją posiada, a zwłaszcza kogoś, kto ma większy niż przeciętna jednostka wpływ na rzeczywistość i musi bodaj wypowiedzieć się na temat kary śmierci. Ja też, choć nie jestem politykiem ani liderem opinii, czuję ciężar tego brzemienia. I oczywiście pokusę, aby ten ciężar z siebie zrzucić. Poprzez zadeklarowanie, że skoro tak, to w świetle tej wiedzy i doświadczeń przechodzę na stronę przeciwników kary śmierci. Niemal fizycznie również teraz, kiedy piszę te słowa czuję, jaka to byłaby ulga.

Ale nie mogę tego zrobić.

Nie mogę, bo argument z egzekucji niewinnych jest wprawdzie wstrząsający, to jednak wciąż tylko jedna strona dylematu. Pozostaje druga.

A ta druga to wbrew pozorom wcale nie argument mówiący o odstraszającej sile kary śmierci, pozwalającej ocalić

Mimo wszystko

PIOTR SKWIECIŃSKI



Niebezpiecznie jest majstrować przy zbyt głębokich fundamentach

wiele potencjalnych ofiar zbrodni. Nie odrzucam tej tezy i wcale nie jest ona skompromitowana ani w oczywisty sposób nieprawdziwa, jak (ze złą wolą) utrzymują abolicjoniści. Jest jednak faktem, że badania naukowe są tu z sobą sprzeczne, bo statystyki są podatne na radykalnie odmienne interpretacje. Ja skłonny jestem uważać, że rację mają ci, których zdaniem „kaes” w pewnej mierze odstrasza. Ale uznaję zarazem, że nie zostało to dowiedzione w sposób bezdyskusyjny.

Ważniejsze jest coś innego. Mianowicie kwestia tzw. społecznego poczucia sprawiedliwości.

Znamienne jest, że opinia zdecydowanej większości ludzi, nie tylko w Polsce, różni się tu od opinii abolicjonistycznie nastrojonych elit. „Bo prymitywy chcą zemsty!” – odpowiedzą niektórzy. Niesłusznie. Idzie tu oczywiście o chęć zemsty, ale przede wszystkim o coś nieco innego. Mianowicie o poczucie, że morderstwo gwałci eschatologiczny porządek świata i adekwatną do stopnia tego pogwałcenia odpowiedzią, jedyłą, która ten porządek może bodaj w jakimś stopniu przywrócić, jest zabicie mordercy.

To poczucie ludzie w swej większości dzielą w naturalny sposób, intuicyjnie. I siedzi to w nich – w nas, również we mnie – bardzo mocno. Głęboko. Gdzieś w najgłębszych pokładach człowieczeństwa.

Kiedy społeczeństwo zaprzestaje przywracać zgwałcony przez zbrodniarza eschatologiczny porządek, ludzie czują, że jakieś fundamenty nie tyle pękają, ile zostają wręcz anihilowane. Że pluje im się w twarz. Oczywiście sprawa kary śmierci jest kluczowa dla mało

kogo, jej zniesienie nie wywołuje więc bezpośrednich skutków politycznych. Ale skutki niepolityczne są ogromne. Ludzka podświadomość długoterminowo nie może znieść świadomości, że świat nie ma moralnej sankcji (a brak kary śmierci prowadzi do takiej świadomości). Długoterminowo brak tej kary musi więc, niebezpiecznie, powodować rozmaite skutki degeneracyjne. Potęgujące się z każdą dekadą bez „kaesu”. Niebezpiecznie jest bowiem igrać z czymś tak fundamentalnym i głębokim.

Na dylemat, jaka wartość jest ważniejsza – ocalenie wszystkich potencjalnie niewinnie skazanych (bo wykluczyć pomyłek, przy nawet największej skrupulatności, nie sposób) czy też uchronienie społeczeństw przed destrukcyjnymi skutkami poczucia, że pluje im się w twarz, a świat nie potrafi zapewnić ludziom nawet minimalnej dozy sprawiedliwości, odpowiadam więc: ta druga.

Z całą świadomością, że opowiadał się tym samym po stronie strasznego zła. Strasznego, ale mimo wszystko – mniejszego.

Polska pępkiem Europy

Dlaczego tak jest, że konserwatywny rząd Węgier cieszy się poparciem ponad 50 proc. wyborców, znienawidzony ponoć w USA prezydent Trump ma poparcie połowy obywateli, a w Polsce, mimo niezwykle korzystnych reform gospodarczych i społecznych, rząd dobrej zmiany może liczyć zaledwie na ok. 40 proc. zwolenników? Na takie pytanie natrafiłam niedawno w internecie i myślę, że znam na nie odpowiedź, choć z pewnością zdenerwuje ona opozycję usiłującą z wszystkich sił obrzydzić naszemu narodowi rząd Zjednoczonej Prawicy, który ponoć doprowadził do marginalizacji naszego kraju na arenie międzynarodowej, czego powinniśmy się wstydzić. Powinniśmy się też wstydzić tej większości, co zagłosowała na PiS, bo to wprawdzie większość, ale nieduża i niewykształcona, to są Grażyny i Janusze, czyli „buraki”. Media komercyjne rozpowszechniają ten wstyd w kraju i za granicą, wychodząc z założenia, że jesteśmy już dostatecznie zmanipulowani oraz wymóždzeni.

Otóż Polska – czy to się Michnikom i Lisom podoba, czy nie – jest pępkiem Europy, była nim zawsze, dlatego nasi sąsiedzi postanowili wymazać ją z mapy świata. To wymazywanie Niemcy i Rosja kontynuowały po II wojnie światowej, najpierw Sowiety, a następnie Republika Federalna Niemiec, realizując traktat o dobrym sąsiedztwie, wkraczając „po sąsiedzku” do Polski ze swoim biznesem, wykupując polskie dobra narodowe i przekształcając nasz kraj w 17. land, uwiązany do Berlina gospodarką, handlem i ideologią. Byliśmy już blisko tego uzależnienia od Niemiec, a poprzez Niemcy od Brukseli uzależnionej od Berlina.

I tak się zamykało to koło europejskiej integracji gospodarczej i politycznej. Dla elit rządzących krajami UE Polska była i jest „katolicką zarazą”, narodem uparcie i wbrew logice walczącym o niepodległość, suwerenność, a przede wszystkim o wolność, którą zaprzepaścił targowicką zdradą, zniknął z mapy świata i zamiast się z tym pogodzić oraz czerpać z tego korzyści, bronił się przed zniewoleniem, w czym pomagała mu wiara katolicka. Na czele powstań i narodowych zrywów stały elity narodu, które przetrwały lata rozbiorów i dopiero trzeba było Hitlera oraz Stalina, żeby je zniszczyć, wymordować, zamęczyć w gułagach i obozach koncentracyjnych.

Tak osłabiona kulturalnie i intelektualnie Polska została podana Zachodowi na okrągłym stole. Do władzy dorwały się pseudoeleity złożone z komunistów i „socjalistów z ludzką



*Nie jesteśmy gorsi od Niemców
i Francuzów ani tym bardziej
od Belgów czy Holendrów,
chcemy być państwem
niezawistym*

twarzą”, naśladowców lewactwa zachodniego, środowisko zakompleksionych politycznych pierwotniaków marzących o zachodnim dobrobycie, na który nie było ich stać. Ale się dorobili kosztem narodowej gospodarki i poniżenia tych pegeerowskich „buraków”, którym odebrali środki do życia. A także kosztem rodzimych przedsiębiorców, którym zafundowali „kurację wstrząsową”. Na czele tej prostackiej elity stanęli cwaniacy w rodzaju Tuska, Kwaśniewskiego i Komorowskiego.

Upokorzony i ogłupiony zachodnimi błyskotkami naród polski nadawał się już do integracji z Unią Europejską. Bo był załatwiony na gładko, a kolejne rządy III RP uznały, że „polskość to nienormalność”. Wdzięczna Merkel awansowała Donalda Tuska na prezydenta UE.

I już się wydawało, że ten stan będzie trwał do końca świata i dzień dłużej. Ale nie trwa i jest w odwrocie. Przede wszystkim dzięki Polakom, którzy zahartowani w walce o wolność i zachowanie wartości chrześcijańskich, poznając dzięki zdobyczom cybernetyki prawdę o świecie, doszli do wniosku, że zostali wciągnięci w brudną grę ideologii lewactwa i wybrali partię, która broni godności obywateli, godności narodowej, bez której człowiek jest stechniczowanym jaskiniowcem.

Nie jesteśmy gorsi od Niemców i Francuzów ani tym bardziej od Belgów czy Holendrów, chcemy być państwem niezawistym i zawierać korzystne sojusze. Bruksela jest przeżrana koncepcją Trójmorza i coraz ściślej współpracą Warszawy z Waszyngtonem. Przeraża ją promieniujący na Europę polski katolicyzm i jego zaraźliwe przesłanie o miłości bliźniego oraz solidarności z potrzebującymi pomocy i wsparcia. Panie Trzaskowski, nie jesteśmy niemiecką kolonią i nie potrzebujemy berlińskiego lotniska, bo zbudujemy swoje, wypracujemy dobrobyt narodu własnymi rękami, we własnych firmach. Już to robimy, wzbudzając podziw zagranicą.

I nie dziwi nas nagonka mediów zachodnich na dobrą zmianę, bo nie tylko, że geograficznie jesteśmy środkiem Europy, jesteśmy pępkiem kontynentu, bo taka jest wola Nieba. A z nią się zawsze zgadzać trzeba, na co uczulam Trybunał Sprawiedliwości UE, Komisję Europejską, Sąd Najwyższy, Małgorzatę Gersdorf i Fransa Timmermansa.

Krystyna Grzybowska

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Lumpenelity III RP

Barwie się tak dalej, tępi kabotyni! Wasz kod kulturowy jest obcy polskiemu DNA, wrogi polskiej wrażliwości społecznej i historycznej



Tuż przed 1 sierpnia przypomniano wyborczy klip (sprzed dziewięciu lat) kandydata PO na prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego, gdy startował do Parlamentu Europejskiego. Filmik ukazuje uliczną egzekucję. Aktor Michał Żebrowski stoi pod ceglany murem z czarną opaską na oczach i papierosem w ustach. Nim padnie strzał, krzyczy: „Za Rafała”, a dalej pojawia się tekst: „A co ty zrobisz dla Rafała?”, w domyśle dla Rafała Trzaskowskiego i jego kampanii wyborczej. Trzaskowski oskarża TVP o manipulację, a Żebrowski dalej gra głupa, mówiąc, że jest to scena z „Kordiana”. Jeszcze wmieszał w to jednego z naszych największych wieszczów – Juliusza Słowackiego. Jestem wstrząśnięty.

Barwie się tak dalej, tępi kabotyni! Od lat dobrze znamy wasz kod kulturowy. Jest obcy polskiemu DNA, wrogi polskiej wrażliwości społecznej i historycznej. Jesteście tu tak obcy jak komuniści po wojnie, wyalienowani z polskiego narodu i wciąż na służbie wrogiej cywilizacji. Albo jeszcze trafniej – stąpacie po ziemi jak młodszy lejtnant Michaił Zubow, bohater powieści Sergiusza Piaseckiego „Zapiski oficera Armii Czerwonej”. Jemu też wmówiono, że niesie w sobie najwyższą w świecie kulturę, wiedzę, prawo i obyczaje, bo są przecież radzieckie, leninowskie. Ale zawsze przed snem kładł sobie pod głowę buty, aby ich nie ukradziono. A o Polakach w okupowanym Wilnie myślał i mówił tak jak dzisiejsze lumpenelity, które w swoich butach mają wyłącznie słomę.

Ich kabotyńskie popisy towarzyszyły nam przez cały okres PRL. Przeniosły się na postkomunistyczną III RP, która całkowicie odcięła się od II Rzeczypospolitej, zmartwychwstałej, powstałej w trudzie i znoju siłą kochających ojczyznę Polaków. Teraz powoli, ale mam nadzieję, że konsekwentnie, przywracamy ją do życia, odbudowujemy jej etos. Dlatego często wspominam Alfreda Bilyka, ostatniego wojewodę lwowskiego. Nim popełnił we wrześniu 1939 r. samobójstwo w Munkaczu na Węgrzech, bo nie mógł fizycznie dotrzymać obietnicy złożonej w radiu bycia z mieszkańcami do końca tragicznych chwil oblężenia, rozliczył się z wszystkich służbowych pieniędzy. Nie zapomniał o rachunku za hotel, kosztach swojego pogrzebu i napiwku dla kelnera. Swoją dyspozycję kazał ogłosić w prasie, aby nie było znaków zapytania co do jego uczciwości. Ale co wy możecie wiedzieć o honorze.

Przez tyle lat kpiono sobie z Józefa Becka, ministra spraw zagranicznych II RP i jego mowy sejmowej 5 maja 1939 r. o honorze, czymś przecież dla uczciwego człowieka najcenniejszym. A przecież należało – mówi kabotyn – związać się z Niemcami i ruszyć na Moskwę. Bylibyśmy wtedy potęgą. Ten sam kabotyn robi z narodu, który jako jedyny w okupowanej Europie zachował się uczciwie, i z jego bohaterów – niemieckich kolaborantów. I jeszcze go drukują, najwięcej oczywiście w Niemczech. Ileż razy słyszałem od innych kabotynów o Bolesławie Wieniawie-Długoszewskim. Musiały minąć lata, nim zaczęto wymawiać prawidłowo jego nazwisko. Zawsze

był „Długoszewskim” – tym, który po pijanemu wjechał konno do warszawskiej restauracji Adria. Tę durną historijkę wymyślili prześmiewcy Polski sanacyjnej, komunistyczne wojskowe trepy. Przez całe lata zmuszano nas do bezkrytycznego podziwiania arcyzmu Andrzeja Wajdy. Niestety popełnił też „Lotną”, film szyderstwo z klęski wrześniowej. Widok polskiego ułana kawalerzysty tnącego szablą lufę niemieckiego czołgu będzie nas obrażał do ostatniej kopii tego filmu. Podobnie bohater „Popiołu i diamentu”, akowiec Maciek Chelmiński ginący na śmietniku. Śmietnikiem miała być Polska przedwojenna, jej historia, cała dumna Polska, naród przymuszony do wstydu za swoją heroiczną przeszłość. Warto tu przytoczyć, co sam Wajda pisał o sobie i swoim powołaniu: „Realizatora filmowego poza talentem i poczuciem rzeczywistości musi cechować marksistowska postawa wobec życia i sztuki”.

Chazarskie Michnikowe stado cyngli, bezmózgowi aktorzy, głupie aktoreczki i modelki, celebryci nienawidzący Polski, profesorskie ateistyczne miernoty, oszuści i złodzieje, zakłamanymi ludźmi w togach, agencji i agentura wpływu, jurgieltnicy oraz ci od ruskiej wziętki, resortowe dzieci i wnuki, trzecie pokolenie komunistów walczących zaciekle z trzecim pokoleniem AK, skorumpowani, nepotyczni władcy III RP, stronnictwo pruskie i ruskie, wszyscy niezadowoleni z obecnej Polski – mieliście wyjechać. Skoro tu nadal jesteście, nie przeszkadzajcie, stanowicie tylko krzykliwą mniejszość, która każdego dnia zapisuje karty hańby narodowej. 

Feldkurat Lemański

Kiedy kapłan do kapłana zwraca się per klecho, to mamy do czynienia z istotnym problem natury logicznej. Skoro bowiem ktoś używa określenia „klecha”, to znaczy, że sam się tym „klechą” nie czuje. Obaj jednak de nomine należą do stanu duchownego.

Zatem już z grubsza widzimy, że wśród polskich księży istnieją co najmniej dwie kategorie posługi: „klechowanie” i „nieklechowanie”. Oczywiście z całego kontekstu możemy wywnioskować, że owo „nieklechowanie” jest jednak formą bardziej pożądaną, wyższą. „Klecha” to zatem istota niższa intelektualnie, zamknięta w sobie, pełna kompleksów, niedouczone i pozbawiona łaski rozumienia świata. To także istota, która zasługuje właściwie na pogardę, bo poza odprawianiem mszy świętych, modlitwami i rozważaniami pobożnymi nic właściwie nie potrafi uczynić. Co innego taki „nieklecha”, celebryta i ksiądz jak z obrazka (TVN). Ten to i na demonstrację KOD pójdzie, i Żydom się pokłoni, i głos zabierze w sprawach ustroju państwa, nie unika studiów telewizyjnych ani kamer, ba, trudno go stamtąd wygonić. Bywa na pogrzebach znanych i lubianych, a że są to pogrzeby bez symboli religijnych, to bywa tam jeszcze bardziej. Ostatnio pogrzeb Kory, jego zdaniem, odbył się

bez katolickich symboli z winy księży właśnie – uważa „nieklecha”.

Długo starałem się zrozumieć ten rozdźwięk pomiędzy „klechami” a „nieklechami”. Wreszcie pojąłem, że „klechy” zaludniają „Kościół toruński”, a wyzwolone (z kanonów i tradycji) „nieklechy” to klejnoty z onirycznego „Kościoła łagiewnickiego” (oczywiście zbudowanego bez sanktuarium wielkiej Faustyny, bo ona też była „kleszką”).

Tak mi piaskiem w zębach trzeszczy ten termin „nieklecha”, szukam zatem innego, lepiej oddającego istotę. I znalazłem, tu cytat z mojego ulubionego Szwejka, mówiący o powrocie do domu z feldkuratem Katzem:

„W drodze powrotnej nie chciano ich wpuścić z polowym ołtarzem do tramwaju.

– Czekaj no, dam ja ci po łbie tą świętością – zagroził Szwejk motorniczemu.

Gdy wreszcie dotarli do domu, stwierdzili, że gdzieś w drodze zgubili tabernakulum.

– To nic nie szkodzi – pocieszał Szwejk. – Pierwsi chrześcijanie też odprawiali mszę świętą bez tabernakulum”.

Ten „nieklecha” to po prostu „katabas” – wnuk feldkurata Katza. Jego postępowość i nowoczesność kłania się w pas feldkuratowi i jeszcze nie dorasta mu do pięty. 



**Witold
Gadowski**

Absmak

40 lat po ukończeniu studiów zastanawiam się, co u licha porobiło się z wieloma dziewczynami i chłopakami z mojego rocznika.

Mam tu na myśli zupełnie przeciętnych studentów (a nie skrajności, czyli partyjnych aparatczyków i nieugiętych opozycjonistów). Mijał czas. Aktywiści z PZPR porobili błyskotliwe kariery polityczne i biznesowe (co w epoce reglamentowanych firm polonijnych było dość łatwe). Za to dawni działacze opozycyjnego podziemia wciąż mieli „pod górkę”; zwłaszcza ci, którzy nie godzili się na kompromis okrągłego stołu (choć niektórzy członkowie „Solidarności” i NZS całkiem nieźle odnaleźli się w nowej rzeczywistości). Pamiętam, że znakomita większość akademickiego środowiska zawsze miała serce po prawej stronie. Satyryczne, antysystemowe programy kabaretowe i patriotyczna nostalgia bardów trafiały na niezwykle podatny, inteligentni grunt. Dlaczego? Najcelniej wyłożył to chyba Zbigniew Herbert w wierszu „Potęga smaku”:

[...] *To wcale nie wymagało wielkiego charakteru
nasza odmowa niezgoda i upór*

*mieliśmy odrobinę koniecznej odwagi
lecz w gruncie rzeczy była to sprawa smaku
Tak smaku [...]*



**Lech
Makowiecki**

Komunizm (oprócz wszystkich innych przymiotników) był żenujący. Dlatego jestem zdumiony, jak wielu moich znajomych (zwłaszcza z kręgów artystycznych) zupełnie nie czuje absmaku i atakując dobrą zmianę, idzie ramię w ramię z postkomuną, byłymi zomowcami, europejskim lewactwem. Czyżby sączona latami czerwona propaganda zatrula ich dusze, wykorzeniła z wiary, zożydziła „bogoojczyźniany” patriotyzm, pozbawiła wrażliwości i tożsamości do tego stopnia, że mając dziś na wyciągnięcie ręki wolną Rzeczpospolitą, opowiadają się po stronie „nowoczesnej” Europy?

Zakompleksieni i obciachowi nie dostrzegają degrengolady oraz zwykłej głupoty zachodnich „elit”. A tymczasem europejski Titanic, wypełniony po brzegi migracyjnym balastem i prowadzony przez pijanego kapitana, rozpędza się... 

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Szmata, sprej i prawo



**Aleksander
Nalaskowski**

*Czy pomniki, obeliski, tablice
są umieszczane w miejscach
publicznych, aby stanowić
wieszak do czegokolwiek?*

W Polsce trwa, już niekiedy zażarta, dyskusja dotycząca obwieszania tzw. koszulkami (mnie kształtem przypominają raczej ornaty) rozmaitych figur i pomników. Przeciwnicy mówią o godności i obrazie, a zwolennicy chichoczą: „A co nam zrobicie?”. Całość jak z jednego z idiotyzmów, które wyreżyserował Bareja. Reszta Polaków, nazwijmy ją normalną większością, a zatem wszyscy mieszkający poza Warszawą, narzeka na upał i ma to obwieszanie w nosie, w którym ciasno już się robi od Rzeplińskich, kodziarzy czy Rabejów połączonych w uścisku z Biedroniami. Towarzyszy temu wymowne wzruszenie ramion od Bugu po Odrę.

Z tą dekoracją pomników to mamy istny kłopot. Nie prawny, ale logiczny. Kłopot, który swoją prostotą demaskuje intelektualną miałość zarówno przeróżnych Morozowskich, jak i ich gości, najczęściej występujących w roli ekspertów albo – jak mówi moja wnuczka – „eskarpetów”. Sprawa jest prosta jak kłonica i tak naprawę to nie ma o czym rozprawiać.

Czy pomniki, obeliski, tablice są umieszczane w miejscach publicznych, aby stanowić wieszak do czegokolwiek? Nie. Czy zostały ustawione w określonej intencji? Tak. Czy zawieszanie, umieszczanie na nich czegokolwiek jest zgodne z ich przeznaczeniem? Nie. Czy istnieje różnica semantyczna pomiędzy pomnikiem jakiegoś bohatera a lastrykowym nagrobkiem „cioci Kłoci”? Nie, nie istnieje. Jeden i drugi ma się odwoływać do ludzkiej pamięci, do przypominania danej osoby, do jej trwałej obecności w danej zbiorowości. Czy istnieje realna różnica pomiędzy powieszeniem ornaciku z napisem „Konstytucja” na pomniku Lecha Kaczyńskiego i mogile powstańca? Nie, nie istnieje. W jednym i drugim przypadku idzie o zmianę przeznaczenia tych znaków pamięci z pomników na słupy ogłoszeniowe. Chociażby na tych szmatach było napisane nie wiadomo co, a nawet gdyby nie było żadnego znaku graficznego, nawet gdyby był to pomnik gąski Balbinki, to nie wolno mu niczego dodawać ani niczego odbierać (np. urywać). To po prostu karalny (tak!) wybrzyk chuligański i wandalizm. I przestańmy wreszcie przydawać temu głębi, której nie ma. To dokładnie taka sama dewastacja jak wymalowanie sprejem innego pomnika czy elewacji domu. Już słyszę, że jest różnica w trwałości uszkodzeń. Fakt. Ale odwracalność zmian to odrębna sprawa. Czy farba, czy szmata, tak samo zmieniają przeznaczenie i czynią określony znak pamięci czymś innym, niż miał być. Chuligaństwo i wandalizm nie

dają się podzielić na słuszne czy niesłuszne, na napisy „Konstytucja polska” czy „Prostytucja opozycji”. Nie w kraju, w którym nie ma cenzury, są całkowicie niezależne (nawet od rozumu) media i panuje wolność słowa. W kraju, w którym tymi samymi ulicami, którymi szli królowie, papieże czy pogrzeby, idą marsze pederastów

lub manifestacje kobiet z czarnym podniebieniem. Dostępna w sferze publicznej przestrzeń do wyrażania deficytów umysłowych, upodobań kopulacyjnych, frustracji i nienawiści jest tak duża, że nie ma potrzeby i nie może być przyzwolenia na jej powiększanie.

A jeśli pomniki służą złej pamięci albo jej fałszowaniu (Lenin, Armia Czerwona)? To należy je zdemontować i odesłać do muzeum w Kozłowie. I tyle. Ale nie wolno ich dewastować w jakikolwiek sposób, bo przypomina to jakieś pogańskie, prymitywne obrzędy rodem z wudu czy innych egzotycznych idiotyzmów. Upominamy się u jakiegoś amerykańskiego bubka o godne miejsce dla pomnika katyńskiego w Jersey City, a dyskutujemy, czy wolno niegodnie traktować własne pomniki. W jednym i drugim przypadku mamy do czynienia z aktami prostackiego wandalizmu, których obiektami są pomnik i jego pamięciowy predykat. Basta!

A co do trwałości uszkodzeń poprzez obwieszanie szmatami z napisem „Konstytucja” różnych figur i czynienia z nich wieszaków. Otóż śpieszę donieść, że oprócz szyderców i lemingów żyje w Polsce bezmiar lu-

dzi, których te akcyjki dotknęły, wywołały trwałe uszkodzenie nadziei na zwykłą przyzwoitość, które widząc bezkarność takich gestów, bezkarność autorów wypisujących wulgaryzmy na (często pracowicie odrestaurowanych) elewacjach albo zwykłe bazgroły świadczące o tym, że był tu jakiś kundel i obsikał „swoją teren”, doznają „obrażeń wewnętrznych”, którymi się wszak nikt nie przejmuje. Bo przecież Nergal może z orłem robić cuda, jakby to była kolorowanka dla dzieci, a ze znaku Polski Walczącej można zrobić rysunek babskich cycków.

Koleś od wieszania szmat na pomnikach powinien być potraktowany jak lajdak, zwykły lobuz i wandal. Bo w przeciwnym przypadku wszystkich sprawców napadów na peerelowskie banki będziemy musieli uznać za opozycjonistów osłabiających kasę zniechęconego reżimu, a każde zabójstwo milicjanta za akt wyzwoleniczy. Jeśli Polska ma być państwem prawa, należy to prawo egzekwować na każdym poziomie. Na absolutnie każdym.

PRZESWIETLIK

Pogoniliśmy kosmitów

Starożytni uważali, że człowiek jest miarą wszechrzeczy. Współcześni rozwinęli ten pogląd i uważają z reguły, że miarą wszechrzeczy jest jeden człowiek. Przy czym jedni go bez granic kochają, inni nienawidzą. Bardzo mnie zastanawia, czy za 100 lat Polacy będą w stanie tak się kłócić o Jarosława Kaczyńskiego, jak wciąż się kłóć o Józefa Piłsudskiego. A cała zabawa przecież przed nami – rocznica odzyskania niepodległości, powstań na Śląsku oraz w Wielkopolsce i w końcu Bitwy Warszawskiej. Znowu część naszych prawicowych publicystów zamieni się w rodowitych endeków, a część, jak śp. pan Janusz Zakrzewski, przywdzieje maciejówki. Pan Roman i Naczelnik będą przez kilka lat stawać przeciwko sobie, spory będą tak gorące, a czasem i pogłębione, że znowu przypomni o sobie często, za Marksem, przywoływana maksyma, że historia powtarza się farsą. Myślę, że jednak ani w sierpniu 2020 r., ani w listopadzie dwa lata wcześniej, wszystko nie zależało tylko od tych dwóch postaci o niewątpliwym dorobku.

W „Inwazji porywaczy ciał” – klasycznym horrorze, który zabrałem z sobą na plażę – jest pod koniec scena rzadka dla tego gatunku. Główni bohaterowie, po pokonaniu i przepędzeniu kosmicznych najeźdźców, uświadamiają sobie, że to musiała być nie tylko ich robota; że musieli gdzieś być inni ludzie, nieznani z kart książki, którzy musieli tak jak oni jasno rozpoznać najazd kosmitów i dzielnie stawić im czoła. Podobną tezę, choć nie w przypadku kosmitów, stawia drugi mój wakacyjny autor, dr Paweł Skibiński, w książce „Polska 1918. Polityka i życie codzienne” (uwaga, teraz będzie kryptoreklama: w nawale masy wartościowych, ale i marnych rzeczy, które są wydawane przy okazji Roku Niepodległości, ta jest wyjątkowo dobra).

No więc Skibiński, choć chyba raczej admirał dyplomaty Dmowskiego niż wojownika Piłsudskiego, pokazuje, w ilu miejscach w Polsce ilu ludzi zajmowało się przez kilka lat systemowym, regularnym, skutecznym przepędzaniem kosmitów. W warunkach strasznych, w kraju zdevastowanym rozbiorami, wojną, epidemią, walkami z agresywnymi mniejszościami narodowymi. Setki tysięcy polskich chłopów, które na wezwanie Wincentego Witosa, najbardziej doświadczonego wówczas polskiego polityka, powiedziały bolszewikom „nie”. Genialny w zdolnościach mobilizacyjnych gotów do poświęceń kler. Patriotyczna drobna szlachta i skupiona nie tylko na majątkach arystokracja. Świadomi pochodzenia robotnicy. Nacjonaści, konserwatyści, ludowcy i socjaliści wspólnie kopiący okopy. W 1920 r. nie



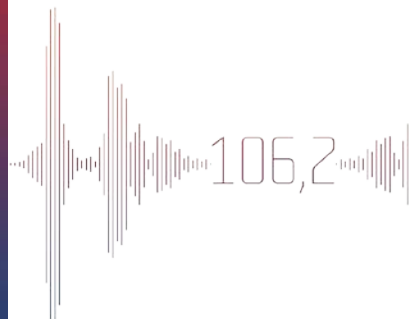
**Wiktor
Świetlik**

było Twittera, Facebooka ani esemesów z przekazem partyjnym. Po prostu Polacy na ponad czterech setkach tysięcy kilometrów pokazali najeźdźcom wszelkiej maści i ich ideologiom środkowy palec, choć wówczas ten gest nie był u nas znany.

Mieliśmy nie tylko kilka genialnych jednostek, lecz i bohaterską masę, do której należeli często nasi dziadkowie. Ci sami, którzy potem stworzyli sieć AK, BCh, mikołajczykowski PSL albo podziemie antykomunistyczne i „Solidarność”. Chyba warto o tym pamiętać. Polska nie opiera się, jak świat dawnych wierzeń, na trzech słoniach, które stoją na żółwiu. Opiera się na nas i na naszych dziadkach. A podważają ją często wnuczki oraz dzieciaki tych, którzy ją wcześniej podważali.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

REKLAMA



www.radiowarszawa.com.pl

1/07/18/F



JAN POSPIESZAŃSKI

Bohaterowie niepodległości – mocarze ducha

O gromne rzesze rozśpiewanych warszawiaków – owo pospolite ruszenie, jakie objawiło się wieczorem w dniu rocznicy wybuchu Powstania, zaskoczyło wielu z nas, tym bardziej obserwatorów z zagranicy. Pewnie trudno im zrozumieć fenomen nie tylko tego masowego, muzyczno-patriotycznego wydarzenia. Myślę, że bardziej istotny niż powszechna pamięć i szacunek dla bohaterów i o wiele trudniejszy do wytłumaczenia jest fenomen ducha. Być może to właśnie wyróżnia nas na tle europejskich społeczeństw. Mamy się do czego odwołać i mamy z czego być dumni. Szaleńcze pragnienie odwojowania utraconej niepodległości, która zaledwie dwie dekady mogła konstytuować wolne suwerenne państwo, porwało Polaków.

Nie wdając się w spór o sens straszej ofiary, chcę zwrócić uwagę na formację Powstańców. Co kształtowało albo kto formował pokolenie sierpnia '44 i poprzednie pokolenia ich ojców oraz dziadków, którym zawdzięczamy odzyskanie Polski po 123 latach niewoli?

Tym, co w setną rocznicę odzyskania niepodległości nie daje mi spokoju, jest zjawisko jakiegoś nieprawdopodobnego urodzaju wybitnych, wyjątkowych postaci, jakie pojawiły się w naszej historii w drugiej połowie XIX w. Szczególną cechą, która łączy bohaterów, jest to, że

większość z nich nie walczyła z bronią w rękę, więc nie znajduje się w narodowym panteonie, choć niewątpliwie na to zasługują. W ich biografiach decyzja poświęcenia życia Bogu splata się z głęboką miłością ojczyzny i pracą dla narodu. Wygląda to trochę tak, jakby rekompensując utratę niepodległości, Opatrzność posłała na polską ziemię armię mocarzy ducha.

Nie chodzi mi tylko o uczestników powstań, bojowników, choć było ich wielu. Wspomnę tylko o ks. Józefie Szvernickim, marianinie, powstańcu listopadowym, zesłańcu, którego nazwano „apostolem Syberii”, czy o powstańcach styczniowych Rafale Kalinowskim i ks. Stanisławie Brzósce, kapelanie i generale straconym w publicznej egzekucji w Sokołowie Podlaskim w maju 1865 r.

We wszystkich zaborach, w różnych miejscach Polski, ale i na emigracji nagle pojawili się ludzie, którzy służbę Bogu realizują przez służbę człowiekowi, wspólnocie, czyli Polsce. Najpełniej wyrazili to założyciele zgromadzenia zmartwychwstańców Bogdan Jański i ks. Piotr Semenenko. Uznali oni, że zmartwychwstanie Polski może nastąpić tylko przez duchową przemianę Polaków. Odrodzić Polskę, uczynić ją wolną, będzie możliwe przez podniesienie Polaków z nędzy moralnej, przez ewangelizację, apostołstwo, podnoszenie poziomu umysłowego, pracę wśród ludu. Romantyczne z ducha, a pozytywistyczne w realizacji postulaty można osiągnąć przez zgromadzenie wokół takiej idei „szturmowych oddziałów”. W ślad za męskim zgromadzeniem powstaje jego gałąź żeńska założona przez

Celinę Borzęcką (uczestniczkę powstania styczniowego). Niezwykłym paradoksem jest to, że represje zaborców, kasaty zakonów, konfiskaty, wywózki, zakazy używania ojczystego języka owocują pojawieniem się kolejnych Bożych szaleńców, którzy rozwijają wielkie dzieła. Im bardziej dokręcana jest śruba, tym oni ofiarniej pracują dla Boga i Polski.

Niesamowitym przykładem jest Honorat Koźmiński. W wieku 17 lat zostaje osadzony w Cytadeli, gdzie w koszmarnych warunkach spędza wiele miesięcy, ciężko choruje i... doznaje spektakularnego nawrócenia. Po uwolnieniu wstępuje do zakonu kapucynów. Władze carskie najpierw ograniczają życie zakonne w Polsce, a po powstaniu styczniowym dążą do jego całkowitej likwidacji. Koźmiński internowany rozkazem zaborców (najpierw w Zakrocymiu, potem w Nowym Mieście nad Pilicą) staje się „więźniem konfesjonu”. Sława charyzmatycznego spowiednika sprawia, że ciągną do niego wierni z całej Polski. Będąc pod ciągłą obserwacją carskiej ochrony, tylko przez konfesjonał i ambonę Honorat założył 26 zgromadzeń zakonnych. Wprowadził nową, ukrytą przed światem, bezhabitową formę życia zakonnego. Powstające zakony wobec ogromu potrzeb społecznych obierają konkretne cele, niosą pomoc ubogim, zajmują się wychowaniem i edukacją sierot, pracują w środowiskach biedy materialnej i moralnej. Honorat Koźmiński jako założyciel zgromadzeń nie miał sobie równych, ale lista jemu podobnych bohaterów jest obszerna, dlatego o kolejnych opowiem za tydzień.

Zaskakująca współpraca PiS

Upalna sierpniowa noc. Przy łóżku Zbigniewa Holdysa słychać szum włączonego wiatraka. Mimo lekkiego, odświeżającego, leśnego powiewu wiatru (na metalowej siatce wiatraka wisi plastikowy pojemnik, z którego wydobywa się woń świeżych poziomków) znany celebryta zbudził się zły z potu. „To był koszmar. Horror godny Oscara” – pomyślał, stawiając na podłodze jak zwykle pierwszą lewą nogę. Przyśniło mu się, że zostaje zaprzysiężony na drużynowego harcerzy PiS w obecności harcmistrza Antoniego Macierewicza. Przyrzeczenie na wierność i bycie posłusznym prawu harcerskiemu, rozpoczynające się od słów: „Mam szczerą wolę całe życie słuchać wytycznych kierownictwa partii i wypełniać je, poświęcając wszystkie swoje siły”, składa w pozycji „baczość” samemu komendantowi Jarosławowi Kaczyńskiemu. Kiedy ten robi krok w przód i wyciąga rękę, by pogratulować awansu na drużynowego, Zbigniew Holdys ucieka, próbując zerwać z siebie bluzę harcerską. Po obudzeniu się spostrzegł, że szarpie się nerwowo z góry pidżamy.



**Jerzy
Jachowicz**

Po omacku, w ciemnościach (obydwa okna były zasłonięte storami) próbował dotrzeć do lampy stojącej przy fotelu. „Boże! Co ty robisz? Żadnego światła” – powiedział do siebie szeptem. Zaczął powoli skradać się do okna. Kiedy tam dotarł, ukłęknał i zaczął delikatnie zwijać roletę od dołu. „Nie jestem głupi, żeby odchyłać zasłonę z boku. Inwigilujący natychmiast by to zauważyli” – pomyślał. Udało mu się zrobić małą szczelinę powyżej parapetu. Spojrzał na ulicę. Z naprzeciwka domu zniknął stojący wcześniej samochód dostawczy. Na jego miejscu stała riksza. Przyczepa dla pasażerów przykryta była brezentem. „Bezpieka pisowska wynajęła tajne służby chińskie. Pod brezentem ukryci są zapewne dwaj Chińczycy z GPS, kamerą i radiem nadawczym. Muszę natychmiast uprzedzić Magdę Środę”. Pół godziny później wyszedł z budynku tylnym wyjściem na podwórkę. Przebrany za kobietę. Nagle usłyszał w komórce sygnał esemesa. Przeczytał: „Zbyszk, alarm! U mnie przed domem stoi riksza, a w niej dwóch tajniaków Japończyków. Magda”.

CO MI DAJE SIŁĘ

Powracające wspomnienia

Ostatnie dni lipca i oczywiście 1 sierpnia to czas, kiedy wspominamy dni walki o wolność i godność podczas Powstania Warszawskiego.

Dziś wspominam, jak były obchodzone lub raczej nieobchodzone w poprzednich latach tak ważne daty jak 1 sierpnia. W latach 40. i na początku 50. strach było się przyznać, że było się żołnierzem powstania, sanitariuszką czy łączniczką. Nie mówiło się o działalności na korzyść powstania. Ludzie byli zastraszeni.

Później zaczęto wspominać, że jedni, którzy walczyli, to byli źli, a inni dobrzy. Jak zwykle dzielono Polaków. Pozwolono nawet w pewnym okresie na akademie ku czci powstania. Pierwsza odbyła się na Puławskiej w małej sali Teatru Nowego. Pękała w szwach. Nie można się było dostać na ten koncert – tylu ludzi chciało usłyszeć poezję i pieśni powstańcze. Teatr płakał i ja też płakałam.

Kolejny raz brałam udział w wielkim koncercie w Sali Kongresowej. Mówiłam tam wiersz Baczyńskiego. Wiersz kończył się słowami mówiącymi o stolicy: „O chwyć za miecz historii i uderz, i uderz”. Tak sobie myślę, że uderzali Polacy. W poznańskim Czerwcu, w Grudniu '70 na Wybrzeżu, w sierpniu w Ursusie, w Radomiu, Elblągu i Szczecinie. Uderzali. Ude-



**Katarzyna
Łaniewska**

rzała „Solidarność”. A najmocniej uderzył prezydent miasta Warszawy – Lech Kaczyński. Znalazł siły, środki i ludzi, którzy w ciągu dwóch lat zorganizowali Muzeum Powstania Warszawskiego. Powstało ono na zbrukanej krwią męczeńską Woli.

Dzisiejsze uroczystości rocznicowe, w których uczestniczą przedstawiciele rządu, warszawiacy i ludzie z całego świata, na pl. Piłsudskiego są piękne. Wieczorem 1 sierpnia wszyscy śpiewali. Żał mi tylko, że nikt nie mówi teraz poezji, która niesie ze sobą wiele wspaniałych myśli i treści. Przypominałaby tamtych poetów. Siedzą we mnie te wiersze, które chciałabym wykrzyczeć, np. wiersz Jana Lechonia,

który mówi o tym, jak Mickiewicz z pomnika patrzy na upadek powstania, na swoje miasto. Utwór kończy się słowami: „Jak Bóg wszechmogący mieczem archaniola, wodzą wieszczą swą ręką na lewo i prawo, oddzielił tych co milcząc nie ugięli czoła, od tych co są narodu skorupą plugawą”. Pomyślałam sobie, że jesteśmy w tym miejscu; że, ci którzy chcą dobra naszej ojczyzny i pracują na to, by dobra zmiana udała się jak najlepiej, „milcząc nie ugięli czoła”. Milcząc kiedyś, a teraz radośnie śpiewając.

„...od tych, co są narodu skorupą plugawą”... Skorupa plugawa rozpadnie się naprawdę niedługo.

TRENDY I OWĘDY

Parodia pogrzebu

Pożegnanie
Kory
Jackowskiej
na Powązkach
pozostawiło
żałobny niesmak



**Ryszard
Makowski**



Celebryckie towarzyszo III RP nawet pogrzeb wybitnej artystki, którą niezaprzeczalnie była Kora, wykrzyskało do mało eleganckiej wojenki politycznej. Z Mount Everestu swojej wyższości miłośnicy wolności i tolerancji emanowali pogardą dla władzy oraz wartości chrześcijańskich. Cywilny szaman Wojciech Mann podsumował życie piosenkarki: „Na początku był komunizm, potem był komunizm z ludzką twarzą. Potem były różne turbulencje, potem była »Solidarność«, stan wojenny, demokracja. A wreszcie parodia demokracji”. Nie były parodią orzeł z czekolady ani różowe barwy narodowe. Teraz jest.

Prof. Środa wpadła w spiralę lewackich dylematów: „Trudno mówić o Korze, której nie ma, ale o której wiem, że wszystko słyszy... Nie dlatego, żebym wierzyła w jej wieczne życie, ale dlatego, że ta ilość energii, którą w sobie miała, którą była, nie mogła tak po prostu rozproszyć się i zniknąć”. To jest życie po śmierci? Podkreślanie, jaką Kora była bezkompromisową jurorką w talent show, nawiązywało do strofowania młodego chłopca, który się ośmielił wykonać pieśń patriotyczną. Podczas ostatniej drogi z głośników na całym cmentarzu zionęła piekielna muzyka. W „Czarnej Madonnie” Organka, zagranej nad grobem, elementy bluźniercze nie były niezamierzone.

Były też wystąpienia bardzo osobiste i poruszające. Wystarczyłyby.

Tłum żegnał gwiazdę. Żal był autentyczny. Szkoda, że zabrakło tej miłości, tak chętnie opiewanej przez Korę.

Zawistowski prezentuje: **Podpis**



Wycinki z **przeszłości**

Jaki był rozkład zajęć sierpniowych w gospodarstwie domowym wiek temu? Podpowiedzi przynosi „Rocznik Gebethnera i Wolffa na rok 1915”:

Dla rolników: „Żniwa w pełni. Gospodarz, rozpoczynając od żyta. Zwłaszcza gdy stała i skwarna pogoda, nie ma już odpoczynku: owsy, jęczmiona, grochy, wyki itd. wymagają sprzętu kolejnego. Z pszenicą nie należy się spieszyć aż dobrze dojrzeje. Po za tem podorywać ścierniska, opatrywać gnojówki, powtórnie okopywać ziemniaki”.

Dla ogrodników: „Plec dookoła młodych drzew, słabe podlewać gnojówką. Drzewa stare, rodzące późniejsze gatunki szlachetne, w razie skwarów podlewać wodą, a owoc nie będzie przedwcześnie opadał. Z niektórych kwiatów można już zebrać nasiona. Plec cebulę, zimową osuszać”.

Dla gospodyń: „Dalszy ciąg zabiegów około zaopatrzenia spiżarni. Wszystkie już owoce dojrzewają. Prócz konfitur, soków i marmolad, robić wszelkiego rodzaju konserwy z gruszek, a więc: marynaty w occie, miodzie, cukrze. Z jabłek galarety, sery i marmolady. Od połowy sierpnia są już borówki”.

Dla myśliwych: „Wolno polować na dziki, łosie (byki), sarny (rogacze), głąszce (koguty), cietrzewie (koguty), na ptactwo przelotne. Z dniem 14-tym na jelenie (byki), zające, głąszce, ciecioriki, jarząbki i kuropatwy”. **(mk)**



Śpiewniki domowe Moniuszki



Leszek Długosz

Te pieśni (piosenki Moniuszki, jak chciał Lechoń) śpiewano we wszystkich zaborach, na emigracji i w wolnym już kraju. Z powodzeniem „Wieczorną” (tę piosenkę na żniwa) słyszało się jeszcze po domach w latach 50. I inne... „Prząśniczkę”, „Kozaka”, „Starego kaprała”... W wielu domach były to jeszcze czasy sprzed płyt, radia, telewizji, nie wspominając o nadchodzących „ekscesach”. Wtedy, chcąc się cieszyć muzyką, trzeba było umieć ją odczytać i zagrać. Może zebrać jakąś grupkę miłośników? W efekcie poprzez to wspólne muzykowanie stwarzała się szansa zbliżenia się do siebie. Dobrowolnie, amatorsko, nie gra się przecież z kimś, kogo nie darzy się zaufaniem, sympatią. Ktoś, z kim się dzieli trud i radości muzykowania, staje się po prostu kimś bliższym. Ale to byłaby już inna opowieść...

Władysław Syrokomla (1823–1862) **„Pieśń wieczorna”**

*Po nocnej rosie
płyn dźwięczny głosie
niech się twe echo rozszerzy,
gdzie nasza chatka,
gdzie stara matka
krząta się koło wieczery.*

*Jutro dzień święta,
niwa nie żżęta
niechaj przez jutro dojrzeje,
niech wiatr swawolny,
niech konik polny,
niechaj skowronek tu śpiewa.*

*Już blisko, blisko
chatnie ognisko
znużone serce weseli;
tam pracowita
matka mię spyta:
„Ileście w polu nażęli?”.*

*Matko, jam młoda,
rąk moich szkoda,
szkoda na skwarze oblicza!
Źle szła robota,
przeszkadza słota
i moja dumka dziewicza...*

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do druku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Cholerna suwerenność

Jeśli ktoś tytuł felietonu kojarzy z wydaną w roku 2012 inspirującą książeczką Piotra Wierzbickiego „Cholerna niepodległość”, to... dobrze myśli.

Suwerenność jednak to od niepodległości coś więcej. O ile można powiedzieć, że od roku 1989 jesteśmy krajem niepodległym, o tyle z suwerennością nie jest tak prosto. I nie idzie tylko o to, że w roku 1999, wchodząc do NATO, a w 2004 do UE, część swej suwerenności oddaliśmy „w zarząd” organizacji międzynarodowych (z punktu widzenia bezpieczeństwa i gospodarczego rozwoju był to dobry wybór).

Chodzi o coś głębszego. O coś, czego nie wiedzieliśmy i co słabo rozumieliśmy. A przynajmniej większość z nas. Wchodziliśmy do tych ważnych instytucji międzynarodowych, nie w pełni rozumiejąc faktyczne mechanizmy gry na tych boiskach. Uczymy się tego z opóźnieniem i na własnej skórze.

WYŻSZA SZKOŁA JAZDY

Jeśli przez niepodległość rozumieć (różnie to bywa ujmowane) formalne warunki istnienia państwa jako niepodległego bytu, a przez suwerenność – umiejętność skutecznego wcielania idei samowładności w życie, to widać, że suwerenność w porównaniu z niepodległością jest wyższą szkołą jazdy. Jazdy historycznej, gdzie stawką są losy całych zbiorowości.

Dlaczego niepodległość (w odróżnieniu od podległości) i suwerenność (w odróżnieniu od zależności) są cholerne?

Bo wiążą się z nieznośnym – dla osób, społeczności i narodów niedojrzałych – ciężarem wolności. Klasyczne dzieło Ericha Fromma „Ucieczka od wolności” (z roku 1941) tłumaczyło sukces faszyzmu zagubieniem mas, które w obliczu

nowożytnej, dynamicznej, nieprzejrzystej rzeczywistości wołały oddać swój los w ręce wodzów.

Czyż swoistą – demokratyczną (lub quasi-demokratyczną) – odmianą takiej ucieczki nie była wizja elit III RP płynięcia Polski w tzw. głównym, czyli berlińsko-paryskim, nurcie przemian europejskich? Niech inni tworzą instytucje, rozwiązania, procedury, a my będziemy je imitować u siebie, w nagrodę przyjmując odznaczenia w Akwizgranie i posady w Brukseli?

Kłopot z suwerennością polega być może przede wszystkim na tym, że jest ona rozpięta między ideologią a praktyką polityczną. I podlega tym samym pułapkom, co zabieganie o wolność i bezpieczeństwo.

WYMIAR IDEOLOGICZNY

Wolność i bezpieczeństwo – podstawowe wartości naszej cywilizacji. Na poziomie idei, abstrakcji leżą obok siebie, tak samo istotne, równorzędne. Jako idee, a także jako wyobrażenia porywające masy, nie znoszą kompromisów ani uproszczeń. Nie godzą się na ograniczenia. Taki jest świat idei – jed-

nowymiarowy, można rzec. Ale człowiek nie żyje tylko w świecie idei. Żyje wśród ludzi i instytucji, w produkcji i w handlu; funkcjonuje w konkretnych warunkach, w rozmaitych układankach i granicach. I choć w wymiarze idei najchętniej w ogóle nie dopuszczalibyśmy stawiania wolności oraz bezpieczeństwa jako alternatywy, to na poziomie pragmatycznym taka alternatywa to niemal codzienność.

PRAGMATYZM

Wolne są tylko te kraje, które potrafią się zatroszczyć o swe bezpieczeństwo. Ale skupienie się na tym ostatnim (np. przez rozwój technik inwigilacji) potrafi wolność bardzo ograniczyć.

Tu trzeba myśleć wielowymiarowo. Tymczasem w komunikacji politycznej czy – powiedzmy wprost – w politycznej propagandzie często trzeba iść na skróty, odwoływać się do haseł, sloganów, które – by miały siłę przekazu – rzeczywistość upraszczają ponad miarę.

Kluczem jest znalezienie równowagi między tymi dwiema wartościami: wolnością i bezpieczeństwem.

Podobnie z suwerennością. Nie przyniesie ona nam dostatku, jeśli Polska nie będzie potrafiła umiejętnie, kreatywnie zaangażować się w międzynarodową współpracę, czyli w sieci współzależności.

Tak, suwerenność jest cholernie trudna, zwłaszcza w geostrategicznej sytuacji Polski. Suwerenność to umiejętne zarządzanie zasobami kraju, pozyskiwanie informacji (także przez tajne służby) i angażowanie się w sojusze.

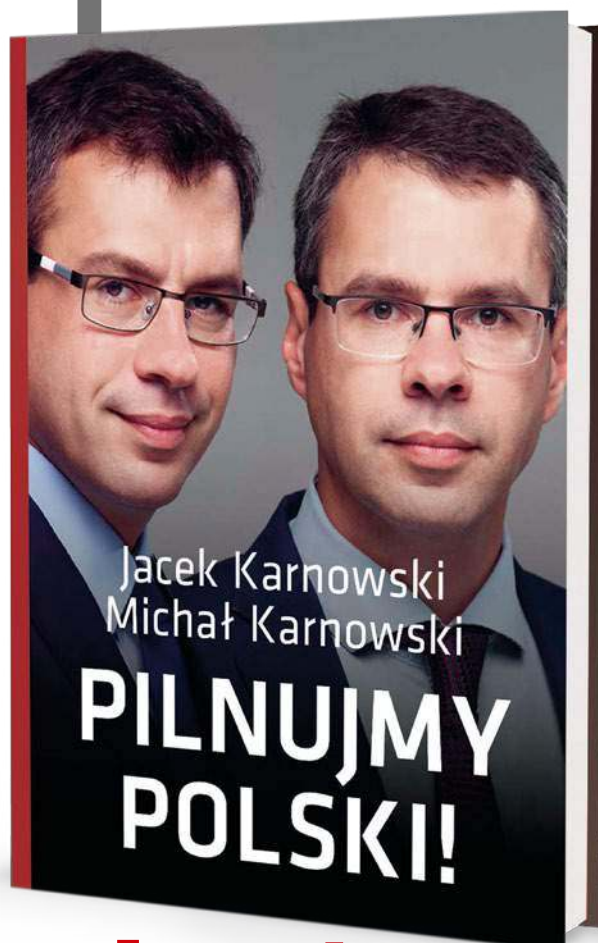
Dopiero gdy znajdziemy punkt równowagi między suwerennością a współzależnościami, będziemy mogli odechnąć. Na chwilę.

**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

100 książek w prezencie

Zamów roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik **SIECI** i miesięcznik
wSIECI HISTORII za 280 zł, a książkę
„Pilnujemy Polski” o wartości 44,90 zł
otrzymasz **gratis!**



ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

Sprawdź dostępność książek
na www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

tel. 22 616 15 70

prenumerata@fratria.pl

www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłać za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia,
w tytule wpłaty wpisując: Prenumerata pakiet i pełne dane adresowe do wysyłki.



TELEWIZJA

W POLSCE PL

Pilnujemy **Polski!**

**OGLĄDAJ
NAS
CODZIENNIE**

**TERAZ
JESTEŚMY
TAKŻE W**



NA POZYCJI

339

dekoder
Mediabox

121

dekodery
KAON
i Horizon

oraz w internecie:

► www.wPolsce.pl

► www.wPolityce.pl